

Margit Sandemo

Droga na zachód

Saga o czarnoksiężniku 8

(Ritted mot väster)

Data wydania oryginalnego 1993

Data wydania polskiego 1996

STRESZCZENIE

Dwunastoletni Dolg, bardziej elf niż człowiek, obdarzony został niezwykle, nadprzyrodzonymi zdolnościami. Jest synem Móriego, czarnoksiężnika z Islandii, i Norweżki Tiril, córki austriackiej księżnej Theresy. Dolg ma dwoje młodszego rodzeństwa, Taran i Villemanna. Najlepszym przyjacielem rodziny jest Erling Müller, kupiec z Bergen. Bardzo ważna postać to pies Nero. Rodzinie towarzyszy także grupa duchów i sił przyrody, które Móri przywiódł z Innego Świata, kiedy to ośmielił się przekroczyć granice tego, co człowiekowi zakazane.

Wszyscy oni przypadkiem stali się wrogami założonego przed wiekami tajemniczego i złego zakonu rycerskiego, którego wielkim mistrzem jest kardynał von Graben. Celem braci jest odnalezienie Świętego Słońca, złocistej kuli; jej pochodzenia rodzina Tiril z wolna zaczyna się domyślać.

Tiril więziona jest przez braci zakonnych w zamku w Pirenejach. Rycerze za pomocą wymyślnych tortur postanowili wydobyć wszelkie znane jej informacje związane ze Świętym Słońcem. Najbliżsi Tiril wyruszyli jej na ratunek.

Dolg wykorzystując moc niebieskiego kamienia zdołał przywrócić do życia swego ojca, Móriego, którego usiłovali zgładzić rycerze Zakonu Świętego Słońca.

Przyjaciele wiedzą teraz, że na początku istniały trzy szlachetne kamienie: niebieski, czerwony i samo Święte Słońce.

Nie wiedzą jednak, że gwardziści kardynała zaczęli się w lesie w okolicy Sankt Gallen w Szwajcarii z postanowieniem zgładzenia całej ich grupy. Zmierzają wprost w zasadzkę.

Rozdział 1

Z powozu schowanego wśród drzew kardynał von Graben ze źle skrywaną radością przyglądał się swoim ludziom, wyczekującym na znienawidzonych wrogów.

Upływające lata nie obeszyły się z von Grabenem zbyt łaskawie.

Dłonie o starczo bladych paznokciach i obrzmiałych stawach mocno zaciskały się na poręczy przy drzwiczkach karety. Oczy zapadły się głęboko w czaszkę, spod w półprzymkniętych powiek prawie nie było ich widać. Zdawało się, że wystające kości policzkowe i szczęki z długimi pożółkłymi zębami przebija skórę, jak u człowieka nie żyjącego już od dłuższego czasu. Właściwie nie było to dalekie od prawdy, Wielki Mistrz Zakonu przekroczył już bowiem naturalną długość życia. Nieznacznie wprowadzie, lecz nie da się ukryć, że znajomość magii pomogła mu w pewnym stopniu przewyciężyć naturę.

Ważniejsze ponad wszystko było dla niego utrzymanie się przy życiu do czasu odszukania Świętego Słońca.

Teraz właśnie możliwość przedłużenia ziemskiej egzystencji znalazła się w zasięgu ręki, dlatego też zapadnięte oczy kardynała rozgorzały blaskiem.

Nareszcie raz na zawsze rozprawi się z tą irytującą rodziną, myślał triumfalnie. Błękitny kamień będzie należeć do niego. Dzięki szafirowi przeżyje jeszcze kilka lat, tyle, ile potrzeba na odnalezienie Świętego Słońca. To konieczne, absolutnie konieczne, bo przecież tylko on jest godzien je mieć. Wszyscy członkowie Zakonu o tym wiedzieli, choć nie chcieli się do tego przyznać. Oni także pożądamy Słońca, myślał kardynał z pogardą, ale im, tej bandzie bezrozumnych głupców, to się nie uda. Przydali mu się jednak, pomogli w zebraniu pozostałych na świecie okruchów informacji na temat Słońca. Czyżby sądzili, że należy im się za to nagroda?

A dlaczego niby miałyby tak być? Na cóż Wielkiemu Mistrzowi bracia zakonni, kiedy już odnajdzie Słońce?

Nozdrza zadrżały mu z gniewu. Nos von Grabena zawsze był cienki i wydłużony, a ponieważ nos i uszy człowieka nie przestają rosnać przez całe życie, twarz

kardynała sprawiała wrażenie nieprawdopodobnie wprost długiej i wąskiej, a w jego mniemaniu odznaczała się niezwykle szlachetnością. Uszu, wielkich jak wachlarze, nie zdołały przesłonić kępkę stalowosiwych włosów.

Teraz jednak najważniejszy był szafir, ów cudowny niebieski kamień, który zdołał przywrócić życie czarnoksiężnikowi Móriemu. Wyciągnął też jednego z podwładnych Zakonu z bagniska i dokonał wielu innych cudów.

Już niedługo kamień należeć będzie do von Grabena...

Jego żołnierze otrzymali rozkaz zabicia grupy podróżników i przyprowadzenia do niego tylko chłopca. Kardynał nie mógł sobie przypomnieć, czy polecił im wziąć go żywcem, pamięć zaczęła mu szwankować, lecz marny los tego, kto ośmieliłby się to zauważyć! Najważniejsze, aby nie dotykali rzeczy dzieciaka, nie wolno wszak dopuścić, aby znaleźli szafir. Szafir należał przecież tylko i wyłącznie do niego, do Wielkiego Mistrza!

Dlaczego to nie on lub ktoś z jego Zakonu odnalazł bezcenny kamień? Dlaczego udało się to paskudnemu pomiotowi czarnoksiężnika? Twierdzono wszak, że chłopiec nie jest ludzką istotą.

I jak to się stało, że nikt wcześniej nie natrafił na szafir? Gdzie był przez wszystkie stulecia? Wszak to ludzkie ręce musiały go oszlifować, nadać idealny kształt kuli. Podobno kamień był olbrzymi, powiadano, że ledwie mieści się w dłoniach.

Doskonały, bez żadnej skazy.

Kardynał musi go mieć!

Grymas oburzenia wykrzywił długą twarz. Biskup Engelbert wiedział o istnieniu dwóch innych kamieni, czerwonego i niebieskiego, w dzieciństwie usłyszał o nich od Habsburgów. Nie pamiętał o tym jednak, przypomniał sobie dopiero niedawno, zaledwie przed kilkoma dniami!

Cóż za dureń z tego Engelberta, kardynał stanowczo zbyt długo osłaniał bratanka. Na szczęście biskup przestał się już liczyć. Okrył się niesławą, doznał upokorzenia, cesarz odebrał mu tytuł. Kardynał von Graben nie mógł się

przyznawać do bliskiej znajomości z takim człowiekiem, więc i on odciął się od zdegradowanego biskupa.

Wśród mężczyzn przy drodze zapanował niepokój.

Wróg się zbliżał. Kardynał usiadł wygodniej, sprawdził, czy pozostaje niewidoczny z drogi, i wyteżył jastrzębie oczy.

Rozdział 2

Niepokój od pewnego czasu dręczący Móriego przybrał na sile.

Przemierzali lesiste pustkowia, w które nie zapuściłby się nikt przy zdrowych zmysłach, nawet by ich zaatakować. A jednak Dolg także odczuwał podenerwowanie, Móri poznał to po czarnych oczach syna czujnie badających okolicę.

Czarnoksiężnik z wielką ulgą przyjął fakt, że Taran i Villemann zawrócili razem z nieszczęśliwymi dziećmi von Virneburg, służącym i pokojówką Edith. Przynajmniej o nich nie musiał się martwić.

Przyjrzał się swoim towarzyszom. Theresa i Erling jechali oczywiście obok siebie. Dwóch żołnierzy cesarza otwierało pochód, dwóch zamykało. Bernd i Siegbert, wiejscy parobcy, zatopili się w rozmowie. Dolg starał się trzymać blisko Móriego, a Nero sprawiedliwie obdzielał łaskami wszystkich uczestników wyprawy, biegając po kolei od konia do konia. Najchętniej jednak, jak przystało prawdziwemu psu - przewodnikowi, trzymał się z przodu.

Grupa skurczyła się więc do dziesięciu osób, ale zawróciło czworo najsłabszych i pozostali tylko najsilniejsi. Bez wątplenia jednak Theresę i Dolga należało chronić, choć oboje bardzo chcieli uczestniczyć we wszystkim.

Cóż za okropnie ponury las! Światło dnia ledwie prześwitywało przez ciężkie, gęste korony drzew.

- Odnoszę wrażenie, że śledzą nas zmrużone oczy złych istot, ukrytych w głębi lasu - powiedział Dolg.

- Trochę przesadzasz - uśmiechnął się Móri. - Choć i ja nie mam ochoty zapuszczać się między drzewa. To zresztą byłoby trudne, straszny tu gąszcz.

Masz jednak rację, gdzieś w pobliżu czai się zło. Przypuszczam jednak, że ono płynie od ludzi.

Ludzie, tutaj? Na jakiej podstawie tak sądził? Od wielu już godzin nie spotkali żadnego domostwa.

Dolg jednak nie miał wątpliwości, przytaknął z powagą.

Dziecięcej duszy nie opuszczał niepokój. Chłopczyk rozejrzał się dookoła. Pnie drzew zostały całkowicie oplecione liśćmi bluszczu, które przez lata utkały także na ziemi gęsty dywan. Wraz z nieprzeniknioną gęstwiną gałęzi sprawiało to niesamowite wrażenie.

Dolga znów ogarnęła ta niezwykła tęsknota za domem, której nigdy nie mógł w pełni zrozumieć. Nie była to bowiem chęć powrotu do Theresenhof, które tak bardzo kochał. A przecież innego domu nie znał. Z powodu ciągłych prześladowań ze strony Zakonu Świętego Słońca musieli przebywać w pobliżu Theresenhof, gdzie chroniła ich siła woli duchów, obejmująca niestety tylko najbliższą okolicę dworu.

Po dwunastu latach Tiril, Móri i Erling odważyli się wypuścić poza ochronny mur, a kardynał i jego Zakon natychmiast zaatakowali. Erlinga i Móriego szczęśliwie już uratowano, lecz Tiril wciąż pozostawała w niewoli wroga.

Dolg często się zastanawiał, jaka to tęsknota nie przestaje go dręczyć. Za Norwegią? Za Islandią? Nigdy wszak tam nie był. A może jego podświadomość śniła o zupełnie innym miejscu, innej krainie?

Nero postawił uszy i warknął. Potem ze spuszczonego łbem wysunął się na przód orszaku.

- Co się stało, Nero? - spytał jeden z żołnierzy, jadący na początku.

Pies przystanął. Odwrócił się i odpowiedział stłumionym, ostrzegawczym piśnięciem.

Kapitan podniósł rękę na znak, że powinni się zatrzymać.

- Bardzo dobrze, Nero - pochwalił cicho, a ucieszony pies w odpowiedzi kilkakrotnie machnął ogonem. - Musicie naładować broń - zwrócił się kapitan do

swoich ludzi. - Wasza wysokość... i młody Dolg... Bardzo prosimy, nie wystawiajcie się na niebezpieczeństwo, żeby nie utrudniać nam zadania.

- Rozumiemy - odparła Theresa. - A co się stało?

- Na razie nie wiemy, ale mojemu koledze wydawało się, że słyszy parsknięcie konia, Siegbert zaś między drzewami zauważył błysk metalu.

- To prawda - szeptem przyświadczył Móri. - Ja i Dolg także wyczuwamy zagrożenie, coś, czego nie powinno być w tym lesie.

Mieli przed sobą niewielkie wzniesienie, przesłaniające widok. Droga zdawała się zakręcać wokół pagórka.

Kapitan ciągnął:

- Bernd, jesteś najmłodszy i co za tym idzie, najmniej doświadczony. Zostaniesz z księżną i Dolgiem. Będziesz ich bronić, choćby z narażeniem życia. My, pozostali, zajmujemy pozycje do walki.

Móri uściskał lekko rękę syna. Mocny i pewny uścisk dłoni Dolga zawsze go wzruszał.

Taki wspaniały chłopiec! I taki... inny!

Dolg sprawdził, czy kamień znajduje się na swoim miejscu w sakwie, przytroczonej do paska. Spojrzał na babcię Theresę, przelitykając ślinę. Księżna skinieniem głowy dodała mu otuchy.

Bernd nie bardzo wiedział, czy ma się czuć urażony, czy też dumny z zadania, które mu wyznaczono, zachował się jednak jak mężczyzna i załadował oba pistolety. Theresa także miała pistolet, natomiast Dolg nie nosił broni. Nie wolno mu było zabijać, Móri, jego ojciec, mówił mu o rym wiele razy wcześniej. Chłopiec wziął Nera na smycz, bo bał się o swego najlepszego przyjaciela. Nero, wiedziony chęcią przysłużenia się państwu, mógł rzucić się w wir ewentualnej walki.

Na rozkaz kapitana jeden z żołnierzy cesarza wyruszył na zwiady. Widzieli, jak się czołga, znika wśród drzew, by wkrótce pojawić się na szczycie. Leżał płasko przyciśnięty do ziemi, nad wierzchołek pagórka wystawał mu chyba tylko czubek głowy. Po krótkiej chwili wrócił na dół.

- I co?

Żołnierz westchnął.

- Gwardziści kardynała von Grabena. Rozpoznałem ich barwy.

- Ilu ich jest?

- Naliczyłem dwudziestu, ale może ich być więcej. Wybrali doskonale miejsce. W tym gęstym lesie nie zdołamy ich okrążyć.

- Mają konie?

- Tak. I są solidnie uzbrojeni. Bez wątplenia czekają właśnie na nas.

- Dlaczego uważasz, że może ich być więcej?

- Ponieważ w lesie jest prześwit, z początku myślałem nawet, że moglibyśmy ich ominąć właśnie tamtędy. Coś tam jednak było, wprawdzie gęstwina liści nie pozwalała tego zobaczyć dokładnie, ale to mógł być powóz. A przy nim jeszcze jacyś ludzie.

Dowódca pokiwał głową.

- Co najmniej dwudziestu - powtórzył zamyślony. - A nas jest czterech wyćwiczonych żołnierzy i czterech cywilów.

- Wzgórze jest dobrym punktem wypadowym, kapitanie.

- Owszem, też już o tym myślałem.

Móri i Dolg popatrzyli po sobie, chłopiec kiwnął głową, a jego ojciec powiedział:

- Wspominaliśmy o niebezpieczeństwie, wyczuwaliśmy jednak coś jeszcze, zarówno Dolg, jak i ja: tutaj czai się także zło. Od zwyczajnych wojaków nie bije taka ohydna siła. Nie znam jej źródła, lecz mam swoje podejrzenia.

- Kardynał, tutaj? - cicho spytała Theresa. - W takiej głuszy? Trudno mi w to uwierzyć. W każdym razie musiało go tu zwabić coś szczególnego.

Móri zastanawiał się, zacisnąwszy mocno szczęki, a po chwili zwrócił się do wszystkich:

- Przyjaciele, jak wicie, mam kontakt z innym światem. Jego przedstawiciele towarzyszą nam także w tej chwili.

- O, tak, zdążyliśmy już się zorientować - odparł jeden z żołnierzy nie bez goryczy w głosie.

- Czy zgodzicie się, abym poprosił ich o pomoc, jeśli nasza sytuacja okaże się całkiem beznadziejna? Nie chcę, aby choć jedno z nas musiało oddać życie. Czy mogę się do nich zwrócić?

Pytanie zaskoczyło zebranych, lecz żołnierze i parobkowie mężnie pokiwali głowami.

- Nigdy ich nie widzieliśmy - oświadczył dowódca. - Wyczuwamy jednak ich obecność. Dobrze, panie Móri, przyjmujemy ich pomoc w razie konieczności. Ale co oni mogą zrobić?

Theresa i Erling nie mogli powstrzymać się od uśmiechu.

- Zdziwicie się! - uprzedził Erling. - Ale czy macie śmiałość ich zobaczyć?

Niektórych doprawdy trudno nazwać urodziwymi, choć dwaj najstraszniejsi są przy naszej drodze Tiril i ta świadomość od dawna jest nam wielką pociechą.

- Nie wiecie, ile potrafimy wytrzymać - odrzekł kapitan, uśmiechając się pod nosem. - Niestraszne nam trolle ani nawet sam Zły. Ale wezwiemy ich tylko wtedy, gdy sytuacja będzie naprawdę krytyczna, prawda, panie Móri?

Czarnoksiężnik solennie to obiecał.

Wszyscy zajęli pozycje wskazane przez dowódcę. Theresa i Dolg wraz z Nerem musieli ukryć się w przerażającym lesie pod osłoną gałęzi, a Siegbert i Erling utworzyli tylną straż. Bernd ułożył się w dogodnym miejscu, aby czuwać nad księżną i jej wnukiem.

Móri przez chwilę stał ze ściągniętą twarzą. Powiódł wzrokiem w stronę wzgórz, ku gwardzistom, których nie mógł zobaczyć.

- Nic mnie nie powstrzyma w dotarciu do Tiril - szepnął do siebie. - Nic! Muszę ją uwolnić, muszę ją jeszcze raz zobaczyć. Nie ma znaczenia, kto przypadkiem stanie mi na drodze ani też jakich środków użyję, by przewyciężyć przeszkody. Kapitan barwnie ubranych gwardzistów kardynała zaczął się niecierpliwić.

Czy oni nigdy nie nadejdą? Zwiadowcy donieśli wszak, że nieprzyjaciele zbliżają się do zasadzki. Powinni tu być już dawno.

Widział po swoich ludziach, że stali się niespokojni, niepewni, za wszelką cenę pragnęli przyspieszyć bieg wydarzeń. Niedobrze. Musieli trwać na swoich posterunkach, każda zmiana mogła mieć zły wpływ na ostateczny rezultat walki. Walki? Starcie miało być szybkie, krótkie i brutalne. Dziesięcioro ludzi, wprawdzie wśród nich znajdowało się czterech żołnierzy cesarza, ale przecież nie spodziewali się ataku. To będzie prawdziwa rzeź, nie zdąży nawet być zabawnie. Nakazał jednemu z podwładnych wejść na wzgórze, by wypatrywał wrogów. Ten ruszył bez zwłoki.

Czekali.

Kapitan gwardzistów zdawał sobie sprawę, że najbardziej niecierpliwi się kardynał siedzący w powozie. Do jego uszu dotarł syk dostojnika, ale udał, że nic nie słyszy. Nie miał czasu ani ochoty na wysłuchiwanie bezsensownych upomnień.

Gdzie się podział zwiadowca?

Nieprzyjemny las, sprawia wrażenie, jakby był żywy. W skondensowanej ciszy słychać, zdawałoby się, pełzanie liszek. Gdzieś w górze trzasnęła gałązka, kapitan drgnął i zadarł głowę.

Zły na siebie odwrócił się w stronę najsłabszego ze swych podwładnych i nakazał mu sprowadzić zwiadowcę, można by się przynajmniej czegoś od niego dowiedzieć.

Gwardzista zsiadł z konia i ruszył w górę zbocza.

- Nie biegiem, idioto - syknął przez zęby kapitan, choć nie leżało w jego zamiarze, by żołnierz go usłyszał. Należało przecież zachowywać się cicho.

W powozie kardynał prychał i parskął, wyraźnie chciał coś zakomunikować, ale kapitan wcale się tym nie przejmował. Jeśli staruch czegoś sobie życzy, może wysiąść i powiedzieć mu to sam.

Zły humor nie opuszczał dowódcy gwardzistów ani jego podwładnych. Najbardziej jednak rozsierdził się kardynał von Graben.

Tak długo już tkwili w tym okropnym lesie, mieli tego dość, zmęczeni i głodni, a nieprzyjaciel wciąż się nie pojawiał.

Nie wracali także zwiadowcy, ani ten, który wyszedł pierwszy, ani drugi.

Tylko muchy, komary i gzy nie dawały spokoju.

Upłynęło wiele długich minut, wreszcie kapitan zaczął przeczuwać, że stało się coś niedobrego.

Dłużej czekać nie mogli, należało zmienić strategię.

Na to właśnie liczyli żołnierze cesarza, o tym jednak ludzie kardynała nie wiedzieli.

Kapitan gwardii kardynalskiej nakazał podwładnym zsiąść z koni i ruszyć w las.

Łatwiej jednak było to powiedzieć niż wykonać. Wspaniałe mundury, ozdobione mnóstwem metalowych elementów, i hełmy nie nadawały się do przedzierania przez gęstwinę. Wkrótce trzeba było porzucić tę taktykę, bo dwóch gwardzistów bezradnie uwięzło między gęsto rosnącymi drzewami, a inny hełmem zaczepił o wystającą gałąź.

W końcu kapitan musiał spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać, że organizatorzy zasadzki sami wpadli w pułapkę.

Zrozumiał to, gdy jeden ze zwiadowców stoczył się ze wzgórza i zatrzymał na drzewach. Stało się to po przeciwnej stronie drogi, nie ulegało jednak wątpliwości, że człowiek ów nie żyje.

Ostrzeżenie.

Nie mieli też złudzeń co do losu, jaki spotkał drugiego zwiadowcę.

Zostało mi siedemnastu ludzi, pomyślał z goryczą kapitan. No i kardynał, który jest tylko zawadą.

No, na pewno jakoś sobie poradzimy z tymi patałachami za wzgórzem. Jeśli sądzą, że uda im się przechytryć kapitana gwardii kardynalskiej, to bardzo się mylą.

Ochryply szept kardynała wreszcie dotarł do jego uszu:

- Pamiętajcie o chłopcu! Chcę go dostać, na innych tak mi nie zależy!

Łatwo powiedzieć!

Ciekawe, na co mu ten dzieciak? Czyżby w von Grabenie na stare lata odezwały się nieprzyzwoite skłonności? Zbyt długo żył w celibacie?

E, nie, dawno mu już wszystko wyszło.

Kapitan gwardzistów podjął najgłupszą w życiu decyzję. Zmęczony, głodny i zły nakazał swoim ludziom dosiąść koni i ruszyć do ataku.

Wszyscy jego podwładni uznali natomiast, że to najmądrzejsze, co powiedział w ciągu całego dnia.

Wkrótce jednak pożałowali, że go usłuchali.

Szturmem ruszyli na wzgórze, dokładnie tak jak przewidzieli to żołnierze księżnej Teresy. Rozpoczęła się walka.

Kardynał od razu stracił kolejnych ośmiu ludzi, bo towarzysze Teresy byli przygotowani na atak. Pozostali gwardziści zeskoczyli z wierzchołków i ukryli się w lesie, co okazało się poważnym błędem, albo też konno rzucili się do ucieczki.

Von Graben na ich widok wpadł we wściekłość. Przenikliwym starczym głosem wykrzykiwał rozkazy, których oni nie mogli usłuchać, tak były bezsensowne.

Kapitan gwardzistów nie uciekał. Po pierwszym strzale, który trafił człowieka u jego boku, zeskoczył z konia i przetoczył się pod niskie powykręcane gałęzie.

Stamtąd usiłował zorientować się w sytuacji, by wydać rozkazy swoim ludziom.

Nie było ich wielu. Ośmiu padło, leżeli teraz bez życia na leśnej drodze. Czterej zawrócili. Uciekli, uznał trochę niesprawiedliwie. Pozostałych pięciu i on sam tkwili plackiem przyciśnięci do ziemi, ukryci pod nachylającymi się gałęziami.

Ale gdzie podział się wróg? Kapitan trzymał pistolet gotowy do strzału, ale w zasięgu wzroku nie miał żadnego celu.

Dookoła panowała zupełna cisza.

Z wyjątkiem...

Co takiego usłyszał? Jakiś stłumiony dźwięk. Jak to zabrzmiało?

Jakby ktoś zaciskał rękę wokół pyska zwierzęcia, by stłumić popiskiwanie i warczenie?

Pies? Podobno gromadce czarnoksiężnika towarzyszył pies. Kapitan słyszał kiedyś rozmowę swoich ludzi o upiornym psie, który żył niesłychanie długo.

Nonsens!

Chłopiec? Gdzie mógł być? Podobno on i pies są nierozłączni.

Skąd dobiegał ten dźwięk?

Z tej samej strony drogi, po której i on się znajdował. Doskonale!

A gdzie ich konie? Zwiadowcy donieśli, że grupa nadjeżdża na wierzchowcach, ponadto towarzyszyły im dodatkowe, juczne konie.

Gdzie, na miłość boską, mogły być?

Jeden z ludzi kapitana jęknął i miał zamiar wyjść na drogę. Kapitan usiłował go powstrzymać.

- Kurcz mnie złapał - szepnął żołnierz. - W dodatku coś mi się wbija w bok, muszę rozprostować kości.

- Nie na drodze! - wysyczał kapitan, mocno akcentując każdą sylabę. Było już jednak za późno, żołnierz przetoczył się na otwarty teren.

Kapitan zaklął pod nosem i czekał na strzał.

Ale żaden strzał nie padł.

Ach, tak! Nie chcą zdradzić swoich pozycji. Są bardziej przebiegli, niż sądziłem, pomyślał.

Odwrócił głowę, słysząc parsknięcie zaniepokojonego konia. Dobiegło z oddali, oznaczało to, że wrogowie cofnęli wierzchowce spory kawałek.

Kapitan nie widział możliwości, by do nich dotrzeć i w ten sposób odciąć nieprzyjaciółom odwrót.

Jedynym tropem pozostawał pies. Gdyby kapitanowi udało się dotrzeć do chłopca, poczynania towarzyszących małymu dorosłych nie miałyby żadnego znaczenia. W każdej chwili mógł ich po prostu zastrzelić. Bardziej istotne, by wykonać najważniejsze polecenie von Grabena: przyprowadzić do niego dzieciaka.

Przez głowę przeleciało mu pytanie, dlaczego właściwie on sam i jego ludzie pozostają w służbie kardynała. Oczywiście dostawali żołd, lecz otrzymywaliby go także u innych panów. A von Graben nie zaliczał się do szczodrych.

Ale było coś w oczach starego dostojnika Kościoła. Samo ich spojrzenie dominowało nad człowiekiem, przymuszało, wręcz hipnotyzowało. Gdy ktoś popatrzył w nie o minutę za długo, stawał się niewolnikiem paskudnego starucha. Kapitan nie bardzo wierzył w pobożność patriarchy. Von Graben nigdy nie traktował swego stanu duchownego zbyt uroczyście, wielce natomiast cenił własną osobę i wysoką pozycję, jaką zajmował w Kościele.

Poszeptywano, że zajmował się nie tylko służeniem Bogu, interesował się także magią. Podobno istniał jakiś tajemniczy zakon, lecz nikt nie wiedział tego na pewno. Zresztą wszystko jedno, stary i tak niedługo umrze. Właściwie od dawna już powinien nie żyć. Powiadano, że osiągnął niespotykany wiek, miał od dziewięćdziesięciu pięciu do stu lat. Są tacy, co nie wiedzą, kiedy powinni się zabierać na tamten świat, gniewnie pomyślał kapitan. Żli ludzie często kurczowo trzymają się życia.

Zdawał sobie sprawę, że zbyt uogólnia, ale był tak przekłęcie głodny!

Od psa, a tym samym prawdopodobnie od chłopca, nie mogła go dzielić zbyt duża odległość. Jego żołnierz z powrotem wczołgał się pod drzewo, tym razem znalazł wygodniejszą pozycję. Jeszcze dwaj gwardziści znajdowali się po tej samej stronie drogi co oni, dwóch pozostałych nigdzie nie było widać. Ależ nie, naprzeciwko błysnął hełm! Pioruńsko głupi mundur na czas wojny. Reszta ludzi zdezerterowała. Jeśli kardynał nie natchnie ich w jakiś sposób, z całą pewnością nie wrócą przed końcem walki.

Kapitan rozważał sytuację. Czy miał zebrać swoich ludzi znajdujących się w pobliżu i wyruszyć ku miejscu, skąd, jak sądził, dochodziło popiskiwanie psa, czy też raczej uczynić to samodzielnie? Zorientował się, że jest sposób na to, żeby zagłębić się w las: najpierw należało czołgać się na brzuchu, potem przecisnąć

między gęsto rosnącymi pniami, a następnie znów wić się po ziemi. Co dalej - nie wiedział, ale i tak znalazłby się chyba dostatecznie blisko.

Pozostawienie gwardzistów samym sobie było jednak zbyt ryzykowne, musiał ich zabrać ze sobą. Kapitan gwardzistów był bowiem człowiekiem honoru i do obowiązujących go zasad zaliczał także odpowiedzialność za swój oddział. Z dwójką po przeciwnej stronie drogi nic nie mógł poradzić, ale trzem bliżej leżącym dał znak, by ruszyli wraz z nim.

Cóż za okropny las! Pod gęstwą dzikiego wina wprost roło się od wszelkiego robactwa, panował tu nieprzyjazny ze wszech miar półmrok. Gwardziści, czółgając się, przeklinali, dał im znak, by zachowywali się ciszej.

Nie mogli narzekać na brak szczęścia. Udało im się zejść od tyłu akurat tę grupę, na której im najbardziej zależało. Trafili na chłopca.

Bernd - kapitan, rzecz jasna, nie wiedział, że takie właśnie imię nosi parobek - ułożył się przed tymi, których miał osłaniać, i pilnował drogi. Nie wpadło mu do głowy, by się oglądać, za plecami miał przecież tylko las. Księżna, Dolg i Nero także nie patrzyli za siebie.

Ale wyczulony słuch zwierzęcia coś wychwycił. Nero gwałtownie odwrócił łeb, wyrrywając się z uścisku swego pana, i zaraz czterej gwardziści kardynała zostali zaatakowani przez rozwścieczonego psa.

Chłopiec krzyknął na Nera, księżna wołała do Dolga, by uciekał, ile tylko sił w nogach. Kapitan i jego trzej żołnierze, nie przygotowani na walkę z psem, nie zdołali wyciągnąć pistoletów, a i noży nie mieli w zasięgu ręki. Bernd wypalił, jego strzał wprawdzie nie zabił, ale wyeliminował jednego z żołnierzy; ranny zaczął wić się po ziemi. Księżna Theresa wycelowała w innego, zamknęła oczy, wystrzeliła i... trafiła.

- Święta Matko Boska, wybacz mi, odebrałam życie człowiekowi, ale musiałam wystąpić w obronie własnego wnuka.

Ku swej uldze zorientowała się jednak, że nie zabiła, tylko raniła kolejnego żołnierza. Spostrzegła, że Dolg jej usłuchał, niewielki, drobnej budowy, zdołał

przecisnąć się przez gęstwinę. Jeden z napastników, dowódca, jak przypuszczała Theresa, pomknął za nim. Określenie to było oczywiście przesadne, jako że dorosłemu mężczyźnie nie tak łatwo się przedzierać przez płataninę pni i powykęcanych gałęzi.

Nero zajął się ostatnim z żołnierzy, który przerażony błagał o litość. Bernd co prawda przytrzymał rozwścieczonego psa za obrozę, lecz nie odciągał rozwartej paszczyki, w której szczyrzyły się ostre białe zęby, zbyt daleko od gardła mężczyzny.

- Znakomicie się spisaliście, Bernd i Nero - pochwaliła Theresa. - Mam długi pasek przy sukni, nim go zwiążemy. Jego ranami, pogryzieniami, zajmiemy się później. Teraz najważniejszy jest Dolg.

Dwaj gwardziści, którzy pozostali po drugiej stronie drogi, przeżywali ciężkie chwile. Zostali zaatakowani, ale niemal jednocześnie powrócili konno czterej "dezercerzy" i wywiązała się walka.

Móri, usłyszawszy, jak bardzo rozjuszony jest Nero, natychmiast pobiegł w tamtą stronę. Trafiła go kula, ale zaaferowany ledwie to poczuł.

Dotarł do nich, kiedy Theresa opatrywała rannego.

- Dolg? Gdzie Dolg? - zawołał.

Theresa wskazała kierunek.

- Pobiegł przez las, ucieka przed dowódcą. Bernd ich goni.

Móri nie tracił czasu na odpowiedź. Ruszył we wskazanym przez księżną kierunku i zaraz zniknął w leśnym mroku.

- Moi przyjaciele - szepnął cicho. - Nauczycielu... i wy, inni. Nie mam czasu, by wzywać was z takim szacunkiem, na jaki zasługujecie. Pomóżcie memu synowi, pomóżcie nam wszystkim!

- Jesteśmy tutaj - rozległ się spokojny głos w jego uchu.

- Dziękuję - odparł Móri z ulgą.

Powrót czterech jeźdźców na pole walki stał się krytyczny dla przyjaciół Móriego broniących się na drodze. Konni zeskoczyli z wierzchowców, które przerażone

parskały i stawały dęba wraz z końmi ośmiu nieżyjących żołnierzy. Erling ciął jednego po zadzie, przerażone zwierzę popędziło drogą, a inne ruszyły za nim. Prawdopodobnie przyłączyły się do koni towarzyszących Móriemu i jego przyjaciółom, w każdym razie zniknęły z drogi i znalazły się poza zasięgiem strzału.

Ludziom łatwiej było teraz zorientować się w sytuacji.

Erling zdążył zauważyć, że dowódca żołnierzy cesarza jest w ciężkim położeniu, lecz sam został zaatakowany i musiał bronić się przed czwartym z jeźdźców, wciąż dosiadającym konia. Nadszedł ze wzniesioną szablą, którą zamierzał przebić Erlinga.

Boże mój, nie poradzę sobie z tym, zdążył pomyśleć Erling. A Theresa? Co się stało z Theresa, gdzie ona jest?

Szabla ze świstem przecięła powietrze, Erling ramionami usiłował osłonić głowę. Coś jednak musiało się wydarzyć, bo koń gwardzisty stanął dęba, dziko rżąc ze strachu. Oczy jeźdźca robiły się coraz większe, broń wypadła mu z ręki. Erling dostrzegł twarz zastygłą w przerażeniu, krzyk, który uwiązł w gardle, nie wyrwał się przez otwarte usta, żołnierz zsunął się z konia i jak oszalały rzucił się do ucieczki. Wierzchowiec pogalopował w tym samym kierunku.

Erling zrozumiał, co się stało.

- Dziękuję, niewidzialny przyjacielu Móriego, bez względu na to, kto z was pospieszył mi z pomocą.

Dowódca żołnierzy cesarza leżał na plecach, przygnieciony do ziemi ciężarem siedzącego mu na piersi człowieka kardynała, gotującego się już do podcięcia mu gardła szablą. Erling znajdował się zbyt daleko, by pospieszyć kapitanowi z pomocą, ale też okazało się to niepotrzebne.

Gwardzista kardynała przeklinał przez zaciśnięte zęby. Przeciwnik stawiał potężny opór i tylko dzięki temu udawało mu się na razie utrzymać śmiercionośne ostrze w odpowiedniej odległości od swej szyi. Dłonie dowódcy zaciskały się na nadgarstkach gwardzisty niczym żelazne narzędzie tortur.

O, nie, pomyślał rozeźlony człowiek kardynała. Nie uciekniesz mi!

Ale...

Czy coś nie oddzieliło go od wroga? Nie widział już jego twarzy tak wyraźnie.

Przed oczami pojawiło mu się natomiast coś strasznego, obrzydliwego, jakieś wykrzywione w paskudnym uśmiechu oblicze. Nie była to twarz żołnierza, którego zamierzał zabić, tamtą widział niżej.

Zwidy? Czyżby wypił za dużo? A może zasnął i majaczył?

Poczuł mdłości, całe ciało osłabło.

Dłoń ściskająca szablę rozluźniła się i już w następnym momencie wróg zdobył przewagę. Role całkiem się odwróciły. Gwardzista nie stawiał nawet oporu, kiedy nieprzyjaciel go zrzucił, i ostatnie, co zdążył zauważyć, była lufa pistoletu wymierzona prosto w niego. Padł strzał.

Dowódca oddziału cesarza nie pojmował, co się stało, dlaczego gwardzista nagle popatrzył na niego z takim przerażeniem i tak niespodziewanie zwolnił uścisk. Nie miał jednak czasu na rozważania. Musiał pospieszyć z pomocą swym przyjaciółom...

Wyglądało jednak na to, że dzieje się coś dziwnego.

Wszyscy ludzie kardynała zachowywali się osobliwie, wprost trudno to było pojąć. I z jakiego powodu tak krzyczeli? Jakby ogarnięci śmiertelnym strachem, chociaż niektórym wcale nie groziło niebezpieczeństwo, bez trudu powinno im przyjść szybkie zwycięstwo.

Niczego nie rozumiał.

Musieli teraz zająć się pojmaniem tych spośród ludzi kardynała, którzy usiłowali zbiec z lasu także księżna wołała, że leży tam dwóch gwardzistów, jeden związany i jeden ranny; nie mogli ich zostawić na pastwę losu.

Dowódca uspokoił ją okrzykiem i wciąż zdumiony rzucił się do walki.

Nauczyciel i Duch Zgasłych Nadziei popatrzyli po sobie ze śmiechem.

- Świetnie się spisaliśmy!

- Wspaniale znów działać!

- A chłopiec? Kto ochrania Dolga?

- Dolgiem się nie przejmuj, to nie nasza sprawa. Tamten przybył.

- Naprawdę? Doskonale! Ale co widzę, jeden z żołnierzy cesarza znów znalazł się w kłopotcie. Spieszmy się, to takie zabawne!

Dowódca oddziału cesarza kątem oka dostrzegł wreszcie tych, którzy pomogli w walce jemu i jego podwładnym. Poblądły, usiadł tak jak stał, nie mogąc się ruszyć.

- Boże mój - szepnął. - Boże, nie dopuść, aby moi ludzie to zobaczyli! Nie wytrzymają takiego wstrząsu!

Rozdział 3

Dolg, drobny i lekki, swobodnie przemykał się przez gęsty las. Kapitanowi gwardzistów kardynała znacznie trudniej było się przedzierać przez gęstwinę, ale poganiał go zapal.

Kapitan wiedział, że ktoś go ściga, ale tym się nie przejmował. Nie chciał tracić czasu na rozprawianie się z Berndem, prostym parobkiem. Jego celem był chłopiec. Nie miał pojęcia, że od tyłu zbliża się także Móri.

Dolg słyszał za plecami ogłuszający trzask łamanych gałęzi i siarczyste przekleństwa. Raz po raz sprawdzał, czy kamień jest na swoim miejscu, właściwie zupełnie niepotrzebnie, bo kula była ciężka i chłopiec natychmiast by się zorientował, gdyby istotnie ją zgubił.

Nie bardzo wiedział już, gdzie jest, odgłosy starcia na drodze dawno zostały za nim. Bał się, że zabłądzi w tym głębokim, nieprzyjemnie mrocznym lesie, lecz musiał wszak uciekać przed swym prześladowcą. Dolg nie miał możliwości, by go zabić, nie chciał też tego czynić. A kapitan gwardzistów był uzbrojony w pistolet. To niebezpieczne, bardzo niebezpieczne. Dolg kluczył między drzewami, starając się, aby zawsze jakiś potężny pień oddzielał go od napastnika. Nie sprawiało mu to wcale trudności, prawdę mówiąc, o wiele trudniej było znaleźć otwartą przestrzeń, by oddać strzał.

Spostrzegł coś między drzewami.

Dom?

Nie, to kareta. Ten powóz, o którym mówił wysłany na zwiady żołnierz. No cóż, wobec tego Dolg nie mógł się znajdować zbyt daleko od drogi; zawsze to jakaś pocięcha.

Zawahał się przez chwilę. Czy powinien wsiąść do środka i odjechać? Widział, że do powozu zaprzęgnięto konia, a może nawet dwa, przez liście trudno było to stwierdzić.

Chwila wahania okazała się katastrofalna w skutkach. Kapitan zdołał go dogonić i Dolg daremnie starał się uskoczyć. Został złapany.

- Ty mała leśna myszo - syknął rozeźlony gwardzista. - Sądziłeś, że zdołasz przede mną umknąć? Ale... Na miłość boską!

Ujrzał twarz Dolga i w zdumieniu rozluźnił trochę chwyt. Chłopiec zwinnie próbował wywinąć się z jego uścisku, lecz kapitan prędko otrząsnął się z zaskoczenia i mocno go przytrzymał.

- Stój spokojnie, odmieńcze, żebym zdażył...

- Nie, zaczekaj! - rozległ się ohydny, podniecony głos. - Nie strzelaj, sam się zajmę tym szatańskim pomiotem!

Dolg odwrócił głowę. Z powozu wysiadł bardzo stary człowiek w długiej czarnej pelerynie.

Chłopiec naprawdę się przestraszył. Od razu zrozumiał, że to musi być kardynał, nikt inny nie mógł mieć równie przenikliwego, przepojonego złem spojrzenia.

- A więc tak wygląda osławiony syn czarnoksiężnika - rzekł starzec tonem, który w zamiarze miał może być łagodny. Nie zdołał jednak ukryć tysięcy ostrych sopli lodu. - Doprawdy, nie przesadzano. On jest przecież groteskowy!

Sam jesteś groteskowy, pomyślał Dolg urażony, próbując się wyrwać. Obydwaj mężczyźni jednak rzucili się na niego, wywiązała się szaleńcza walka. Momentami Dolg dostrzegał fanatyczne oczy kardynała, dłoń kapitana usiłowała sięgnąć po pistolet. Nagle znalazł się Bernd, lecz obalono go na ziemię. Przypominająca szpon drapieżnego ptaka ręka kardynała wila się, chcąc dosięgnąć olbrzymiego szafiru, a Dolg usiłował go chronić, jednocześnie odpychając pistolet kapitana.

Wreszcie chłopiec dostrzegł także Móriego. Dzięki, najdroższy ojcze, teraz już wszystko będzie dobrze!

Tak jednak wcale się nie stało. Kardynał von Graben uczynił coś, jakiś ruch, syk, posłał spojrzenie w stronę ojca, od którego inny człowiek mógłby paść trupem na miejscu, lecz Móriego, czarnoksiężnika, tylko sparaliżowało. Wystarczyło jednak, by wyeliminować ojca Dolga z walki na krótką chwilę, potrzebną kardynałowi na wsunięcie ręki do sakwy chłopca i wyjęcie kuli. Dłonie Dolga zamknął w żelaznym uścisku kapitan.

Rozległ się krzyk triumfu i krzyk rozpacz.

Kardynał, oszołomiony zwycięstwem, podniósł błękitny kamień w górę, a Dolg rozplakał się z bezsilności.

Móri walczył z odrętwieniem. Dolg widział, jak ojciec próbuje podnieść ramiona, ale czynił to tak wolno, tak niesłychanie wolno!

Kardynał odwrócił się, żeby wsiąść do powozu.

- Zabij ich! - lodowatym głosem rzucił przez ramię rozkaz kapitanowi gwardzistów.

- Zatrzymaj się, nędzniku! - rozległ się nagle głęboki głos. Kardynał odruchowo się odwrócił. Cień spokojnie wyswobodził Dolga z uścisku zaskoczonego kapitana i odrzucił pistolet w las. Potem olbrzymia zjawa wyciągnęła rękę w stronę kardynała.

- Oddaj mi kamień! - zagrzmiął.

Dolg odetchnął z ulgą. Cień, jego ukochany Cień wrócił!

Kardynał władczy gestem wskazał na Cienia.

- Wracaj do grobu, nieczysty duchu - prychnął. - Jestem Wielkim Mistrzem Zakonu Świętego Słońca i nie możesz mnie nawet tknąć!

- Rzeczywiście, nie mogę ci nic zrobić, zdołałeś bowiem przywłaszczyć sobie jeden ze znaków Słońca, pozostałych jeszcze z pradawnych czasów. Ale święty kamień Dolga oddaj! Oddaj natychmiast!

- Na pewno tego nie zrobię - zaczął kardynał, lecz jego siła nagle jakby zaczęła gasnąć, kąciki ust mu opadły, wolno i niechętnie wyciągnął cudowny niebieski szafir.

- Weź go, Dolgu - z pozoru beznamiętnie powiedział Cień, nie odwracając się do chłopca.

Dolg, który wiedział, że kamień nie powinien trafić w ręce Cienia, cały drżąc podszedł do kardynała. Z mętnie brązowych oczu starca sypały się błyskawice gniewu i nienawiści, chłopiec prędko schował kulę z powrotem do torby przy pasku. Potem biegiem wrócił do ojca.

Cień głębokim, władcym głosem rozkazał kardynałowi:

- Zabieraj niedobitki swojej gwardii i opuść to miejsce!

Von Graben wciąż patrzył na Cienia, lecz nie miał nad nim żadnej władzy. Spojrzał na swego kapitana, który stał jak skamieniały; grymas pogardy przesunął się po twarzy starca, w końcu przeniósł wzrok na Móriego.

- Nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa, ty prostaku z Islandii! Sądzisz, że zdołasz mnie pokonać? Kiedyś znów się spotkamy, a wtedy się przekonasz, kto jest największym czarnoksiężnikiem na świecie.

- To mnie nie obchodzi - odparł Móri, odzyskawszy zdolność poruszania się.

- Tak, bo posługujesz się prostackimi sztuczkami. Przyzywasz na pomoc zmarłych i inne duchy. Ale ja jestem potężniejszy...

- Przestań stroszyć pióra jak czupurny kogucik - przerwał mu najwyraźniej znudzony Cień. - Za późno już, by udawać kurczaka. Nie mamy dla ciebie więcej czasu, ruszamy dalej.

Kardynał doprawdy nie przywykł do takiego traktowania. Kiedy wsiadał do powozu, z jego zmrużonych oczu biła nienawiść. Mierzył wzrokiem Cienia, lecz musiał przyznać, że nie posiada żadnej władzy nad tym duchem otchłani, a jeszcze lepiej zdał sobie z tego sprawę, dostrzegając znak Słońca, lekko połyskujący spod opończy. Dlatego skierował wzrok na Móriego, z gniewem obserwując, jak pięknym mężczyzną jest ów przeklęty czarnoksiężnik z Islandii.

Przyglądał się chłopcu, którego uważał za potworka, lecz zafascynowały go niebywale wielkie, całkiem czarne oczy Dolga, delikatne rysy twarzy, nie przypominające rysów człowieka, a raczej eteryczną istotę z tajemniczego świata baśni, patrzył na czarne loki, spadające chłopcu na ramiona, ale napotkawszy czyste i niewinne dziecięce spojrzenie, musiał odwrócić głowę.

Jego przenikliwy, tchnący wyłącznie złem wzrok nie miał tutaj żadnej władzy. Gdy jednak kardynał odwrócił twarz, lekki, prawie niewidoczny uśmieszek ukazał się w kącikach jego ust. Podstępny, zimny uśmiech triumfu.

Dotknąłem niebieskiej kuli, myślał. Tajemniczego szafiru. Już czuję życiodajny strumień, płynący przez ciało. Wy, duchy otchłani i zwykli śmiertelnicy, o tym nie wiecie. A może mnie wystarczyło samo dotknięcie kamienia?

Chyba jednak nie, ale tymczasem wystarczy. Otrzymałem kolejne odroczenie, stałem się młodszy, silniejszy i na pewno zdołam odszukać Święte Słońce.

Surowo nakazał kapitanowi swej gwardii odjazd. Nie użył słowa "odwrót", choć ono byłoby właściwsze.

Móri ze swymi towarzyszami zawrócili i ruszyli przez las, by odnaleźć Theresę i pomóc pozostałym.

Cień jednak zatrzymał się niemal zaraz, gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem wzroku kardynała i jego kapitana.

- Tutaj się rozstaniemy - rzekł cicho. - Lepiej, by mnie zbyt wielu nie widziało.

Z pewnością osłupienie Bernda nie uszło jego uwagi i nie miał ochoty stykać się z podobnymi reakcjami.

Dolg się zasmucił.

- Nie możesz nam towarzyszyć?

- Nie, przyjacielu. Musisz teraz sam uważać na siebie. Przydałby ci się znak Słońca, strzegący przed wielkimi niebezpieczeństwami, lecz niestety nie mogę ci go dać.

- Winni ci jesteśmy ogromną wdzięczność, Wielki Mistrzu. Wybawiłeś nas z naprawdę trudnej sytuacji. I dałeś naszemu najzagorzalszemu wrogowi,

kardynałowi, porządną nauzkę. To bardzo miłe uczucie dla nas, ściganych przez niego od tyłu już lat.

Cień uśmiechnął się z przekąsem.

- To była sama przyjemność. Niestety, nie miałem nad nim dostatecznej władzy, gdyż i on jako ochronę nosi niebywale cenny znak Słońca.

- Skąd go ma?

- Straciliśmy dwa znaki. Skradli nam je ludzie. Wokół jednego utworzono Zakon Świętego Słońca, a sam znak po pierwszym wielkim mistrzu dziedziczyli kolejni. Bernd za plecami Móriego dzwonił zębami ze strachu. Co prawda po przybyciu Móriego do Theresenhof był świadkiem niejednego tajemniczego wydarzenia, lecz nic nie mogło się mierzyć z owym ogromnym cieniem. Najbardziej przerażał chłopaka niezwykle autorytet bijący od tej postaci.

- A drugi znak Słońca? - cicho spytał Móri.

- Zniknął - odparł Cień. - Wiemy, kto go posiadał. Tamten człowiek był także członkiem Zakonu Świętego Słońca i dzięki znakowi był w zasadzie nietykalny. W jakiś sposób musiał go jednak stracić, bo poległ w bitwie. Nie doszłoby do tego, gdyby nosił znak.

- Kiedy się to wydarzyło?

Cień uśmiechnął się ze smutkiem, jakby w roztargnieniu.

- Bardzo, bardzo dawno temu.

Wydawało się, że nic więcej już nie powie, więc Dolg, nie chcąc się z nim rozstawać, rzucił prędko:

- Ale dlaczego Zakonowi Świętego Słońca towarzyszy zło? Ty, panie, wydajesz się taki szlachetny. Zło nie mogło się chyba wiązać z Zakonem od samego początku?

- Och, oczywiście. Ale Słońce reprezentuje coś, czego ludzie zawsze pożąдали, a ponieważ zdobyć, osiąść to, co nieosiągalne, pragną zazwyczaj ludzie źli, Słońce stało się zbyt wielką pokusą i ze zła narodził się zakon. Ludzie nie są wystarczająco szlachetni, by trzymać pieczę nad Świętym Słońcem.

Wyprostował się i górował teraz nad nimi w pełni swego majestatycznego wzrostu. Wprawdzie nie widzieli go wyraźnie, wyczuwali jednak, że melancholijnie zapatrzył się ponad ich głowami w utęsknione miejsce, odległe, odległe w czasie i przestrzeni.

Zdawało się, że i Bernd to wyczuwa. Chłopak, sądząc po drżącym westchnieniu ostrożnej ulgi, przestał się już tak bardzo bać.

Zastanawiali się nad słowami Cienia i mieli wielką ochotę pytać go dalej, lecz nie wiedzieli, o co. On tymczasem głęboko odetchnął i oświadczył:

- Poza wszystkim nie chciałbym unicestwić starca, kardynała.

- A to dlaczego? - zdumiał się Móri.

- Lepszy on niż brat Lorenzo - zwięźle wyjaśnił Cień.

- Nigdy bym tego nie przypuszczał.

- Ależ tak! Kardynał w żalosny sposób zabiega o prestiż. Lorenzo jest o wiele twardszy, inteligentniejszy i świadomy celu. Jeśli zdobędzie władzę i znak Słońca kardynała, nie będzie przebierał w środkach. Wierście mi! Lorenzo jest bardziej niebezpieczny, niż wam się wydaje. Dotychczas był tylko prawą ręką kardynała.

Zaczekajcie, aż stary umrze, a polowanie na was rozpocznie się naprawdę.

Takie przewidywania nie dodały otuchy.

Cień, zwrócony wprost do Móriego, ciągnął:

- Zmierzacie teraz na zachód, ku Pirenejom. Czy zdołacie ocalić Tiril, zależy tylko od was. Bez względu jednak na to, co się stanie, jedźcie dalej drogą, którą podążacie, w głąb Hiszpanii.

- My także doszliśmy do takiego wniosku - rzekł Móri, kiwając głową. - Bo gdzieś tam musi znajdować się bastion Zakonu Świętego Słońca, prawda?

- Owszem. W Deobrigula. Ważniejszy jest jednak kamień Ordogno. I on znajduje się na waszym szlaku.

- Cieniu, czy ty nie możesz nam powiedzieć...? - spytał Dolg z ożywieniem.

- Niestety, nie mogę - odparł Cień. - Nie wolno mi zdradzać zbyt wiele na temat mego ludu, nie wiem też o wszystkim, co zdołał osiągnąć zły zakon. Tak wiele

ukryli za pomocą magicznych run. Wy natomiast możecie spróbować odszukać kamień Ordogno. A teraz... żegnajcie!

Zanim zdążyli go powstrzymać, zniknął w lesie.

Przy drodze kapitan kardynała zebrał resztki swej dumnej gwardii. Walka się skończyła. Ani jeden z jego ludzi nie wyszedł bez szwanku, połowa nie żyła.

Jeden leżał żałośnie związany na skraju lasu, na całym ciele pokąsany przez psa. Wszystkich rannych śmiertelną trwogą nappełnił widok czegoś, czego nie potrafili wytłumaczyć.

Kapitan im wierzył. Sam widział dostatecznie dużo.

Kardynał już odjechał, nie poświęcając nawet jednego spojrzenia swoim ludziom, którzy dla niego oddali życie. Ponieważ jego woźnica padł, wyznaczył do tego zadania jednego z żołnierzy. Było to bardzo upokarzające dla zahartowanego w bojach wojaka, ale odniósł tak dotkliwe rany, że nie mógł dosiąść konia. Kardynał, rozgniewany, warknął, by nie użalał się nad drobnymi skaleczeniami, bo przecież powożenie ekwipażem jego eminencji to zaszczyt! Kazał ruszać, pozostawiając gwardzistów swemu losowi.

Móri patrzył, jak niedobitki gwardii kardynalskiej odjeżdżają. Księżna wcześniej spytała, czy może się zająć rannymi, ale kapitan krótko podziękował. Theresa w milczeniu spuściła głowę i podniosła z ziemi pasek od sukni.

Kiedy, podążając dalej na zachód, Móri i jego towarzysze mijali gwardzistów kardynała, ich kapitan zasalutował, a w ślad za nim, podnosząc swoje szable, uczynili to także ci z żołnierzy, którzy byli w stanie się ruszyć.

Czterej żołnierze cesarza równie uprzejmie odpowiedzieli na pozdrowienie, a cywile z szacunkiem skłonili głowy. Obie strony pragnęły wykazać się kulturą, której kardynał nie posiadał ani odrobiny.

Gdy odjechali już dostatecznie daleko od miejsca starcia, Móri postanowił zrobić postój, by opatrzyć ewentualne rany.

Berndowi nie szczędzono pochwał za okazaną dzielność, chłopak żył nimi jeszcze przez tydzień. Móriego trafiono w ramię, ale rana okazała się powierzchowna i

łatwa do wyleczenia. Gorzej sprawa się przedstawiała z jednym z żołnierzy, a także Siegbertem i Erlingiem. Żołnierzowi zadano cios szablą w głowę, zdołał wprawdzie uchylić się w czas, lecz został przy tym niemalże oskalpowany i mocno krwawił. Theresa okazała się bardzo sprawną pielęgniarką. Siegbert przez zranioną nogę miał trudności z chodzeniem, ale puszył się raną tak jak Bernd pochwałami. Erling w zasadzie nie doznał obrażeń, lecz dosięgło go to, co dotyka wielu żołnierzy, zwłaszcza tych niedoświadczonych: przeżył wstrząs widząc tak wielu ludzi umierających gwałtowną śmiercią. Drżał, jakby przeniknął go chłód, i to drżenie nie chciało ustąpić. Theresa stwierdziła jednak, że taka reakcja świadczy o nim jak najlepiej, i wszyscy pozostali nie mogli się z nią nie zgodzić.

Najgorzej jednak sprawa przedstawiała się z Dolgiem.

Chłopca nie dało się pocieszyć. Rozszlochał się tak, że nie mogli zeń wyciągnąć, co go tak zasmuciło, gdy jednak dostał do picia coś gorącego z kociołka wiszącego nad ogniskiem, które rozpalili, wyjaśnił w końcu:

- Szafir! Cudowny niebieski szafir... Jest brudny!
- Można go chyba umyć - próbował uspokoić syna Móri.
- Nie, nie można, bo on jest brudny w środku!
- Pokaż nam! Nie bój się, nie będziemy go dotykać, tylko popatrzymy. Podnieś go do góry.

Zalany łzami Dolg drżącymi rękami uniósł swój klejnot.

Wszyscy teraz zobaczyli, że szafir stracił swą przejrzystość. W głębi widać było mętną plamę.

Żołnierze i chłopcy służący nigdy dotąd nie widzieli niebieskiej kuli i wydała się im baśniowo piękna. Inni jednak dostrzegli różnicę.

- Szkoda, że nie widzieliście, jak iskrzy - powiedział zasmucony Erling. -

Piękniejszy kamień nie istnieje!

- Nic dziwnego, że jest brudny - mruknął Móri. - Trzymał go przecież w dłoniach ten zły starzec.

- Szafir nie może stykać się ze złem - płakał Dolg. - Co my zrobimy, jest zniszczony!

Bernd wtrącił z wahaniem:

- Czy panicz Dolg nie może spytać swojego... tego, który się pojawił?

- Cienia? - rozjaśnił się Dolg.

- Czy on wciąż jest tutaj? - dopytywała się Theresa.

- Nie wiem. Nie widziałem go od chwili, gdy oddał mi kamień zabrany kardynałowi.

Ale mogę go wezwać.

Dolg, już trochę mniej zmartwiony, wstał i zawołał:

- Cieniu, mój przyjacielu! Jesteś tutaj? Nie wiem, co mam zrobić z szafirem!

Z mroku pod drzewami wyłoniła się olbrzymia postać, czarny skondensowany cień, w inny sposób nie dało się go opisać. Nero skoczył w przód i przywitał się, wesoło merdając ogonem.

Ci, którzy dotychczas Cienia nie widzieli, poderwali się zaskoczeni, inni wstali z szacunkiem.

Cień zwrócił się do Dolga:

- Podnieś go do góry!

Chłopiec posłusznie wykonał polecenie, a olbrzym patrzył na szafir, nie zbliżając się do niego.

- Masz rację. Ten łajdak zbezczeszczył szlachetny kamień. Teraz naprawdę musisz pozwolić mi go dotknąć.

Dolg zawahał się.

- Zaufaj mi, chłopcze, nie odbiorę ci go, chociaż pożądam go całą duszą.

- Czy trzymanie szafiru w dłoniach nie jest dla ciebie niebezpieczne?

- Niebezpieczne raczej nie jest - odparł głuchy głos z uśmiechem, ale im wydało się, że w tym uśmiechu, którego nie widzą, a tylko słyszą, znać ślad smutku. - Ale to niedobrze dla was.

Dolg ufnie ułożył mu kulę w dłoniach.

- Tylko ty możesz oczyścić szafir - rzekł uroczyście.

Był to zaiste niezwykle widok, kiedy dłonie utkane z cienia otoczyły idealnie okrągły kamień. Widać go było poprzez dłonie, ale i dłonie wyglądały teraz inaczej.

A potem... z wolna zarysy szafiru zatracaly ostrość, podczas gdy dłonie jej nabierały. Świadkowie głośno jęknęli, kiedy wyłoniła się postać mężczyzny w mniesiej opończy. Wciąż nie była wyraźna, ale teraz widzieli już twarz Cienia, skórę i gruby sznur, którym był przewiązany w pasie, materiał szaty, czarny, spleciony z nici, jakich nie znali.

Dolg badawczo przyglądał się ukazującej się twarzy. Wreszcie przemiana się zakończyła, ale olbrzym wciąż pozostawał bardziej cieniem niż żywą istotą. Stał się jednak na tyle wyraźny, że to, co dostrzegł Dolg, znów przywołało łzy do oczu chłopca.

- Jesteś jednym z nich - szepnął Dolg. - Jednym z nas!

- Tak, Dolgu, właśnie tak - łagodnie potwierdził Cień.

Olbrzymie, nieco skośne, czarne jak węgiel oczy, pozbawione białek. Rysy niezwykle czyste, niespotykane u żadnej ludzkiej rasy, może z wyjątkiem jakiejś niezwyklej istoty z etiopskiego plemienia.

Zwrócił kamień Dolgowi.

- Zrobiłem, co mogłem. To nie wystarczyło i nie wiem, czego potrzeba, by go całkiem oczyścić.

Patrzyli na szafir, teraz w drobnych rączkach Dolga. Kamień był bez wątpienia bardziej przejrzysty, połyskujący, lecz wciąż pozostawały w nim mętne plamy. Plamy, które mogły nigdy nie zniknąć.

- Czystość - orzekł Cień. - Potrzeba z pewnością duchowej czystości. Lecz jeśli nawet ty, mały, niewinny chłopiec, nie możesz pomóc swojemu kamieniowi, to nie wiem, gdzie szukać środka zaradczego. Zły kardynał zadał nieuleczalną ranę naszemu klejnotowi.

Powiedział "naszemu klejnotowi", zapamiętał sobie Dolg. Co miał na myśli?

Cień wyprostował się wzdychając.

- A teraz muszę was opuścić, przyjaciele. Jako prawie niewidzialny, mogłem przychodzić i odchodzić. Teraz jednak, kiedy stałem się wyraźniejszy, nie mogę ci już więcej pomagać, Dolgu.

Chłopiec głęboko się zasmucił.

- Taką cenę musieliśmy zapłacić za to, że dotknąłem kamienia - powiedział Cień. Móri sprawiał wrażenie nieobecnego duchem. Zastanawiał się nad dwiema sprawami, o których wspomniał Cień.

Pierwszą z nich były jego słowa: "Znak Słońca skradziony nam przez ludzi".

Ludzi? Kim więc albo czym byli ci, o których mówił "my"?

Druga kwestia: Deobrigula. Znow pojawiło się to słowo czy nazwa. Bastion Zakonu Słońca miał leżeć w Deobrigula.

Bez wątplenia to łacińskie słowo. Zgadzałoby się więc, że stary zakon wywodził się jeszcze z czasów rzymskich.

Móri zamierzał pytać o więcej, ale drgnął, kiedy Cień zwrócił się wprost do niego.

- Móri z rodu islandzkich czarnoksiężników! Twój syn zadał mi kiedyś ważne pytanie, na które nie zdażyłem odpowiedzieć. Uczynię to teraz. Dolg zapytał, skąd wziął się jego wygląd. Zapewniłem go, że nigdy nie zbliżyłem się do jego matki, nietykalnej.

Móri skinął głową. Pozostali zrozumieli, że i dla niego ta sprawa była ogromnie ważna, być może szczególnie teraz, kiedy ujrzał podobieństwo między Dolgiem a Cieniem.

Nie widzieli Strażniczki czuwającej przy grocie szafiru ani też największej gromady błędnych ogników, wszystkich tak podobnych do Dolga.

Olbrzym uśmiechnął się.

- To ciebie, Móri, przygotowano.

- Mnie?

- W krainie na północy dostałeś kiedyś napój, niezwykle aromatyczny. Wypiłeś go i spytałeś Tiril, co w nim było, ale ona nic o nim nie wiedziała. Napój po prostu stał na twoim stoliku.

Móri zastanowił się, powrócił myślą do okresu spędzonego w Norwegii, przed narodzinami Dolga.

- Pamiętam.

- To ja wszedłem do waszego domu. Do napoju wlałem olejki aromatyczne i pewne substancje z naszego świata. Rozeszły się po twojej krwi i kiedy spłodziłeś Dolga, ich cząsteczki przeniknęły także w jego krew i przez to stał się jednym z nas.

Móri oniemiał, nie był w stanie odpowiedzieć.

Cień wyprostował się na całą swoją imponującą wysokość.

- Żegnajcie! Strzeżcie młodego Dolga, dla nas, dla siebie i dla twych szczególnych niewidzialnych przyjaciół, Móri. Nie mamy nic cenniejszego niż on.

Odwrócił się i ruszył w stronę lasu.

- Czy nigdy już nie wrócisz? - zawołał za nim Dolg z żalem w głosie.

Cień spojrzał przez ramię.

- Być może. To zależy od ciebie, Dolgu. Jeśli przejdziesz przez następną próbę. Z tymi tajemniczymi słowami zniknął.

Tym, którzy pozostali, zdało się, że pustka stała się jeszcze dotkliwsza.

Rozdział 4

Wieści pędziły na zachód. Do rycerzy zakonnych we Francji i w Hiszpanii.

Wrogowie wyruszyli ku Pirenejom. Powstrzymać ich, zabić! Nie dopuścić, by dotarli do uwięzionej kobiety! Bracie Lorenzo, należy ją przesłuchać jak najprędzej, stosując wszelkie dostępne środki, a następnie zgładzić!

Wielki Mistrz bardzo się pilnował, by nie narażać się bez potrzeby. Jeśli ktoś inny mógł wykonać to, co jemu się nie udało, bardzo się z tego cieszył.

Sam zaszył się w domu w Sankt Gallen i z rozkoszą obserwował, jak siły życiowe wstępują weń od nowa. Niebieski kamień zadziałał.

Już niedługo będzie dostatecznie silny, by wznowić poszukiwania Świętego Słońca. Gdy Lorenzo wyciśnie z tej upartej kobiety jej tajemnice, ich wiedza stanie się o wiele większa.

Zakon Słońca będzie gotów do zadania ostatecznego ciosu.

A on, von Graben, zbierze owoce. Tylko on i nikt inny.

Po odjeździe pokojówki Edith i małej Taran do Theresenhof księżna Theresa była jedyną kobietą w gromadce podążającej na zachód. Wcześniej się nad tym nie zastanawiała, bo wszyscy dziesięcioro stanowili zgraną grupę i czuła się po prostu jedną z nich. Poza tym podświadomie wliczała swoją córkę Tiril do ich zastępu, jakby Tiril już z nimi była.

Nadszedł jednak wieczór, kiedy musiała przyznać, że różni się od swoich towarzyszy, i na nowo uświadomiła sobie swoją kobiecość.

Dotarli już do Francji, znaleźli się na wysokich górskich szlakach północnej Prowansji. Podróż przez Szwajcarię przebiegała w powadze. Z zacieklej walki nikt nie wyszedł cało, wszyscy odnieśli rany, na ciele bądź na duszy, w milczeniu rozmyślali o swych niesamowitych sprzymierzeńcach, udręczeni, że przez nich zginęli ludzie.

W tej ostatniej kwestii trochę się mylili. Nie z ich winy wszak tak wielu utraciło życie. Całą odpowiedzialność za to ponosił Wielki Mistrz Zakonu Świętego Słońca.

No cóż, należało się spodziewać, że to właśnie ich będą dręczyć wyrzuty sumienia, a nie jego.

Najbardziej wciąż cierpiał Dolg. Nic nie mogło stłumić jego żalu nad tym, że szlachetna niebieska kula tak zmatowiała. W głębi kamienia pozostała wprawdzie tylko drobna mętna plamka, lecz to wystarczyło, by Dolg był niepokieszony.

Próbował wszystkiego, rozmawiał z duchami Móriego, lecz co one mogły poradzić? Pani powietrza powiedziała: "My sami jesteśmy już tak zbrukani, a niektórych wprost zniszczyła ludzka głupota, i będzie jeszcze gorzej, nie mamy ci więc nic do zaofiarowania, kochany chłopcze. Ale nie ustawaj w poszukiwaniach, nie poddawaj się!"

Dolg westchnął. Jeśli nawet Cień nie mógł nic uczynić dla kamienia, cóż w takim razie mógł zdziałać on sam? Prosił o pomoc także swego ducha opiekuńczego, lecz Eliveva była równie bezradna.

- Nie przejmuj się tym - łagodnie przemawiała chłopcu do rozsądku Theresa. - Szafir jest niemal idealnie przejrzysty. Nie znam nikogo, kto byłby równie czysty jak ty, zobaczysz, z czasem wszystko będzie dobrze.

Tak się jednak nie stało, chociaż Dolg bezustannie wyjmował kamień z torby i przyglądał mu się ukradkiem.

Plamy wciąż nie znikwały i chłopiec udręczony dojmującym smutkiem posyłał wiele brzydkich myśli niedobremu starcowi, który siłą odebrał mu klejnot.

I oto znaleźli się we Francji. Wędrowali górskimi drogami z widokiem na cudowne doliny, gdzie prastare rycerskie zamki wisiały jakby przylepione do zboczy. Ze zwietrzałych ruin na ich oczach osypywały się kamienie. Pasterze w czarnych płaszczach i kapeluszach z szerokim rondem, wsparci na długich rzeźbionych kosturach, niewzruszenie pędzili swoje owce, uprzejmie pozdrawiając jeźdźców, którzy równie przyjaźnie się im kłaniali. Dolinami płynęły rzeki, a wysoko górą wiły się ścieżki, mijając miasteczka i wioski, domy z nie ociosanego kamienia, o dachach z pociemniałych ze starości dachówek.

A wszędzie rozpościł się jedwabście miękki dywan czerwonych maków.

Theresa pełną piersią rozkoszowała się tym widokiem. Muszę sprowadzić maki do Theresenhof, pomyślała. Wiem, że rosną w głębi mojej doliny, ale wieśniacy traktują je jak chwasty. Chciałabym, żeby kwitły na moich łąkach...

Poprosiła o krótki postój.

Od razu zrozumieli, dlaczego.

Dotarli do miejsca, w którym kogoś spotkało nieszczęście, a może właśnie ktoś został ocalony, nie wiadomo, w każdym razie wzniesiono tu kapliczkę, smukłą i wysoką, z krzyżem i figurką Chrystusa.

Zsiedli z koni, by nieco odpocząć. Theresa, Bernd, Siegbert i dwaj żołnierze uklękli, by modlić się o powodzenie wyprawy.

Później, siedząc już razem przy posiłku, podziwiali przepiękny widok.

Dolg zamyślony przyglądał się Theresie.

- Babciu, opowiedz mi o swojej wierze! Trochę o niej wiem, ale powiedz mi, co ona ci daje?

Theresa uśmiechnęła się z wdzięcznością i objęła ramieniem swego niezwykłego wnuczka.

- Daje mi poczucie bezpieczeństwa, Dolgu. Przekonanie, że nie jestem sama, że jest ktoś, kto się o mnie troszczy.

Dolg kiwnął głową.

- To brzmi sensownie. Znam wielu, którzy traktują religię jako formę ucieczki od strachu przed śmiercią. "Jeśli będziesz wierzyć w Boga i ślepo go słuchać we wszystkim, po śmierci pójdziesz do nieba". Moim zdaniem to nie jest prawdziwa wiara.

- Myślę, że masz rację.

- Ale ty jesteś katoliczką, babciu. My nie. Dlaczego?

- Nielatwo wyjaśnić tę sprawę, moje dziecko. Sądzę, że to w głównej mierze zależy od środowiska, w jakim człowiek się wychował. Ja osobiście nie potrafiłabym odstąpić od katolicyzmu, nie umiem sobie nawet tego wyobrazić.

- Katolicy czczą Madonnę - powiedział Dolg. - My nie.

- Owszem, to prawda. Nie chcę się wtrącać i dyktować waszym rodzicom, jak mają was wychowywać, ale szczerze bym pragnęła, aby któreś z was przyjęło moją wiarę. Jak sam widzisz, czcimy także Chrystusa.

Dolg oderwał wzrok od widoku na dolinę. Wiatr delikatnie rozwiewał czarne włosy chłopca wpatrującego się w figurę Chrystusa.

- Czy tylko o pomoc modlisz się do Madonny i jej syna, babciu?

Theresa zwlekała z odpowiedzią.

- Nie, tak powiedzieć nie można. W matce i synu jest coś tak czystego i pięknego, że pragnie się ich dobra. Rozumiesz, o co mi chodzi? Widziałeś, że położyłam bukiet maków na stopniu kapliczki, żeby sprawić im radość, nie tylko po to, by

błagać o łaskę, szczęście i powodzenie w podróży. Oczywiście modliłam się także o moją biedną córkę, twoją matkę, ale chciałam im także podziękować.

Dolg pokiwał głową.

- Sądzę, że wyznanie luterzańskie coś utraciło - rzekł zamyślony. - Wydaje mi się, że katolicy czczą swojego Boga i świętych bardziej konkretnie, bardziej namacalnie. Mają też wizerunki, do których mogą się modlić. W tym pewnie także tkwi siła.

- Ja w każdym razie tak czuję - łagodnie uśmiechnęła się Theresa. - Cieszę się, że chcesz o tym rozmawiać, Dolgu. Czasami czuję się w swojej rodzinie bardzo osamotniona.

Chłopiec nie odpowiedział. Jego wyraziste oczy przez chwilę spoczywały na babce, ale nie można było odczytać, co myśli.

A potem wprawił w osłupienie nie tylko Theresę, lecz także wszystkich pozostałych, wstając i zrywając bukiet najpiękniejszych maków, jakie udało mu się znaleźć. Obserwowali go w milczeniu, lecz Dolg jakby nie zdawał sobie sprawy, że jest tam jeszcze ktoś poza nim.

Wolno zbliżył się do świętej figury. Przez chwilę wpatrywał się w cierpiącą twarz, a następnie położył swój bukiet przy innych, które już tam leżały.

A potem...

Theresa i Móri zachłyszeli się powietrzem. Dolg wyjął zbrukany kamień i trzymając go w dłoniach szeptał coś cicho do figurki Chrystusa.

Co mówił - nie słyszeli, widzieli jednak łzy w jego oczach, a z twarzy czytali uniesienie.

Z niezmierną ostrożnością chłopiec położył szlachetną kulę wśród krwistoczerwonych kwiatów. Ukląkł i modlił się w milczeniu.

Potem jeszcze raz spojrzął na Chrystusa, wstał i podniósł kamień.

Theresa i Móri, przerażeni, że chłopiec postanowił ofiarować szafir, odetchnęli z ulgą.

Dolg odwrócił się w ich stronę. Drobne rączki o barwie kości słoniowej trzymały szafir w górze. Kamień w świetle słońca skrzył się i rzucał wiązki promieni, ale tym razem jego blask nie mógł się mierzyć z blaskiem bijącym z oczu chłopca.

- Patrzcie! - zawołał Dolg z wielką radością w głosie. - Spójrzcie!

Jakby nie potrafił znaleźć słów wyjaśnienia, na co mają spoglądać.

Ale oni nie potrzebowali wskazówek.

Theresa, wzruszona, płakała.

Niebieski szafir był równie czysty jak wówczas, gdy ujrzeli go pierwszy raz.

Zapanowała powszechna radość. Nero cieszył się wraz z ludźmi, nie wiedząc wprawdzie dlaczego, ale zawsze był skory do uciechy.

- Trzeba to uczcić - postanowił Erling ze śmiechem. - Zrobiło się późno. W dolinie widzę miasteczko. Co wy na to, abyśmy wyjątkowo zatrzymali się na nocleg w jakimś wygodnym miejscu?

Ta propozycja wszystkim przypadła do gustu.

Jechali wolno w dół zbocza, Dolg za Theresa, a przed Erlingiem. Z nim właśnie najłatwiej mu się rozmawiało.

- Jak myślisz, czy to oznacza, że katolicyzm jest właściwą wiarą, Erlingu?

Przyjaciel nie spieszył się z odpowiedzią, głęboko się zastanawiał.

- To nie takie proste, Dolgu - odparł wreszcie. - Wiara katolicka jest jednym z wielu, bardzo wielu słusznych wyznań. Bez wątplenia Chrystus był człowiekiem o niezwykle czystym sercu, podobnie jak Panna Święta. Wielką osobowością był Mahomet, a także Budda i wielu innych. Wiarę w Boga wyobrażam sobie zawsze jako wielki dom z licznymi pokojami, ale bez dachu. W poszczególnych pomieszczeniach ludzie czczą swoich bogów. Wiesz chyba, że istnieje niemal tyle wyznań co ludów. Ale na nich wszystkich spogląda z góry ten sam bóg czy bogowie, i bóstwo nie dba o to, jakim imieniem nazywają go ludzie. Jego, albo ich, istnieje wiele religii mających więcej niż jednego boga.

- Bardzo światłe stanowisko, Erlingu - stwierdziła przysłuchująca się rozmowie Theresa.

Erling uśmiechnął się leciutko.

- To moja dość prosta filozofia życiowa. Zrozumcie, uważam, że nie jest najistotniejsze to, do kogo człowiek się modli. Ważna jest modlitwa. Sama w sobie wyzwala gwałtowną energię, która niekiedy może czynić cuda. Tym razem najczystszy był Dolg, jego szczerość, żal i pragnienie okazały się tak intensywne, że szafir odzyskał przejrzystość. To jego miłość zwalczyła prostacką przebiegłość von Grabena.

Theresa zastanawiała się nad istotą modlitwy. Modlitwa błagalna, zgromadzenie modlitewne... Tak, Erling miał rację.

- Ale figura Chrystusa także zrobiła swoje.

- Bez wątplenia - prędko odparł Erling. - Absolutnie nie przeczę, że jej bliskość przyczyniła się do sukcesu. Można powiedzieć, że to podwójne działanie.

- Teraz mówimy tym samym językiem - uśmiechnęła się zadowolona Theresa.

Dolg się nie odzywał. Dostyc miał myślenia o tak trudnym pojęciu, jakim jest religia. Wiedział bowiem, że jego rozpacz była równie wielka, a pragnienie gorące już od chwili, kiedy kamień utracił swą przejrzystość. A plamki zniknęły dopiero teraz.

Podzielił się w końcu swymi przemyśleniami z Erlingiem i babcią. Theresa bardzo się ucieszyła, a Erling aprobująco kiwnął głową.

Zajechali do ślicznego średniowiecznego miasteczka, nad którym, jak w wielu innych miejscach we Francji, górował przesadnie olbrzymi kościół. Na szczęście gospoda również należała do tych obszerniejszych, mogli się więc wszyscy w niej pomieścić.

Dowódca gwardzistów cesarza wyniosłym tonem oświadczył oberżystce, że "księżna życzy sobie lokum na nocleg". Takie słowa wywoływały zwykle pożądany efekt, ale rzadko się do nich uciekali, gdyż Theresa pragnęła podróżować anonimowo, często też przychodziło im nocować w prymitywnych warunkach pod gołym niebem. Tym razem zdecydowali, że pozwolą sobie na wszelkie wygody,

chcieli uczcić sukcesy: udało im się zawędrować tak daleko, wszyscy są mniej więcej cali i zdrowi, no i szafir odzyskał przejrzystość.

Oberżysta giął się w ukłonach, obiecując ugościć ich najlepiej jak tylko może, i wskazał pokoje w różnych częściach gospody.

Kiedy jednak miał być serwowany późny obiad, Theresa wyjaśniła, że wszyscy dziesięcioro chcą zasiąść przy jednym stole. Tak, tak, parobcy także.

To była rzecz niesłychana, lecz jak powiedziała księżna: dzielili wszystkie trudy podróży, mieliby więc nie dzielić chwil radości?

Pies Nero też zasługiwał na szczególne ugoszczenie. Tylko żadnych kości, na ogół nie wychodziły mu na zdrowie.

Nie zapomniano także o koniach, nakarmiono je dobrze, a potem jeszcze mogły się paść w ogrodzie przy oberży.

Nieco paradoksalne było, że właśnie tego wieczoru, kiedy Theresa pokazała się jako wielka demokratka, gdy tak pojednała się z żołnierzami i parobkami, oni wszyscy zachowywali się w stosunku do niej wyjątkowo rycersko.

A szczególnie Erling...

Nigdy nie przeżywała swej kobiecości równie mocno jak tego wieczoru.

Trzeba przyznać, że toasty wznoszono często i wszystkim dorosłym wino mniej lub bardziej uderzyło do głowy. Bernda i Siegberta trzeba było zanieść do łóżek, ale uśmiechali się przez sen tak błogo, że żołnierze nie potrafili się na nich gniewać. Sami też zresztą dość mocno mieli w czubie.

Nie mogli jednak ucztować zbyt długo, zamierzali bowiem wyruszyć nazajutrz jak najwcześniej. Zdecydowali, że nie pojedą najprostszą drogą. Chodziło o to, by zmylić ludzi kardynała na wypadek, gdyby wciąż ich tropili. Co prawda Móri i jego towarzysze nie bardzo w to wierzyli, woleli jednak mieć się na baczności.

Żołnierze, powróciwszy do stołu, zastali Erlinga i Theresę szeptem prowadzących ożywioną rozmowę.

- Nie, ty mów - zachęcała księżna.

Erling kiwnął głową i zaczerpnął tchu:

- Z pewnością zauważyliście, że księżna Theresa i ja... jakby tu powiedzieć... mamy się ku sobie. Chciałbym wam oznajmić, że poprosiłem o rękę mojej wybranki i zostałem przyjęty.

- Podejrzewałem, że tak właśnie się to skończy - ucieszył się Móri. - Witaj w rodzinie, teściu!

Wszyscy się uśmiechnęli i wzniesli toast za zdrowie przyszłych małżonków.

Theresa podziękowała, a potem powiedziała:

- Muszę, oczywiście, prosić mego brata, cesarza, o pozwolenie, bo Erling pomimo szlachetnego serca nie jest szlachcicem. Mam jednak szczerą nadzieję, że uzyskamy zgodę na ślub. A wtedy Rafael i Danielle będą mieć prawdziwy dom.

Dolg był nieco oszołomiony nowiną.

- Czy to znaczy, że teraz będziesz moim... dziadkiem, Erlingu?

- Owszem - odparł Erling z uśmiechem. - Ale proszę, zwracaj się do mnie nadal po imieniu! Dziadek, to brzmi tak... A zresztą nazywaj mnie, jak sam uważasz za słuszne. Chciałbym jednak, żeby twoje młodsze rodzeństwo mówiło do mnie "dziadku".

Po raz kolejny zdumiało ich, jak ogromna różnica wieku zdawała się dzielić Dolga od dziesięcioletnich bliźniąt. A przecież był od nich starszy zaledwie o dwa lata!

Dolg jakby należał do świata dorosłych.

Przyczyniła się do tego powaga w oczach chłopca, bo przecież często wyrażał się i zachowywał dziecinnie, w najlepszym rozumieniu tego słowa.

Dowódca, podnosząc szklankę, zwrócił się do Erlinga i Theresy:

- Uważam, że oboje państwo uczyniliście naprawdę słuszny wybór.

Najserdeczniejsze życzenia szczęścia!

Kolejny toast. Dolg miał wrażenie, że zaraz pęknie od soku wiśniowego, i chciał, żeby wreszcie przestano ucztować.

Żołnierze odeszli do swego skrzydła gospody. Móri, który dzielił pokój z Dolgiem i Nerem, powiedział dobranoc i zabrał syna i psa.

Ale Erling i Theresa jeszcze nie chcieli się kłócić. Mieli oddzielne sypialnie, oboje bardzo się pilnowali, by nie złamać żadnych zasad. Spędzenie nocy w tym samym pokoju nawet nie przyszło im do głowy. Na to Erling darzył swą wybrankę zbyt wielkim szacunkiem.

Mogli jednak siedzieć razem przy stole i rozmawiać, odprężeni po trwającym wiele dni intensywnym napięciu, strachu i niepewności. Kardynał i Zakon Świętego Słońca zeszli gdzieś na dalszy plan, a oni w spokoju mogli się teraz zająć sobą. Erling ujął dłonie Theresy.

- Mam wrażenie, że tyle już czasu upłynęło od chwili, gdy byliśmy na Akershus i przez woalkę dostrzegliśmy twoje siniaki, Thereso - rzekł łagodnie.

- Bo to naprawdę było dawno temu. Znamy się od... od czternastu lat? Chyba tak, około czternastu albo nawet dłużej.

- Już wtedy mi się spodobałaś, ale wówczas byłem związany z Catherine, a ty z Adolfem von Holstein - Gottorp. Od tamtego czasu wiele przeżyliśmy. Cudownie, że możemy być razem już na zawsze.

- I ja tak czuję.

Erling uniósł dłoń Theresy i ostrożnie, delikatnie ją ucałował.

- Chociaż zbliżam się do pięćdziesiątki, uważam, że to, co w życiu najlepsze, mam jeszcze przed sobą, Thereso.

- Podobnie myślę i ja - przytaknęła mu rozpromieniona. - Ale będziesz miał teraz wielką rodzinę - rzekła ostrzegawczym tonem.

- Bardzo się cieszę, zawsze tego pragnąłem. Podejrzewam jednak, że nie mogę mieć dzieci - powiedział dyplomatycznie.

Theresa popatrzyła na niego z taką wdzięcznością, że poczuł ogarniające go wzruszenie.

- Ja także nie mogę mieć już więcej dzieci - westchnęła z ulgą. - Dlatego tak bardzo się cieszę z odzyskania Tiril...

Umilkli. Theresa raz odzyskała córkę. Ale jak się im powiedzie teraz?

Erling zapewnił pospiesznie:

- I wiesz przecież, jak bardzo jestem przywiązany do rodziny Tiril. Móri był moim najlepszym przyjacielem na długo przed spotkaniem z tobą, a dzieci są po prostu wspaniałe. Przyda im się dziadek, nie uważasz?

- Och, oczywiście - odparła z powagą, lecz nie bez błysku w oku.

Przyszedł oberżysta i dyskretnie szepnął, że kładzie się już spać, ale oni mogą siedzieć w jadalni tak długo, jak tylko zechcą. A może życzą sobie jeszcze wina?

- O, nie, dziękuję - Theresa uśmiechnęła się nieco wyniośle. - Gdybym wypila więcej, mogłabym zacząć zachowywać się nierozważnie.

- A więc poprosimy o wino - prędko odpowiedział Erling i roześmieli się wszyscy troje.

Po odejściu gospodarza Erling oświadczył:

- Myślę, że wszystkie dzieci zdołają się porozumieć, cała piątka: Dolg, Villemann, Taran, Rafael i Danielle.

- Z całą pewnością. Są przecież niemal równolatkami i polubiły się od razu w Virneburg.

- Bardzo się cieszę na tę chwilę, kiedy znów zobaczę naszych podopiecznych!

- Ja także. Łapię się na tym, że ciągle o nich myślę.

Tak dobrze czuli się razem. Oberża była bardzo stara, w pociemniałe ze starości ściany wnikał jakby blask ognia płonącego na kominku od dawien dawna, szmer głosów, radość i napięcie. Sufit przez dziesiątki lat poczerniał od oparów przyrządzanego jedzenia, ale stoły i ławy wyszorowano do białości. W grubych deskach widniały szczyrby i nacięcia, ale obrusiki w czerwoną kratę starały się zakryć najgorsze zniszczenia. Na półkach stały oplecione pajęczyną butelki wina, a z belek pod sufitem zwieszały się warkocze czosnku i pęczki suszonych ziół. Gospoda miała swoją atmosferę, przyjemnie było tu przebywać.

- Z tobą jest zupełnie inaczej - wyznał nagle Erling.

- Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli.

Erling zaśmiał się nerwowo.

- Mam wrażenie, jakbym zabiegał o względy kobiety po raz pierwszy w życiu. Znałem wszelkie zasady zachowania, całą niezmienną kolejność postępowania. A teraz jakbym zaczynał wszystko od nowa. Jakbym nigdy dotąd nie miał do czynienia z kobietą.

Theresa spuściła głowę, onieśmielona i niepewna.

- I to jest takie wspaniałe! - wykrzyknął nieoczekiwanie Erling. - Czuję się jak odrodzony, oczyszczony właśnie z tego powodu. Kocham cię, Thereso. Czy już ci to mówiłem?

- Powtórz jeszcze raz - rozpromieniła się.

Uczył to z ochotą.

- A ja ciebie. Bardzo, naprawdę bardzo.

Erling wstrzymał oddech, jakby chciał coś powiedzieć, ale zabrakło mu słów.

Spoglądał na Theresę, obejmował ją wzrokiem, patrzył na jej włosy, na ujmującą twarz, na ręce tak ufnie spoczywające w jego dłoniach...

Wstał.

- Chyba najlepiej będzie, jak się teraz rozstaniemy, Thereso. Wiele nas jeszcze czeka, zanim naprawdę będę mógł wziąć cię w ramiona. Musimy odnaleźć Tiril, trzeba także poprosić twojego brata o zgodę na nasze małżeństwo. Nie chciałbym się teraz posuwać za daleko, chociaż tego właśnie pragnę. Pójdźmy teraz do swoich pokojów, tak będzie najlepiej.

Theresa potakująco kiwała głową. I ona wstała, ale nie puściła ręki Erlinga. Gdy opuszczali jadalnię, z oczu biła jej ogromna radość.

Jego słowa, spojrzenia, bliskość, rozpały ją bardziej niż sądziła, że to możliwe.

Pocieszało ją jedynie, że i on mówił, iż czuje podobnie.

Nie spodziewałam się takiego podniecenia, takiej reakcji w moim wieku, myślała.

W moim wieku? Och, przestań, Thereso, z tym wiekiem, łącała sama siebie. Erling jest niemal twoim rówieśnikiem..

Czterdzieści dziewięć lat to żaden wiek!

Jestem głupia, taka głupia!

Nie, raczej niepewna i niedoświadczona, chociaż w młodości miałam kochanka, co prawda tylko raz, i przez wiele lat byłam zamężna.

Ale obca mi jest piękna, czysta, odwzajemniona miłość.

Po prostu.

Theresa leżała w łóżku, ale nie spała. Niepokój trawił jej ciało i nie mogła się doczekać, aż sam się wypali.

Ale radość, jaka ją ogarnęła, była tak wielka, że gdy tak leżała z zamkniętymi oczami, na ustach błąkał jej się łagodny uśmiech, a na twarzy malował spokój, niezwykle spokoj.

Znów poczuła się kobietą.

Nie tylko księżną, jej wysokością, odpowiedzialną za gospodarzenie w Theresenhof, za wszystkich, którzy u niej pracowali - czyli za więcej niż połowę miasteczka, dbającą o to, by podlegli jej ludzie mieli kogo obdarzać szacunkiem i na kim się wzorować, aby we dworze mieszkała naprawdę dobra rodzina. I tak właśnie było. Wszyscy członkowie jej rodziny cieszyli się wielkim poważaniem, a Móri i Tiril, rzecz jasna, bardzo jej pomagali w zarządzaniu dworem.

Ale główny ciężar odpowiedzialności zawsze spoczywał na niej, chociaż oficjalnie przekazała Theresenhof córce i zięciowi. To ona była księżną, siostrą cesarza. Ludzie w miasteczku o tym nie zapominali i Theresa często nie mogła pozbyć się wrażenia, że jest groźną i surową chlebobawczynią, choć wcale nie było to prawdą. Jedynie odpowiedzialność tak bardzo jej ciążyła.

Teraz wszystko się zmieniło. Wielbił ją mężczyzna, i to tylko ze względu na nią samą. Pokochał ją za jej sposób bycia, za wygląd. Mówił, że spodobały mu się jej oczy, bijące z nich ciepło. Lubił dotykać jej skóry... Theresa nieświadomie przeciągnęła palcami po ramieniu, jakby chciała sprawdzić, czy rzeczywiście jest co kochać. Podobał mu się jej głos, jej śmiech, włosy siwiejące w równym rytmie z jego włosami...

Przyszłość wydawała się teraz nieskończenie piękna. Móc się starzeć wspólnie z kimś.

Zadrżała, ale był to dreszcz przyjemności. Wiedziała, co ją czeka, zdawała sobie sprawę, że już niedługo pozyska pełną, zalegalizowaną miłość Erlinga. Ta myśl napełniała ją cudownym oczekiwaniem. Ale nie tylko ciało było niespokojne, myśli także nie mogły zaznać spokoju.

Czyżby w życiu towarzyszyła mi Nemezis, bogini zemsty? zastanawiała się.

Dlaczego nigdy nie mogę zaznać pełnej, niczym nie zmaconej radości?

Gdy odzyskałam utraconą córkę i przeżyłam niezwykłe wprost szczęście, zmarł mój mąż. Tego samego dnia.

Theresa nie wiedziała, że to Catherine w źle pojętej dobrej wierze zgładziła księcia Adolfa. Tej tajemnicy nigdy przed nią nie zdradzono.

Myślała dalej:

To ja sprowadziłam nieszczęście na Tiril i Móriego, bo mój ukochany z czasów młodości znajdował się wśród ich wrogów.

A teraz, kiedy mogłabym być niewypowiedzianie szczęśliwa, bo mam miłość wspaniałego, kochanego przeze mnie mężczyzny, prawdziwy ojciec Tiril, jego okrutny stryj kardynał i ten ich straszny zakon uprowadzili moją córkę. Nie zaznam w pełni radości i szczęścia, dopóki jej nie odnajdziemy i nie przekonamy się, że nic się jej nie stało.

Czym zasłużyłam sobie na taką karę? Czy wciąż nie uzyskałam przebaczenia za grzech młodości?

Och, nie, ta krótka chwila szaleństwa jest nieistotna. Prawdziwym grzechem było odrzucenie Tiril, nowo narodzonej córeczki. Ale próbowałam jednak naprawić ten błąd! Co więcej mogę uczynić, aby uzyskać rozgrzeszenie?

Zapłakała, kryjąc twarz w poduszce. Wiedziała, że następnego dnia przyplaci to bólem głowy, ale poczuła się taka bezradna i łzy nie dały się powstrzymać.

Upłynęło dużo czasu, zanim zasnęła.

Rozdział 5

Ranek wstał jasny i przejrzysty. Kiedy dojechali do kolejnego wzgórza, na południu dostrzegli Morze Śródziemne.

Przemierzali góry i doliny południowej Francji, niemal przez cały czas jadąc pod górę albo w dół.

- No ładnie - odezwał się Siegbert. - Czy ktoś potrafi powiedzieć, gdzie jesteśmy?

- Owszem, wyobraź sobie, że tak - odparł Erling. - Bo zanim wyruszyliśmy, rozmawiałem z oberżystą.

- Wspaniale, Erlingu - uśmiechnęła się Theresa.

Cała grupa wstrzymała konie na szczycie wzniesienia. Mistral, ostry wiatr szalejący niekiedy u francuskich wybrzeży Morza Śródziemnego, targał im włosy, nawet Nerowi powiewały uszy.

- Zajechaliśmy znacznie dalej, niż kiedykolwiek ośmielilibyśmy się przypuszczać - wyjaśnił Erling. - Jeśli wciąż będziemy poruszać się prosto, jutro dotrzemy do Awinionu.

- Och, to brzmi świetnie! - stwierdziła Theresa.

- Awinion - zastanawiał się Móri. - Prawdziwie historyczna nazwa. Co się stało, Dolgu? Wyglądasz na zaniepokojonego.

- Nie tam mamy jechać - powiedział chłopiec. Wyglądał przy tym na równie niepewnego i zdziwionego własnymi słowami, jak pozostali.

- Co masz na myśli?

- Nie wiem - odparł Dolg. - Ale musimy jechać tam!

Pokazał palcem kierunek.

- Na południe! - zdumiał się Erling. - W ten sposób dojedziemy po prostu do Morza Śródziemnego.

- Nie, nie aż tak daleko. Ale mamy jechać w tę stronę. Wiem o tym.

- Czy to będzie okrężna droga? - zastanawiał się któryś z żołnierzy.

- Chyba nie tak bardzo - doszedł do wniosku Erling, który wiedział, że impulsów Dolga należy słuchać. - Czy wiesz dokładnie, dokąd chcesz dotrzeć?

- Nie.

To nie zabrzmiało szczególnie zachęcająco. Mistral, "mistrz wiatrów", wył i zawodził.

- Erlingu, jakie miasta leżą w tamtych stronach, wiesz? - spytał Móri.

Przyjaciel zastanowił się.

- Oberżysta wskazywał na wiele miast. Na południu Tulon, Marsylia...

- Nie tak daleko - pokręcił głową Dolg.

- Ach, moi drodzy, nie bardzo to wszystko mogę spamiętać... Aix? Aix - en - Provence?

- Tak - cicho powiedział Dolg.

- Wobec tego ruszamy - zdecydował kapitan gwardii cesarskiej.

Po drodze starali się przypomnieć sobie, co wiedzą o mieście Aix.

Gdy dotarli do dziwnego wzgórza na północ od miasta, Theresa przypomniała sobie wyczytane kiedyś wiadomości o historii tego regionu.

- Słyszałam o tym trójkątnym wzniesieniu - powiedziała. - No tak, spójrzcie, z dwóch stron zbocza opadają stromo w dół. Trzeci bok jest podobno zagrodzony długim murem...

- Jest mur! - wykrzyknął z zapalem jeden z żołnierzy, dumny z odkrycia.

- Rzeczywiście! - uśmiechnęła się ucieszona Theresa. - A więc to Oppidum d'Entremont, warownia liguryjskiego ludu Saliów, "oppidum" oznacza po prostu miejsce obwarowane, miasto. W roku sto dwudziestym trzecim przed narodzeniem Chrystusa zostało zniszczone przez konsula rzymskiego Sekstiusza. Aby chronić cały region przed najazdami Saliów, założył nowe miasto, Aquae Sextiae, czyli Aix. Nazwa nawiązuje do istniejących tu gorących źródeł.

- Masz naprawdę ogromną wiedzę - rzekł z podziwem Móri.

- Kiedy trochę popracuję nad pamięcią, przypomina mi się to i owo - roześmiała się Theresa. - Wiem także, że miasto było stolicą rzymskiej prowincji aż do czwartego wieku naszej ery. Spójrzcie na południe, to zobaczycie przed sobą Aix. Miasta nie było widać wyraźnie, ledwie je dostrzegali.

- Skąd wiesz tyle na temat Aix? - spytał Theresę Erling.

- Ponieważ interesowałam się kiedyś tamtejszą katedrą romańsko - gotycką - odparła. - Znajduje się w nim tryptyk, czyli trzyczęściowy ołtarz, który nosi nazwę "Krzak gorejący". Bardzo bym chciała go zobaczyć, o ile tylko zdamy.

- Oczywiście! - zapewnił Erling.

- Środkowa część tryptyku przedstawia Marię Dziewicę w krzewie gorejącym, a po jej bokach klęczą król i jego małżonka. Było w zwyczaju umieszczanie na ilustracjach nawiązujących do przekazów biblijnych postaci wysoko postawionych osobistości. Ponieważ artysta stworzył ołtarz w piętnastym wieku, przypuszczam, że i ten król żył w owych czasach. Czy przypadkiem nie nazywał się René? Nie pamiętam.

W ostatnich promieniach wieczornego słońca wjechali do Aix.

Miasto okazało się wspaniałe, wszędzie widać było ślady jego dawnej świetności. Dolg jednak nie dostrzegwał otoczenia. Jego oczy, niepewne, zalęknione, błądziły po okolicy.

- Muszę coś odnaleźć - z niepokojem oznajmił ojcu. - Ale nie wiem, gdzie tego szukać. A nam się spieszy!

- Zatrzymamy się w gospodzie - uspokajał go ojciec. - Będziesz miał czas, żeby się zastanowić. My, dorośli, postaramy się dowiedzieć czegoś więcej na temat Aix, czy raczej Aquae Sextiae, jak kiedyś nazywało się to miasto. Przypuszczam, że tam właśnie tkwi rozwiązanie zagadki.

- W pradawnych czasach? No tak, bo przecież Zakon Świętego Słońca wywodzi się z dawnego Cesarstwa Rzymskiego. Ale nie jestem pewien... Czy naprawdę tak było?

- Być może tu się tego dowiemy - stwierdził Móri.

Później, kiedy już się zakwaterowali w oberży i zjedli kolację, nie tak wprawdzie wystawną jak poprzedniego dnia, lecz smaczną, niemal wszyscy mieli coś do powiedzenia.

Zebrali się wokół Dolga na balkonie, biegnącym na wysokości pierwszego piętra wokół czworokątnego podwórza, na którym swobodnie sobie spacerowały kury,

gęsi i inne zwierzęta. Nero przyglądał im się przez balustradę, z zainteresowaniem nastawiając uszu. Cichutko przy tym popiskiwał. Chętnie zbiegłby na dół i wywołał trochę zamieszania...

- Posłuchaj mnie, Dolgu - powiedział Erling. - Wielu z nas zdobyło bardzo ciekawe informacje. Aix to nie byle jakie miasto!

Pokiwali głowami. Dolg przenosił pytające spojrzenie z jednego na drugiego.

Głos w imieniu dorosłych zabrał Erling:

- Słyszałeś o Cymbrach i Teutonach?

Dolg po namyśle odpowiedział pytaniem:

- To jakieś ludy?

- Masz rację! Plemiona germańskie, największe i najważniejsze w swoim czasie.

Przypuścili atak na Rzym, ale Teutonów rozbił w pył konsul Mariusz. Było to w roku sto drugim przed narodzeniem Chrystusa, a zgadnij gdzie?

- Tutaj?

- Właśnie!

Dolg wziął głęboki oddech. Długo się zastanawiał, czubkiem języka zwilżył wargi.

- Rzymianie pokonali Teutonów, ale pewnie niektórzy z nich także zginęli?

- Z całą pewnością!

Wszyscy pomyśleli o rym samym. Dolga coś ściągnęło do tego miasta. Jeśli jacyś rzymscy wojownicy należeli do starego zakonu Świętego Słońca... Nie, to nie mogli być prości żołnierze. Członkami zakonu byli zawsze wielmoże, a więc przynajmniej jakiś dowódca.

Jak oni się w tamtych czasach nazywali? Gladiatorzy? Nie!

Posypały się propozycje. Hoplici? Nie, to Grecy. Centurioni?

Tak! Teraz byli już blisko! Może chodzi o trybuna? Trybuna wojskowego?

Nic więcej wymyślić nie zdołali.

Erling westchnął.

- Z moją kupiecką francuszczyzną niedaleko znajdę w tym kraju. Nie na wiele się zda znajomość miar tkanin jedwabnych, kiedy trzeba rozmawiać o historii.

- Mój francuski także pozostawia wiele do życzenia - przyznała Theresa.

Móri nic nie powiedział, bo w ogóle nie znał francuskiego.

Jeden z żołnierzy oznajmił z dumą:

- Wyznaczono mnie, abym wam towarzyszył, ponieważ moja matka pochodziła z Hiszpanii i całkiem nieźle opanowałem ten język.

- Doskonale - pochwaliła Theresa. - Przyda nam się, kiedy tam dojedziemy.

Dowódca gwardzistów, cicho i jakby niechętnie, żeby pokazać, że nie chce się chwalić, rzekł:

- Wygląda na to, że ja opanowałem francuski najlepiej ze wszystkich. Spróbuję więc rozpytać, czy nie poległ tutaj jakiś centurion czy inny potężny dowódca.

- Świetnie - powiedział z uznaniem Erling. - Współpraca układa się nam doskonale, prawda?

Wszyscy byli tego samego zdania.

Kapitan wyruszył do miasta, by zasięgnąć języka, a Theresa towarzyszyła mu do katedry. Bardzo chciała obejrzeć tryptyk.

Dolg w tym czasie siedział na krześle w oberży i czuł się dość niemądrze. A jeśli bez najmniejszego powodu zmusił całą grupę do nadłożenia drogi? W tej chwili bowiem nie miał żadnych przeczuć i bardzo go to martwiło.

Mocno zacisnął dłonie na oparciu krzesła, naprężył ręce, głowę wcisnął w ramiona. Skrzyżowanymi stopami kołysał w przód i w tył.

Elivevo, mój dobry duchu opiekuńczy, pomóż mi, prosił w myślach. Co mam robić?

Odpowiedź napłynęła także w myślach: czekaj!

Dolg westchnął ciężko.

Wszyscy powrócili do gospody i znów się zebrali, by wymienić zdobyte informacje.

Tym razem zasiedli w pełnej ludzi jadalni. Doszli do wniosku, że i tak nikt ich nie zrozumie.

- No cóż, ja widziałam tylko tryptyk - zaczęła Theresa. - Przecudny! Dowiedziałam się, że artysta nazywał się Froment, i oczywiście pomodliłam się do Madonny o dalszą pomoc. Niestety, nie potrafię się przyczynić do rozwiązania problemu.

- Czy w katedrze są katakumby? - dopytywał się Móri.

- Ach, mój drogi, o to zapomniałam spytać - odparła zatroskana. - Powinnam była o tym pomyśleć! Ale to ogromna, piękna katedra, tak więc...

- Ja dowiedziałem się czegoś - powiedział kapitan. - Kilkanaście kilometrów na wschód od Aix jest góra zwana Mont Sainte - Victoire. Tam konsul Mariusz wznosił pomnik tuż przed bitwą z Germanami.

- Góra Świętego Zwycięstwa - mruknął zamyślony Erling. - Równie dobrze mogłaby się nazywać Górą Świętego Słońca.

- Rzeczywiście, może się z tym kojarzyć. Aż nieprzyjemnie - wzdrygnęła się Theresa. - Co ty na to, Dolgu?

Chłopiec się zastanowił.

- Nic - stwierdził wreszcie niepewnie. - To tutaj. W mieście.

Zapadło milczenie. Nikt nie miał nic więcej do dodania.

- Wyjdźmy do miasta jutro rano, my dwaj, ty i ja - zaproponował Móri. - Spróbujemy coś wyczuć.

- Nie jutro rano - poprawił go syn. - Pójdziemy już teraz!

- Prawie już noc!

- Nie mamy czasu do stracenia - nalegał Dolg. - Mama nas potrzebuje, trzeba się spieszyć.

Stanęli niepewni, nie wiedząc, co począć.

- Dowiedziałem się, że w ratuszu jest pokaźna biblioteka. Może tam dałoby się coś wyczytać? - podsunął kapitan.

Dolg przygryzł wargę.

- To nie ma nic wspólnego z biblioteką, chociaż pomysł jest dobry - powiedział wreszcie. - Muszę odnaleźć... coś innego.

- Co takiego?

- Nie wiem - westchnął chłopiec zrezygnowany.

Móri podjął decyzję:

- Myślę, że powinniśmy posłuchać Dolga. Zgoda, synu! Pójdziemy już teraz.

Nie tylko Theresa zatroskana pokręciła głową, ale Dolg się rozjaśnił.

- Może dowiem się, kiedy dotrzemy na miejsce?

- Jeśli w ogóle na nie trafimy - mruknął Móri.

Czuł się zmęczony i marzył o położeniu się do łóżka, żeby rano wstać świeży i wypoczęty. Ale Dolg z pewnością miał rację, należało się spieszyć ze względu na Tiril. Już i tak zbyt długo musiała czekać.

Miasto pograżyło się w mroku, tylko gdzieniegdzie słabo świeciły pochodnie albo bardziej nowoczesne lampki oliwne. Domy leżały uśpione, jasno było jedynie w ostatnich gospodach, ale stamtąd dochodziły pijackie wrzaski, więc Móri i Dolg trzymali się od nich z daleka. Zaopatrzyli się w latarnkę, oświetlającą nieco brudne, wąskie uliczki i pobielone wapnem ściany domów.

Móri pozwolił, aby Dolg wybierał drogę.

- Kapitan mówił, że ruiny pierwotnej osady leżą na północ od Aix. Może tam "właśnie powinniśmy spróbować?" - zastanawiał się Dolg.

- Owszem, możemy. Ale dowiedzieliśmy się także, że bitwa Rzymian z Teutonami rozegrała się na zachód od miasta.

- Naprawdę? - ucieszył się Dolg. - Ja o tym nie słyszałem. Wobec tego tam powinniśmy iść.

- To może być daleko, a i tak jutro będziemy jechać w tamtym kierunku. Czy nie moglibyśmy załatwić tego po drodze?

Ale Dolg oddychał szybko, z niecierpliwością.

- Nie. Nabrałem pewności, kiedy powiedziałeś o zachodnich okolicach miasta.

Musimy tam iść, ale nie aż do samego pola bitwy. Chodźmy! Chodźmy!

W świetle latarnki oczy chłopca błyszczały z podniecenia. Ręka, spoczywająca w dłoni Móriego, drżała. Czarnoksiężnikowi nie pozostawało więc nic innego, jak ruszyć za synem, uparcie ciągnącym go w jednym kierunku, najpewniej na

zachód. W jaki sposób chłopiec mógł się tak dobrze orientować w ciemnościach w nieznanym mieście, Móri nie mógł zrozumieć.

- Dolgu, dlaczego nie możemy wstrzymać się do jutra?

- Ponieważ to nie jest zwykła droga prowadząca z miasta. Tędy, szybko!

Spieszmy się, dopóki przeczucie mnie prowadzi.

Nagle Móri także coś poczuł, coś zaczęło go ciągnąć, kusić.

- Już wiem, o czym mówisz, synku - powiedział, chociaż ze zdziwienia dech zapierało mu w piersiach.

Chłopiec uśmiechnął się.

- Jesteś wszak czarnoksiężnikiem, ojcze. Wiedziałem, że poczujesz to samo co ja. Masz przecież o wiele większe zdolności.

Nie jestem tego już taki pewien, pomyślał Móri uśmiechając się ze smutkiem.

Wzruszyła go jednak ufność, jaką pokładał w nim syn.

Móri doskonale rozumiał, że akurat w tym przypadku syn jest ważniejszy. To on, poprzez Cienia, miał najsilniejsze związki ze starym zakonem. A Cień bardzo sobie życzył, by Dolg odkrył powiązania łączące współczesny zakon ze starym. Może im się to uda? Tutaj, w nieznanym francuskim miasteczku Aix, które nigdy nie zostało wymienione w pismach dotyczących Świętego Słońca?

Opuścili już miasto. Na tle nieba zaznaczały się sylwetki topoli i cyprysów. Mistral wciąż dmuchał mocno, drzewa kłaniały się rytmicznie niczym gromady duchów.

Wiat; jednak z godziny na godzinę cichł.

- Ale tu gorąco - zdziwił się Dolg. - Im dalej na południe docieramy, tym robi się cieplej.

- To prawda. - W oczach Móriego pojawił się marzycielski wyraz. - Paradoksalne jest, że teraz, kiedy wędrujemy po krainie ciepła, jeszcze bardziej niż zwykle tęsknię za swoją zimną Islandią. Za Islandią i Norwegią.

- Bardzo chciałbym zobaczyć te kraje - powiedział Dolg. Dobrze wiedział o tęsknocie ojca.

Móri, rozjaśniony, odparł spokojnie:

- I ja chciałbym ci je pokazać, synku. Islandia to bardzo szczególny kraj. Znam ludzi, którzy twierdzili, że jest brzydki z tymi jałowymi wrzosowiskami, górami nie porośniętymi trawą, ale ja patrzę na to zupełnie inaczej.

- Ubóstwo ma swój własny urok - stwierdził Dolg zamyślony. - Pojedziemy tam, ojcze.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem.

Móri kiwnął głową. Przestał już dziwić się Dolgiem.

- Czy pojedziemy także do Norwegii? - spytał tylko.

- Tak.

- To dobrze - powiedział Móri.

Przeszli jeszcze kawałek, wreszcie Móri się zatrzymał.

- Myślę...

- Owszem - przerwał mu Dolg. - Jesteśmy już w pobliżu. Cieszę się, że jesteś ze mną, ojcze. Moje zdolności stają się wtedy w dwójnasób silne.

Bardzo miło z twojej strony, że tak mówisz, pomyślał Móri, lecz głośno tego nie powiedział. Często w stosunku do swego syna odczuwał niepewność. Jakby on, doświadczony czarnoksiężnik, nie dorastał do pięt swemu dziecku.

A jednak wiedział, że to on, Móri, jest silniejszy. Na razie.

- Musimy iść w tę stronę - oznajmił, skręcając w prawo.

Dolg podążył za nim bez słowa.

Albo ja naprawdę silniej wyczuwam, że coś nas ciągnie, albo też on jest najdelikatniejszym dyplomatą na świecie.

Ale co do jednego Móri się mylił. Przyznawał wprawdzie, że wciąż jest potężniejszy od syna pod względem znajomości magii, lecz uważał, że Dolg akurat teraz odgrywa główną rolę. W tym właśnie tkwił błąd. To on, Móri, był teraz najważniejszy, wciąż jednak nie zdawał sobie z tego sprawy.

Wkrótce odnaleźli grób. Nieduży występ skalny porastała trawa, pionowy brzeg był z wapienia. Obaj czuli, że trafili we właściwe miejsce, prędko więc oczyścili kamień z roślin i ziemi.

Wapienna ścianka okazała się oddzielona od podłoża. Za nią widniała jama.

- Postaw latarnię tutaj - powiedział Móri. - Tak będziemy lepiej widzieć.

- Ojczy, wydaje mi się, że w wapieniu wyryto jakieś imię!

- Pokaż!

Czas niemal całkiem zatarł litery, lecz dostrzegli chyba dwa imiona. Oba kończyły się na "...VS".

- Czyżby to konsul? - spytał Dolg. - Mariusz? Caius Marius?

- O, nie! Mariusz nie poległ tutaj. Poza tym konsulów chowano w okazałych, bogatych grobach, a ten trudno tak nazwać. Ale zobacz, poniżej wyryto coś jeszcze. Nie zdołamy odczytać co, lecz długość słowa może wskazywać na tytuł, może "centurion" albo "tribunus militum". Prawdopodobnie spoczął tu dowódca.

No cóż, nic o tym nie wiemy. Zajrzyjmy do grobu.

Spróbowali odsunąć płytę na bok. Móri ze smutkiem rozejrzył się w koło.

- Jak myślisz, czy tutaj właśnie rozegrała się bitwa?

- Nie, trochę dalej na zachód - odparł Dolg bez cienia wątpliwości w głosie.

Sprawił przy tym wrażenie równie zasmuconego jak Móri. W przepięknych łąkach kryło się coś bezdennie tragicznego.

Móri popatrzył w kierunku wskazanym przez syna.

- Tam spoczywa wielu zmarłych, z pewnością to wyczuwasz - rzekł cicho. - Ale oni nie mają własnych grobów.

- Zwłaszcza Teutonowie - dopowiedział Dolg.

- To prawda. Zniszczono cały lud.

Odwrócili się w stronę grobu. Niewiele w nim było do oglądania.

- Został splądrowany - skostatował Móri.

- Ale leżą tu szczątki.

- Rzeczywiście, chociaż niewiele. Ten półokrągły kawałek kości to fragment czaszki, prawda?

- Tak - odparł Dolg. - Nie śmiem niczego dotykać, bo boję się, że się rozsypie w pył.

- Tak, tak, uważaj! Pomimo że grób jest niemal całkiem pusty, musimy okazać szacunek. Ale czy widzisz to, co ja?

Dolgowi z napięcia zaparło dech w piersiach.

- Tak! On nosił coś na szyi!

- Łańcuch! Ale medalion zerwano.

- To nie był medalion, ojciec. Poznaję ten łańcuch.

- Ja także. Na podobnym łańcuchu wisi zwykle znak Świętego Słońca.

Dolg w migotliwym świetle latarenki patrzył na ojca, klęczącego w połowie we wnętrzu grobu.

- Czy mamy założyć, że ów Rzymianin nosił ten znak Słońca, który skradziono przyjacielom Cienia? Że ten właśnie znak odziedziczył kardynał von Graben? Znak przekazywany kolejnym wielkim mistrzom w nowym zakonie, który wziął swój początek od Ordogno Złego z Leon?

- Nic nie wiemy na pewno, synku - powiedział Móri z tłumionym podnieceniem. - Ale mamy prawo zgadywać i snuć domysły!

- Oczywiście! To bardzo ciekawe - Dolg uśmiechnął się szeroko. - Ale dlaczego rabusie nie zabrali także łańcucha? Wygląda przecież na zrobiony ze złota.

- Prawdopodobnie przyczyną tego był pośpiech. Grób splądrowano chyba bardzo wcześnie, być może tuż po bitwie, więc on...

Móri urwał, nie chcąc rozciąć przed synem zbyt makabrycznych wizji. Ale Dolg był mniej wrażliwy:

- Wciąż miał głowę na swoim miejscu? Rzeczywiście, pewnie tak właśnie było. -

Dolg westchnął. - Szkoda, że nie zostawili znaku Słońca. Przydałby nam się.

- Tak właśnie mówił Cień. Ale, Dolgu, jacyż jesteśmy niemądrzy!

Chłopiec patrzył na ojca pytająco.

Móri mówił z przejęciem:

- Jak myślisz, dlaczego tak nas ciągnęło w to miejsce? Pamiętasz słowa Cienia?

“Wiem, kto posiadał drugi znak, ale ten człowiek musiał go stracić, bo poległ w bitwie. Nie doszłoby do tego, gdyby nosił znak”.

- Oczywiście - rozjaśnił się Dolg. - Spytaliśmy, kiedy ta bitwa miała miejsce, a Cień odparł, że bardzo, bardzo dawno temu.

- Właśnie! A więc tutaj był ten drugi znak!

- Sądysz więc, ojcze, że Cień chce, abyśmy go odnaleźli? Dla niego albo dla nas?

- Tak właśnie uważam.

- Musi znajdować się gdzieś w pobliżu.

Móri omiół wzrokiem niewielką komorę grobową.

- Dolg! Zobacz!

Na ścianie w głębi wyryto kilka znaków i parę słów. Znaki Dolg ku swojej radości natychmiast rozpoznał. Takie same znalazł przed grotą, gdzie przechowywano szafir. Kompletnie niezrozumiałe, lecz bez wątpienia takie same.

- Jesteśmy na właściwym tropie, ojcze! Ten człowiek należał do dawnego zakonu. Ale litery? Och, ten okropny wapień - poskarżył się. - Łatwo w nim rycć, ale wszystko tak prędko się zaciera!

- Czy naprawdę tak prędko? - zadumał się Móri. - Bitwa miała miejsce przed... zaraz, zaraz... około tysiąc osiemset czterdziestu laty... Sporo czasu upłynęło. Nie można zbyt wiele wymagać od zwykłego wapienia.

- Oczywiście masz rację, ojcze. Ale co tu jest napisane?

- To nie jest w tym samym języku, co twoje tajemne znaki powyżej. To łacina, tak jak przypuszczaliśmy. Nie rozumiem z niej ani odrobiny. Chociaż? Pewne słowo powtarza się dwukrotnie. Pozostałe są zbyt zatarte, aby ktokolwiek mógł je odczytać.

- A to słowo, które znasz?

- Podnieś latarnię! Tak, tu napisano perditus.

- Co to znaczy?

- Stracony, zgubiony. Coś w tym rodzaju.

- Niewiele nam to mówi. Szkoda - westchnął Dolg, obracając się ku okrytym nocnym mrokiem łąkom. - Pójdę sprawdzić, czy nie napłyną jakieś nowe impulsy.

- Dobrze - zgodził się Móri, jakby roztargniony. - Tylko zbytnio się nie oddalaj!

- Oczywiście.

Móri przykucnął i zapatrzył się w leżący na ziemi łańcuch. Plądrowanie grobu nie było jego zamysłem i chciał zostawić łańcuch przy szczątkach, dając tym samym wyraz swemu szacunkowi. Ale mógł go na chwilę wziąć do ręki?

Poczuł w dłoni ciężar i chłód metalu.

Jakże pociemniało na wrzosowisku!

Móri powoli wstał, w głowie zawirowało mu od myśli i uczuć. Nie zdając sobie z tego sprawy, wciąż trzymał łańcuch w zaciśniętej dłoni.

- Dolg! - zawołał do syna, przechadzającego się w mroku w odległości zaledwie kilkunastu metrów od niego. - Dolg, pomyliliśmy się! Przypomnij sobie, co powiedział Cień! "Nie zostałby ranny, gdyby nosił znak Słońca". Rozumiesz?

Znaku nie zrabowano z jego grobu. Nie miał go już wtedy na szyi. Zdjął go, zanim rozpoczęła się bitwa. Bardzo niemądrze z jego strony!

Dolg, wciąż odwrócony plecami do ojca, milczał.

Móri podjął:

- Widzisz, ja go oddałem.

Cóż on na miłość boską mówi?

Zmarszczył brwi. Dlaczego chłopiec nie odpowiada?

- Ale mieliśmy rację, jestem Rzymianinem, trybunem dowodzącym legionem.

Nazywam się Kwintus Ursus.

Ja? Dlaczego powiedział to w pierwszej osobie?

A Dolg nawet nie odwrócił głowy!

- Dolg? Czyżbyś ogłuchł?

Ale chłopiec tylko się pochylił i zaraz wyprostował.

- Niczego nie znajduję, ojcze. Nie wychwytyuję też żadnych impulsów. Ojcze?

Ojcze, gdzie jesteś?

- Tutaj! Nie widzisz mnie? Stoję przecież przy grobie, tuż przed tobą!

Jak ciemno! Jakiś gęsty mrok spowił wrzosowisko. Dziwny mrok, nie zwyczajna wieczorna ciemność. I skąd się tu wzięły te niskie domy? I ci wszyscy ludzie na wzgórzu? Dlaczego noszą hełmy? Krótkie spodnie? A może raczej spódniczki?

Nie, to nie spódniczki. Te stroje są dokładnie takie same, jak krótkie skórzane zbroje, używane przez rzymskich żoł... nie... rzy...

Móri zdrętwiał, jakby nagle cała krew zakrzepła mu w żyłach.

- Ojcze? Ojcze, boję się! Gdzie ty jesteś?

Ten strach w głosie syna.

- Jestem tutaj, bardzo blisko ciebie!

Żadnej reakcji.

Dolg go nie słyszał. Ani też nie widział.

Móri chciał wypuścić łańcuch, który nagle zaczął go parzyć, ale metalowe ogniwa tkwiły jak przyklejone w jego zaciśniętej dłoni. Nie mógł jej otworzyć, choć drugą ręką próbował wyprostować palce.

Gdy rozpaczliwie wykrzykiwał imię syna, chłopiec na jego oczach zniknął, rozplynął się, a przed Mórim ukazał się inny czas.

Czas, który na ziemi przeminął już dawno.

Rozdział 6

Osobliwy mrok ustąpił. Niebo pojaśniało.

Gotowi do walki.

Teutonowie, barbarzyńcy z północnych krain, już na nich czekali.

Kohorty Rzymian, każda licząca około sześciuset ludzi, wmaszerowały zajmując wybrane pozycje. Z przyniesionych raportów wynikało, że Teutonowie nadciągają ze wzgórza.

To konsul Mariusz wprowadził nowy podział legionów na kohorty. Jedna kohorta stanowiła dziesiątą część całego legionu, którym dowodził Kwintus Ursus, trybun. Podlegali mu dowódcy manipułów i mniejszych jednostek, centurii.

Ursus to doskonały dowódca. Konsul był zeń zadowolony.

Szczęśliwie jest nietykalny! A to dzięki...

Ursus sięgnął do piersi, szukając wsparcia w znaku Słońca.

Zmartwił. Znaku nie było!

No tak, oczywiście, nocą, w oszołomieniu miłosnym, podarował go pięknej Flawii.

Zażyczyła sobie tego, a on, upojony jej bliskością, gotów był dla niej na wszystko.

Co teraz pocznie? Przestał już być nietykalny.

Ursus znaczyło tyle, co niedźwiedź. Nazwano go tak, ponieważ był potężny i silny.

Uświadomiwszy sobie, że może polec w walce, postanowił zwołać swoich

centurionów i innych podległych mu dowódców na naradę, by ułożyć nowy plan bitwy. Zwykle to on stawał na czele swoich oddziałów i zagrzewał ludzi do walki.

Jego odwaga przydawała im bojowego ducha podczas licznych starć z plemionami zamieszkującymi obrzeża imperium rzymskiego. Rozgromili wiele barbarzyńskich plemion, lecz Teutonowie to cały lud, najsilniejszy i najbardziej dziki ze wszystkich, z jakimi mieli do czynienia.

Ursus wiedział, że Teutonowie współdziałali z Cymbami, innym ludem pochodzącym z północy, podobno ze Skanii w państwie Gotów. Teutonowie przybyli z południowych plaż Morza Bałtyckiego. Przedarli się na południe, niemal nie natykając się na opór.

Teraz jednak mieli stawić czoło armii rzymskiej pod dowództwem konsula Gajusza Mariusza. A Kwintus Ursus był głównodowodzącym legionem.

Ursus, niezwykły, postać owiana legendą!

Ten, który skradł znak Słońca lemurom. A potem w miłosnym szale dopuścił się czegoś niewybaczalnego.

Dureń, głupiec! Długo ciskał przekleństwa na samego siebie.

Jeszcze tylko jeden człowiek, centurion, wiedział o znaku Słońca, bo był wtedy razem z nim i zdobył swój własny znak. Widział także niezwykle symbole wyryte na odwrotnej stronie znaku Słońca. Żaden z nich nie rozumiał, co oznaczają, domyślili się jednak, że tajemne symbole posiadają niezwykłą moc. Centurion także nie odnosił żadnych ran; zresztą wbił się w dumę, pragnął zostać wielkim mistrzem jakiegoś tajemniczego zakonu, tak przynajmniej mówił. Kiedy jednak Ursus stwierdził, że to on powinien zostać wielkim mistrzem, centurion przestał o tym wspominać.

Flawia, cudownie piękna kobieta, którą spotkał w poprzednim mieście i zabrał do swego namiotu pomimo gniewu małżonki... Dla Flawii, opętany miłością, gotów był na wszystko, i dał tego dowody. Ofiarował jej znak Słońca. O bogowie! W jego wnętrzu odezwał się nieznajomy, uporczywy głos, nie, nie głos. Jakby myśl:

Powiedz, gdzie jest Flawia? Gdzie może być teraz?

W mieście Aquae Sextiae, pomyślał odruchowo. W domu prefekta. W obozie przestała już być bezpieczna, tak wielkie jest rozgoryczenie mej żony.

Gdzie leży dom prefekta?

Uporczywe myśli, natrętne pytania.

Przy rynku, najelegantszy dom.

Ursus poczuł, że nieznajomy głos go opuścił.

Zostawił, aby poległ w walce. Ze wzgórze z krzykiem i wrzaskiem już nadbiegali Teutonowie. W taki sposób zwykle przypuszczali szturm, chcieli przestraszyć wroga. A on nie zdążył zmienić planu bitwy.

Żołnierze oczekiwali, by ich poprowadził, stanął na czele całej rzymskiej armii.

Nie pozostawało mu nic innego.

“Głos” go opuścił. Kwintus Ursus przestał być interesujący.

Interesująca natomiast zaczęła być Flawia. To ona miała znak.

Flawia, piękna hetera, siedziała w domu prefekta, bawiąc się wielką ozdobą, otrzymaną od Ursusa. Nie doceniała jej znaczenia. Okrągłe słońce z

rozchodzącymi się wokół promieniami? Niemądra, ciężka i niepraktyczna ozdoba, lecz bez wątpienia cenna. Chciała po prostu wypróbować uczucia Ursusa, dlatego oświadczyła, że pragnie mieć klejnot. I dostała go.

Flawia przywykła do tego, by spełniano jej zachcianki.

Na odwrocie medalionu znajdowało się sporo jakichś niepojętych znaków. Ale mało ją obchodziły.

Podniosła głowę.

Miała wrażenie, jakby ktoś pytał:

Gdzie znak Słońca, Flawio?

Ale nikt nie wypowiedział tych słów, rozbrzmiewały tylko w jej głowie.

Niemądre!

Znów pochyliła się nad klejnotem.

Prawdę mówiąc, promieniste słońce było dla niej zbyt duże i ciężkie. Powinna je przerobić, stopić złoto, a okrągłą płytkę ze środka wyrzucić.

Nie, Flawio, nie! Nie rób tego!

Cóż za niemądre, obce myśli napływają do jej kształtnej główki? Odruchowo przejrzała się w srebrnym zwierciadle. Równie piękna jak zawsze. I przecież była w pokoju sama.

Odłożyła lśniące słońce. Nie lubiła trzymać go w dłoni, miała wrażenie, że biją od niego niezwykle, drżące promienie.

Upominek nie był wcale taki wspaniały. Ursus mógł dostać go z powrotem.

Ktoś wszedł do domu.

Z atrium dobiegł głos rozgniewanej niewiasty, sprzecząjącej się ze służbą.

Żona Ursusa! Szuka Flawii, żadna zemsty.

E, co to szkodzi, po prostu nie przyzna się do romansu.

Ale znak Słońca ich zdradzi! Ta głupia baba nie może go zobaczyć!

Trzeba go ukryć, tylko gdzie?

Flawia rozejrzała się po pokoju. Za jedyną odpowiednią kryjówkę uznała kanał ściekowy. Wpuściła tam słońce, słyszała jego brzęk, kiedy toczyło się pochyłym kanałem. Z pewnością spadnie na stos odpadków, to nic, później je wydobędzie. Ale dla pięknej Flawii nie było żadnego "później". Pod drzwiami żona Ursusa krzykiem obwieszczała już śmierć męża. Poległ w bitwie, to przecież niemożliwe, był wszak nietykalny, naznaczony przez bogów, którzy podarowali mu talizman. Centurion, bliski przyjaciel, obiecał wyprawić Ursusowi godny pogrzeb, lecz znak Słońca zniknął, zdaniem centuriona miała go kochanka Ursusa.

Drzwi otworzono szarpnięciem i wiedziona wściekłością kobieta rzuciła się na Flawię. Hetera dostrzegła jeszcze błysk sztyletu, poczuła dojmujący ból i osunęła się na ziemię.

Żona Ursusa przeszukiwała dom do chwili, gdy ludzie prefekta ją pojмали i wtrącili do więzienia.

Stamtąd już nie wróciła.

- Ojczy! Och, jesteś tutaj - rozległ się głos Dolga, w którym brzmiała niesłychana ulga. - Przez moment już sądziłem, że zniknąłeś.

- Przez moment? - powtórzył oszołomiony Móri. - Przecież upłynęło wiele godzin... Zrozumiał, że podróżował tylko myślą.

- Nic się nie stało, rozdzieliła nas po prostu gęsta mgła.

- Rzeczywiście, była taka dziwna, ale już się rozwiała. Nie znalazłem znaku Słońca, nie odnoszę też wrażenia, że on się tu znajduje.

- To prawda, wcale go tu nie ma. Musimy wracać do miasta.

Móri stanął z łańcuchem w ręku, zamyślony. Czy miał go zabrać pomimo swej niechęci do bezczeszczenia grobu? Ale łańcuch mógł go zaprowadzić dalej w poszukiwaniach znaku Słońca.

Powrót w minione czasy był nieprzyjemnym przeżyciem. Niezwykła podróż zakończyła się sama i znów mógł otworzyć rękę.

Zdecydowanie odłożył łańcuch do komory grobowej. Zabrali się do zamykania grobu.

Nagle Móri zawołał:

- Zaczekaj!

Dolg znieruchomiał z kamienną płytą opartą o biodro. Pytająco popatrzył na ojca.

Móri wciąż miał wątpliwości.

- Nie wiem, Dolgu. Wszyscy wiedzą, że nie jesteśmy hienami cmentarnymi. Ale ten Ursus...

- Ursus?

- Opowiem ci więcej w drodze do miasta. Ten, który tu spoczywa, sam skradł znak Słońca... Jak on ich nazwał? Ten lud? Nie pamiętam. W każdym razie łańcuch nie był jego własnością. Wydaje mi się, że bardziej należy on się nam niż jemu.

Dolg wciąż spoglądał na ojca wyczekująco.

- Tak, bo twoje kroki skierowano właśnie tutaj. Później moje także. Łańcuch powinien być ze znakiem Słońca. A znaku tutaj nie ma.

- Zabierzmy go, ojczu. Nikt nie będzie miał nam tego za złe. Sądzę, że po to między innymi nas tu sprowadzono.

- Widzisz, łańcuch pomógł mi przenieść się w przeszłość. Wszystko ci opowiem.

Móri ostrożnie podniósł łańcuch. Tym razem jego dłoń się nie zacisnęła. Potem zamknęli grób, przykryli kamieniami, mchem i kępami trawy.

W powrotnej drodze Móri opowiedział synkowi o wszystkim, co go spotkało.

Wobec zwyczajnego dwunastolatka pewnie by się wahał, ale Dolga trudno nazwać zwyczajnym dzieckiem, a ponadto był wtajemniczony niemal we wszystko, co działo się z Mórim.

- Wiedziałem, ojczu - rzekł chłopiec z podziwem. - Twoje zdolności są o wiele większe niż moje. Jak dobrze, że razem tu przyszliśmy!

- I ja tak uważam. Teraz musimy się dowiedzieć, gdzie stał niegdyś dom prefekta, aby, jeśli to możliwe, dalej iść tym samym tropem.

- Jeśli znak Słońca nie został poniesiony do morza ani przetopiony, jak planowała ta szalona kobieta, to go odnajdziemy - powiedział Dolg z przekonaniem. - Nie mógł przecież zniknąć z powierzchni ziemi!

- Masz pewnie rację. - Móri poczuł się zachęcony do dalszych poszukiwań.

- Ojczy, nie przypominałeś sobie, jak zwał się ten lud, któremu Ursus i jego przyjaciel skradli znaki?

- Nie, ale przez moment widziałem, jak to się stało. Było to w jakimś domu w Rzymie. Znaki wisiały na czymś w rodzaju ołtarza... - Nagle rozjaśnił się. - Oczywiście! Lemury! Lemury, tak właśnie się nazywali.

- Lemury? - z niedowierzaniem powtórzył Dolg. - To przecież pewien rodzaj małp. A nawet małpiatek, wiem, bo babcia mi mówiła, kiedy przeglądaliśmy książkę o zwierzętach.

- Naprawdę? Małpiatki? - powtarzał przygnębiony Móri. - To przecież nigdzie nas nie zaprowadzi.

Nagle Dolg stanął jak wryty.

- Ojczy!

Móri także się zatrzymał. Podniósł latarnię wyżej.

- Co się stało, Dolgu?

- Napisy na zwojach pergaminu z Tiersteingram!

- Co w nich takiego.... Ach, na Boga!

- "IMVR" - powiedział Dolg.

- Rzeczywiście! Środkowy fragment słowa. Mogło być IMVR, IMUR, albo EMUR, część jakiegoś wyrazu. Na przykład LEMUR. Synku, myślę, że znaleźliśmy rozwiązanie przynajmniej tej zagadki!

Ale dokąd prowadziło to rozwiązanie? Do stadka małpiatek?

Nic im to nie powiedziało. Absolutnie nic.

Rozdział 7

Tego wieczoru nic więcej nie byli w stanie zrobić. Nie mogli przecież wyruszyć na poszukiwanie sterty śmieci przy domu, który z pewnością już nie istniał. No i Dolg potrzebował snu.

Za to następnego ranka obudzili się bardzo wcześnie i Móri opowiedział wszystkim całą historię. Bardzo poruszeni nowinami postanowili, że bez względu

na pośpiech konieczny dla ratowania Tiril poświęcą czas na poszukiwania. Doskonale pojmowali, że to Cień zaprowadził Dolga na pole bitwy, by chłopiec odnalazł zaginiony znak Słońca. Cień mówił wszak, że nie wie, gdzie należy go szukać, ale wiedział, kto go posiadał: Ursus. Dlatego Dolg został zaprowadzony do grobu Ursusa. Do tego momentu Cień prześledził losy znaku Słońca, potem trop podjęli Dolg i jego ojciec.

Ich obowiązkiem było wykonać zadanie do końca.

Theresa pomyślała sobie, że Cień musi być teraz bardzo zadowolony ze swego małego podopiecznego.

Szczęście ich nie opuszczało. W starej rzymskiej dzielnicy miasta przy rynku znaleźli ruiny domu prefekta, nawet dość dobrze zachowane.

Ponieważ wyglądało na to, że nikt nie interesuje się grupką oglądającą stare ruiny, nic nie stało na przeszkodzie, by zacząć działać. Owszem, mogliby zapytać kogoś uczonego, ale pewnie i tak sami musieliby odpowiadać na swoje pytania, a poza tym nie było żadnych wątpliwości, który dom należał do prefekta - oczywiście ten najelegantszy, wobec tego podjęli badania na własną rękę. Im mniej ludzi wiedziało o ich poczynaniach, tym lepiej.

Móri, który poprzedniego wieczoru myślą zawędrował do pokoju pięknej Flawii, prowadził grupę. Co prawda nie dotarli na piętro, schody bowiem nie zachęcały, by się po nich wspinać, znaleźli jednak najważniejsze: kanał ściekowy. Wychwalali przy tym doskonały starożytny system wodno - kanalizacyjny, dzięki któremu mieli bardzo ułatwione zadanie.

Pozostawało tylko iść wzdłuż rynny. Potem sytuacja znacznie się skomplikowała. Podwórze było wybrukowane. A rynna zagłębiała się w ziemię.

- Niemożliwe, aby wszelkie nieczystości kierowali pod powierzchnię podwórza - z powątpiewaniem stwierdził Erling. - Przecież wkrótce wszystko by się zapchało! Nie wspominając już, jak okropnie musiało cuchnąć!

- Myślę, że starożytnych takie odory nie zawstydzaly - cierpko zauważyła Theresa. - Ale masz rację, ujście bardzo prędko musiałyby się zapchać.

- Chyba że... - wtrącił jeden z żołnierzy. - Chyba że rynna prowadziła dalej?

Rozejrzeli się dokoła, śledząc bieg rynny. W takim razie musiała dochodzić do muru okalającego podwórze, przejść pod nim i...

- Na zewnątrz! - rozbrzmiało jednocześnie kilka głosów.

Szybkim krokiem wyszli za mury dziedzińca.

- Dzięki ci, losie - westchnął Erling. - Wpada do wielkiej sadzawki! A przy murze rosną gęste chwasty.

Przez moment patrzyli zrezygnowani na rozciągający się przed nimi przykry widok. Nikt nie miał ochoty zanurzyć się w szlamowatą, żółtozieloną wodę, pod której powierzchnią falowały oślizgłe wodorosty.

- Może ja mógłbym tu wskoczyć - z ociąganiem zaofiarował się w końcu Bernd.

- Dziękujemy, Bernd - powiedziała Theresa. - To niezwykle odważne z twojej strony. Ale chcielibyśmy cię przywieźć całego i zdrowego do domu, do panny Edith, prawda?

- No, dobrze by było - odrzekł wolno chłopak.

Móri podjął decyzję.

- Po pierwsze nie wiemy, czy znak Słońca naprawdę tu jest. Od tamtych czasów upłynęło blisko dwa tysiące lat. Komuś na przestrzeni wieków musiał wpaść w ręce.

- Deprymująca myśl - westchnął Erling.

- Sądzę więc, że pierwsze, co należy zrobić, to upewnić się, czy szukamy we właściwym miejscu. Tak tu przecież ohydnie. Dolgu, uważam, że powinienś posłużyć się kulą.

- Szafirem? - jęknął zdumiony chłopiec. - Tutaj znów się zabrudzi! I w jaki sposób szafir miałby...

Móri postanowił przekonać syna.

- Szafir i znak Słońca wywodzą się ze wspólnego źródła, to chyba już zrozumiałeś?

- Małpiatki! - ponuro mruknął chłopiec.

- Nazywaj je jak chcesz! Ale podejmij przynajmniej próbę z kamieniem. Jeśli się nie powiedzie, prędko schowasz szafir z powrotem do torby.

Dolg pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć, że wówczas będzie już za późno, ale wyjął, wprawdzie bardzo niechętnie, swój ukochany kamień.

Coś zaczęło się dziać, tak błyskawicznie, że ledwie zdołali to zaobserwować.

Szafir jakby eksplodował barwami. Dolg wystraszony prędko położył go na porośniętej chwastami ziemi, nie śmiał nawet dotknąć kuli.

A ona mieniła się i iskrzyła przecudnymi kolorami.

- Znak Słońca jest tutaj - skostatował Móri. - Ale w jaki sposób dowiemy się, w którym miejscu? Dolg, podnieś szafir jeszcze raz!

Chłopiec się wahał, ojciec więc tłumaczył dalej:

- Nie możesz go traktować w taki sposób! Nie pozwól, by leżał wśród chwastów!

- To my te rośliny nazywamy chwastami, ojcze. Ale one są równie wartościowe jak inne.

- Wybacz mi. - Móri pożałował swoich słów. - Oczywiście masz rację.

Dolg jednak już przykucnął, podniósł swój kamień w górę. Powoli, ostrożnie, z wyrazem uwielbienia na twarzy.

Barwne promienie skupiły się, świecąc w jednym kierunku. Między krawędzią muru a sadzawką widniała jaskrawa wiązka promieni, w której dominowała barwa niebieska. Nigdy jeszcze nie widzieli, by szafir tak lśnił, migotał tyłoma różnymi odcieniami.

- Tam! - zawołał Siegbert. - Widzę, gdzie świeci!

Nie wyraził się najściślej, lecz pozostali pokiwali głowami. Na wyścigi starali się przedostać na brzeg.

- Puśćcie Siegberta - postanowił Móri. - Nie możemy się tam pchać wszyscy naraz.

Dumny z powierzonego mu zadania parobek balansował nad ohydną sadzawką.

Palcami z całych sił czepiał się krawędzi muru, gałązki biły go po twarzy.

Posuwanie się po wąskim, śliskim brzegu nie było wcale łatwe. Chłopak tylko

gdzieś gdzie znajdował mocniejsze oparcie dla stóp, ale nie zamierzał się poddać. Przez moment zachwiał się niebezpiecznie, przyjaciele krzyknęli wystraszeni, ale w ostatnim momencie zdołał utrzymać równowagę.

Wreszcie dotarł do miejsca, na które padły promienie szafiru.

- Wiem dokładnie, gdzie to było - wysapał, jedną ręką przytrzymując się szczeliny w murze, a drugą próbując obmacywać ziemię. - Fui!

Ręka natrafiła na jakieś oślizgłe obrzydlistwo, kępę zgniłej trawy.

- Cóż za miejsce dla znaku Słońca - szepnął Erling.

- Jakże musiał cierpieć! - powiedział Dolg z dziecinnym zatroskaniem.

Siegbert grzebał w ziemi.

- Niczego nie mogę znaleźć! - poskarżył się.

- Spróbuj głębiej! - zachęcał go Móri. - Pamiętaj, że upłynęło prawie dwa tysiące lat!

Siegbert szukał dalej. Od czasu do czasu otrząsał z siebie pokryte szlamem rośliny i inne paskudztwa.

Nagle znieruchomiał z ręką zapuszczoną w ziemię.

- Co się stało, Siegbercie? - spytał kapitan.

- Jest tu coś okrągłego. Chyba kamień - oświadczył, próbując stłumić podniecenie.

- Pewien jesteś?

- Nie, bo to coś jest jakby półokrągłe. Z jednej strony płaskie...

I nagle okrzyk:

- Ojej!

- Co to ma znaczyć? - dopytywali się zniecierpliwieni mężczyźni. - Co wyczuwasz?

- Jakby promienie. Wychodzące z tego kamienia, czy co to jest.

W ciszy słychać było głębokie, drżące oddechy.

- Potrzebna ci pomoc, Siegbercie?

- Nie, ale muszę uważać.

- Nie spiesz się.

- Promienie utknęły, jakby zaczepiły się o korzeń lub coś podobnego. Mam!

Jeszcze tylko jeden! Już!

Ostrożnie podniósł coś z pokrytej odpadkami ziemi.

Patrzyli, jak prostuje się z półkłęzącej pozycji, w kolanach mu zatrzeszczało, aż wreszcie stanął z pokrytym ziemią przedmiotem w dłoni.

- Chyba to naprawdę on - powiedział dumny niczym paw.

Chętne ręce pomogły mu przedostać się na bezpieczny grunt.

- Ach, tak, tak! - Theresa wypuściła powietrze z płuc. - Ach, Siegbercie!

Nigdy jeszcze nie widzieli szerszego uśmiechu i większej dumy na twarzy niż u Siegberta.

- Dosyć brudny - skomentował krytycznie.

- Z tym sobie jakoś poradzimy - zapewnił go Móri.

Owinęli znak Słońca w chustkę i w triumfalnym pochodzie zanieśli go do oberży.

Tam zgromadzili się wszyscy w pokoju Móriego i Dolga, a Nero, któremu nie pozwolono na udział w ekspedycji, żeby nie wzbudzać dodatkowego zainteresowania, witał ich, wielkodusznie wybacząc zdradę.

Znak Słońca został delikatnie, ale dokładnie wymyty do czysta w porcelanowej misce w niebieskie kwiatki. Im wyraźniej się wyłaniał spod warstwy brudu, tym większy budził podziw. Nikt z obecnych nie widział wszak nigdy znaku Słońca z tak bliska.

Najłatwiej przyszło oczyszczenie złocistych promieni, gorzej natomiast sprawa się przedstawiała z półkulą wyciętą z kawałka drewna. Brud wdarł się w słoje drzewa, ale i tak należało się cieszyć, że tarcza słońca całkiem nie zgniła.

W końcu pozostała tylko jedna brudna plamka.

Wyraźnie wyłoniła się także inskrypcja na odwrocie, ale nie mogli jej zrozumieć.

- Spodziewałam się łaciny! - wyznała zdziwiona Theresa. - Być może udałoby mi się ją odczytać. Ale to...? Dolgu, czy to nie są mniej więcej takie same znaki, jak te na skale? W miejscu, gdzie znalazłeś szafir?

- Mniej więcej tak - żałośnie odparł chłopczyk. - Nie całkiem, ale podobne.
Stali zakłopotani. Takie znalezisko, a nie potrafili nic zrozumieć.

- Mam inne pytanie - odezwał się Erling. - Czy możemy uznać, że to centurion posiadał ten znak, który teraz należy do von Grabena?

- Tak musi być - stwierdził Móri. - Bo Ciebie wspomniał, że "oni" utracili dwa stare, drogocenne znaki. Ursus i jego przyjaciel znaleźli dwa znaki "wiszące na czymś w rodzaju ołtarza" w Rzymie. Zdarzyło się to chyba około roku sto dziesiątego przed Chrystusem, ponieważ bitwa pod Aix miała miejsce w roku sto drugim, a obaj byli dość młodymi ludźmi.

- Teraz więc ważne jest dla nas odnalezienie powiązań centuriona z Ordogno
Złym z Leon - stwierdził Erling.

- Zgadza się - przytaknął Móri. - Ale właściwie to nie jest takie istotne. Ważniejsza jest dla nas jeszcze odleglejsza przeszłość. Musimy cofnąć się w czasie aż do starożytnego Rzymu i odnaleźć powiązania z "nimi", z Cieniem i innymi, którzy są podobni do Dolga.

Theresa otrząsnęła się z zamyślenia.

- Czy możemy spędzić w Aix jeszcze trochę czasu? Nasz przyjaciel wspomniał, że w mieście jest podobno całkiem pokaźna biblioteka. Przywykłam do szperania po księgach, dorastałam wszak w wiedeńskim Hofburgu. Czy pozwolicie mi zbadać sprawę lemurów?

- Oczywiście - zgodzili się.

- Zrozumcie, coś mi podszeptuje, że lemury to nie tylko małpki. Chyba gdzieś o tym czytałam, nie bardzo pamiętam.

Ustalili, że Theresa pójdzie do biblioteki. Wciąż jednak otwarta pozostawała sprawa znaku Słońca...

- Moim zdaniem Ciebie życzył sobie, aby znak przypadł Dolgowi - odezwał się Erling. - Chłopiec powinien nosić go jako ochronę. Znak czyni przecież człowieka nietykalnym.

- I ja tak uważam - bohaterstwo stwierdził Siegbert. Zdążył już przywiązać się do znaku i uważał go niemal za swój. Musiał jednak ustąpić paniczowi, dobremu i mądrymu chłopcu.

- Rzeczywiście, byłbym spokojniejszy, gdyby mój syn go nosił - przyznał Móri. - Bo kardynał nienawidzi Dolga i z pewnością uwziął się na niego, gotów jestem to przysiąc.

O tym wszyscy byli przekonani.

Móri zdążył już oczyścić znaleziony w grobie łańcuch, umocował teraz na nim znak Słońca i sprawdził, czy zapięcie mocno trzyma. Potem zawiesił łańcuch na szyi syna.

Dolg, czując dotyk znaku na gołej piersi, wziął głęboki oddech.

- Czuję się jak... jak... jak święty! - wyjąkał. - Albo raczej wtajemniczony.

- Teraz jesteś odpowiednio wyposażony do walki ze złymi mocami - uroczyście oświadczył Móri.

Dolg przez chwilę przyglądał się znakowi, delikatnie go poprawił. Oczy błyszczały mu uniesieniem.

Potem zwrócił się do Siegberta:

- Dziękuję, że go dla mnie znalazłeś! Niestety, nie mogę się nim z nikim podzielić, bo zdaniem Cienia powinienem go nosić, ale bardzo chciałbym ci podziękować za to, co zrobiłeś. Popatrz!

Ku zdumieniu zebranych Dolg wyjął wielką niebieską kulę. Poprosił, by Siegbert pottrzymał ją przez króciutką chwilę.

- Nie bój się - zachęcał chłopiec, widząc wahanie parobka. - Szafir uczyni cię młodszym, piękniejszym i mądrzejszym.

- Byle tylko nie za pięknym - zastrzegł Bernd. - Nie życzę sobie rywali, jeśli chodzi o pannę pokojową Edith.

Wybuchnęli śmiechem, śmiał się także Siegbert.

- Edith nie jest moim marzeniem. W domu, na dworze, mam inną wybrankę, ale ona nawet nie chce zerknąć w moją stronę. Dobrze by było, gdybym mógł trochę potrzymać kamień.

- Bardzo proszę - rzekł z uśmiechem Dolg. - Zasłużyłeś na to.

Drżącymi rękami Siegbert przejął od chłopca kulę, delikatnie, jakby miał do czynienia z najcieńszą porcelaną.

- Ooch - szepnął, oddając szafir właścicielowi. - Dziękuję! Dziękuję, paniczku, nigdy tego nie zapomnę!

- A teraz Bernd, który był gotów zanurkować w tej brei, żeby wyciągnąć znak Słońca! - oświadczył Dolg.

- Co takiego? Ja? - Bernd ze zdziwienia aż rozdziawił usta.

- Oczywiście, proszę! Bohaterstwo należy nagradzać, bez względu na to, na czym polegało.

- W imię Ojca i Syna! Teraz stanę się aż zbyt przystojny!

Wszyscy roześmiali się z takiej naiwnej pyszałkowatości.

Bernd potrzymał kamień przez chwilę, trochę przy tym popłakał, a kiedy później opuszczali oberżę, wszyscy zapewnili młodych chłopców, że bije od nich światło.

I tak było rzeczywiście, jeśli tylko nie stawiało się zbyt wysokich wymagań.

Zaczekali na Theresę i Erlinga przed biblioteką.

Wyszli niedługo, najwyraźniej zaskoczeni i podnieceni.

- Wiedziała! - zawołała Theresa, nabierając powietrza w płuca. - Wiedziała, że gdzieś o tym czytałam! Ale że o to chodzi...?

- A co to było? - spytał Móri.

Erling wyjął kartkę, na której zapisali informacje znalezione w książce.

- Lemury, po łacinie lemures... Tak w starożytnym Rzymie nazywano dusze zmarłych, a szczególnie złe, nieczyste upiory. Aby je ułagodzić i trzymać z dala od domu, Rzymianie obchodzili święta, zwane Lemuriami. Przypadały one na dziewiąty, jedenasty i trzynasty maja.

Kąciki ust Dolga opadły.

- Och, nie! - powiedział ze smutkiem. - One nie są złe. Te małe istotki, które pomogły mi na moczarach, nie były złe. Ani Strażniczka, ani Cień, chociaż on czasami może wydawać się surowy. O ile wiem, ja także zły nie jestem.

- Ależ drogie dziecko! - zawołała Theresa. - Ty przecież nie jesteś lemurem! Poza tym w drugiej znalezionej przez nas książce napisano całkiem co innego. Tam nie wspomniano, że są złe, tylko że to rzymskie duchy próbujące odwiedzać domostwa żywych wiosną. Jeśli znalazły się w pobliżu, można je było zakląć. Ojciec rodziny, wyszedłszy z domu boso, rzucił poza siebie dziewięć razy garść bobu i mówił za każdym razem, nie oglądając się: "Przez ten bób wykupuję siebie i swoich".

Erling dodał:

- A trzecia książka traktowała je jeszcze życzliwiej. W niej napisano, że zła dusza, która nie może zaznać spokoju, to larwa, natomiast lemur to dobra dusza.

- To brzmi już znacznie lepiej - rzekł Móri z ulgą. - Postanawiamy, że przyjmujemy to ostatecznie.

Dolg uśmiechnął się, jego buzia rozjaśniła się z radości.

Odezwał się kapitan.

- Czy wobec tego możemy przyjąć, że ponieważ Ursus i jego przyjaciel znaleźli znak Słońca przy ołtarzu, to zawieszono go tam przy okazji takiego właśnie święta? I że fragment z literami IMVR, który gdzieś znaleźliście, pochodzi właśnie od słowa "lemuria", a nie lemury?

Móri miał ochotę wtrącić, że Ursus przypomniał sobie, jak to on i jego przyjaciel skradli znaki właśnie lemurom, ale nie chciał znów wystąpić w roli osoby krytykującej czyjeś pomysły. Kiwnął więc tylko głową, jak wszyscy pozostali.

- Dowiedzieliśmy się jeszcze jednego: Małpiatki otrzymały nazwę lemurów ze względu na swoje podobieństwo do ludzi czy może raczej do duchów. Wierzone, że małpy to duchy powracające na ziemię pod postacią zwierząt - wyjaśniał Erling. - Małpy więc nie mają nic wspólnego ze znakiem Słońca.

- No, to zawsze jakaś pociecha - mruknęła Theresa.

Mogli wreszcie opuścić Aix - en - Provence i podążyć dalej na zachód. Zbaczając z drogi nie stracili znów tak. wiele czasu.

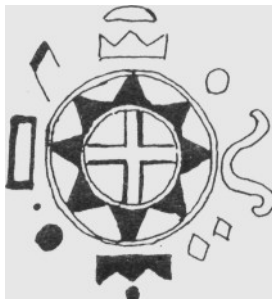
Ku wielkiemu zadowoleniu Dolga nie przejeżdżali przez miejsce, które on i Móri odwiedzili poprzedniego wieczoru. Żaden z nich nie miał ochoty na powtórne oględziny grobu antycznego dowódcy.

Bardziej czasochłonna okazała się pewna pomyłka, kiedy to zajechali zbyt daleko na południe i mało brakowało, a zabłądziliby w Camargue, bagnistym i niezdrowym regionie w delcie Rodanu. Gdy wycieńczeni po trwającej pół dnia męczącej wędrówce przez podmokłe tereny nareszcie poczuli pod stopami stały grunt, rzucili się na trawę, by wypocząć. Konie ledwie trzymały się na nogach, a Nero był kompletnie mokry.

Zdołali jakoś przedostać się dalej na północ i teraz już mieli pewność, że będą mogli trzymać się z dala od Camargue, jeśli tylko nie zboczą z drogi na zachód. Gdy tak siedzieli lub leżeli w trawie, Dolg wreszcie odważył się przyrzeć znakowi Słońca z bliska. Towarzysze drzemali, a w każdym razie mieli przymknięte oczy, grzejąc się w ciepłych promieniach.

Dolg przyjrzał się znakom na odwrocie. Bardzo dobrze pamiętał tamte, które widział na skale w moczarach:

Te były inne, a mimo to dostrzegał wyraźny związek. Posłużono się tym samym systemem znaków, ale przekaz był odmienny. Niektóre znaki okazały się identyczne z tamtymi na skale, inne całkiem nowe:



Przyjrawszy się symbolom długo i dokładnie, lecz nie doszukawszy się w nich żadnego większego sensu, wsunął znak Słońca z powrotem pod koszulę, bo uważał, że właśnie tam jest dla niego najlepsze miejsce.

Po dłuższym odpoczynku wszyscy wrócili do formy i mogli ruszyć w drogę.

- Najprzyjemniejsze, że kardynał i jego ludzie, jak się wydaje, zaniechali pościgu - zauważył Erling, gdy wyjechali na porządną drogę.

- Niestety tak nie jest - odrzekł Móri, który wyczuwał to intuicyjnie. - Ale na pewno stracili ślad.

Miał rację. Poselstwo kardynała dotarło do zamieszkałych we Francji braci zakonnych, którzy natychmiast wysłali oddziały, by powstrzymać wroga. Obaj wszak byli zamożnymi szlachcicami i podlegało im wielu ludzi.

Nie przyszło im jednak do głowy, że ktoś może okazać się na tyle niemądry, by zapuścić się tak daleko na południe, podróżować przez dzikie górskie tereny Prowansji i przerażające moczary Camargue.

Szukali wzdłuż powszechnie uczęszczanych gościńców i niczego ani nikogo nie znaleźli.

Rozdział 8

Tiril właściwie porzuciła już nadzieję. Od chwili, gdy została uprowadzona, upłynęły trzy tygodnie. Kto zresztą miał jej szukać? Kto wiedział, gdzie jest?

Móri, jej ukochany Móri, już nie żył, podobnie jak Erling, wierny przyjaciel.

Theresa, jej matka, nie знаła ich losu. Dzieci w niczym nie mogły pomóc, nawet Dolg. Nie orientowały się w sytuacji, a poza tym były jeszcze za małe.

A biedny Nero? Najdawniejszy przyjaciel, będzie bolał nad utratą swej pani i pana, nie rozumiejąc, czemu go opuścili.

Dolg miał już pewnie urodziny, skończył dwanaście lat. Czy ktoś pamiętał o jego święcie? Jak zresztą mogli świętować, skoro nikt z trojga, którzy wyruszyli na wyprawę, nie powrócił?

Tiril w całym swym upokorzeniu starała się zachować resztki godności. W rogu celi, odrobinę podwyższonym, zdołała osuszyć kamienną, przysypaną tylko ziemią i zgniłą słomą podłogę, tam kładła suche źdźbła i tam starała się przebywać.

Ale wszy i pluskwy także w ten kąt znalazły drogę, nie umiała ich powstrzymać. Całe ciało swędziało ją od ukąszeń, lecz w ciemności nic nie widziała. Tak może było i lepiej. Każdego ranka starała się palcami rozczesywać brudne, splątane włosy, żeby przynajmniej nie porobiły się w nich kołtuny. Wody do mycia nie dostawała, a nocą musiała jeszcze przeganiać ciekawskie szczury.

Czyżby Heinrich Reuss znosił te męki przez ponad dwanaście lat? W takim razie musiał mieć choć trochę lepsze warunki.

Wiele łez przelała w ciszy lochów, ale teraz już nie płakała. Starła się tylko przetrwać, przeżyć bez dręczenia się myślami.

Gdyby znów bowiem zaczęła myśleć, poddałaby się ostatecznie.

A takiej przyjemności nie chciała sprawić swoim oprawcom.

Brat Lorenzo był tutaj. Wciąż przebywał w wysokim, strzelistym zamku.

Codziennie zabierano ją do pomieszczeń straży na kolejne przesłuchanie. On tak sobie tego życzył. Nie chciał schodzić do chlewu, jak mówił, w którym więziono Tiril, ani wpuszczać jej do komnat mieszkalnych. To Tiril potrafiła zrozumieć, bo jakże ona wyglądała! A przecież już kiedy zjawił się po raz pierwszy, prosiła o gorącą kąpiel i czyste ubranie. Udał, że jej nie słyszy.

Brat Lorenzo - nie mogła pojąć, dlaczego nazywano go bratem, wszak nie był mnichem; pewnie chodziło o to, że jest członkiem zakonu - był wysokim, ciężkim i budzącym przerażenie mężczyzną. Swoją potężną tuszą, którą podkreślał jeszcze nadmiernie wywatowanymi ramionami, uwydatniającymi się zwłaszcza gdy brał się pod boki, by zwiększyć wagę swego autorytetu, przywodził na myśl króla Henryka VIII albo włoskich książąt z epoki renesansu. Stawał zawsze z szeroko rozstawionymi nogami, a siadał mocno wspierając łokcie na oparciach krzesła, z rozsuniętymi kolanami i stopami zwróconymi na zewnątrz.

Twarz, naznaczona paskudną blizną, sprawiała wrażenie wyrzeźbionej w kamieniu. Nigdy nie rozjaśniał jej uśmiech, ten człowiek traktował samego siebie niezwykle poważnie.

Pierwsze przesłuchanie nie przebiegło po jego myśli...

Tiril siedziała skulona w swoim kącie, nie wiedząc, czy to dzień, czy noc, bo stale otaczała ją ciemność.

Nagle w korytarzu rozległy się ciężkie, pospieszne kroki, w zamku szczękniętą klucz. Nie zdarzało się to, odkąd tu przybyła, zdawałoby się całe wieki temu.

Jedzenie rzucano jej po prostu przez niewielki otwór w drzwiach, nigdy też nie sprzątało celi.

Nabawiła się uporczywego kaszlu, który bardzo ją niepokoił, lecz nikt nie zwracał na to uwagi, chociaż strażnicy z pewnością musieli go słyszeć.

Drzwi otwarto szarpnięciem i strażnicy weszli do środka. Światło, zaledwie jedna pochodnia, oślepiło Tiril, zasłoniła więc oczy. Dlatego nie widziała strażników, poczuła tylko, że ciągną ją za ramię i wyprowadzają z celi.

Mężczyźni przeklinali smród w pomieszczeniu. To doprawdy nie moja wina, pomyślała zawstydzona kolejnym upokorzeniem. Staram się utrzymać siebie i swój kącik tak czysto, jak to tylko możliwe, więcej już zrobić nie mogę.

Wyciągnięto ją na piwniczny korytarz, w którym było kilka otworów okiennych. Wpadało przez nie światło, co prawda przytłumione, ale ją i tak oślepiło.

Stała tam gromada mężczyzn. Słyszała, jak dawali wyraz obrzydzeniu, wywołanemu jej widokiem. Tiril nie przypuszczała, że można doznać aż tak wielkiego upodlenia.

Choć nie widziała ich wyraźnie, od razu zrozumiała, która z tych osób jest najważniejsza: potężny mężczyzna stojący pośrodku.

- Proszę o zezwolenie na kąpiel i posprzątanie w mojej celi. I jakieś porządne ubranie.

Wiedziała, że to brat Lorenzo. Poprzedniego dnia słyszała, jak strażnicy wołali, że przybył na zamek.

Lorenzo nigdy nie zapomniał poniżenia, jakiego doznał, gdy Tiril i jej rodzina zadrwiła z niego. Kardynał wysłał go wówczas, by sprowadził księżną, matkę dziewczyny. Nienawidził jej, tej nic nie znaczącej kobiety, nad którą nareszcie miał teraz władzę.

Otrzymał rozkaz, aby wyciągnąć z niej wszystko, co wie o Świętym Słońcu.

To nie powinno być trudne, a w dodatku sprawi mu niemało przyjemności.

Lorenzo dał znak swoim ludziom, by ustawili jaw takim miejscu, aby nie czuł bijącego od niej smrodu, lecz by jednocześnie czuła się podległa. To ostatnie osiągnęli zmuszając ją, by padła na kolana.

By jeszcze bardziej upokorzyć Tiril, brat Lorenzo zwracał się do niej za pośrednictwem swego najbliższego popiecznika.

- Ta chłopka ośmieliła się wdrzeć na nasz teren - oświadczył po niemiecku, którego to języka nie rozumiał żaden ze strażników. Tiril pojęła, że i ten drugi mężczyzna należy do Zakonu Świętego Słońca, choć pewnie jest niższy rangą. Lorenzo nie odważyłby się omawiać tajemnic Zakonu w obecności obcych ludzi. Gdy jej oczy zaczęły się przyzwyczajać do światła, doszła do wniosku, że ten drugi musi być kasztelanem, wskazywał na to jego bogaty strój.

Pozostali mężczyźni byli tylko strażnikami o raczej niezbyt wysokiej inteligencji.

- Wywęszyła sporo tajemnic, których nie powinna znać - powiedział Lorenzo temu drugiemu. - Na przykład o naszyjniku z szafirów...

Kasztelan zwrócił się do Tiril:

- Opowiadaj, co wiesz na ten temat, dziwko!

Tiril odparła z godnością:

- Chłopka niewiele ma do powiedzenia na temat kamieni szlachetnych, panie.

Zauważyła, że odpowiedź jeszcze bardziej ich rozjuszyła.

- Jak ona śmie nazywać mnie ot tak, panem? - obruszył się Lorenzo.

- Ten człowiek nie przemawiał do mnie - Tiril zwróciła się do kasztelana. - Jak więc mogłabym go nazywać w jakikolwiek sposób?

- Nie bądź taka bezczelna, ty zawszona dziwko, bo drogo cię to może kosztować - zagroził kasztelan.

- Jeśli mam wszy, to nie jest to moją zasługą. Pokój toaletowy w moim lokum jest poniżej wszelkiej krytyki.

Lorenzo wściekłym głosem wydał polecenie strażnikowi i na plecy Tiril spadło uderzenie bata.

Zdusiła jęk.

Zasypali ją pytaniami, lecz Tiril, odpowiadając na niektóre, udawała głupią.

Zdumiała ją, jak mało wiedzą w porównaniu z nią i jej przyjaciółmi. Posuwali się raczej na oślep. Nie wiedzieli nic o Tiersteingram ani o napisie na naszyjniku...

Kiedy jednak Lorenzo napomknął o olbrzymim szafirze, przyszła kolej na Tiril, by się dziwić. Nigdy o nim nie słyszała i wypierając się wszelkiej znajomości rzeczy, wyjątkowo mówiła prawdę.

Gdy okazało się, że uderzenia bata wcale na nią nie działają, Lorenzo podniósł się z krzesła i władcym gestem kazał jej przejść do strażników. Tiril wyraźnie teraz widziała - wyraz twarzy mężczyzn, zorientowała się, że postanowili na razie dać jej spokój, by przygotować nowe plany.

W końcu mogła odpocząć na wiązce słomy, rzuconej przez prześladowców.

Nareszcie ośmieliła się wypłakać swój ból i samotność. Przez cały czas miała w kieszeni runę Móriego, pozwalającą widzieć duchy, na wypadek gdyby potrzebowała pomocy Nidhogga i Zwierzęcia, ale do tej pory zdołała radzić sobie sama. Tak było najlepiej, wołała nie zdradzać ich obecności bez potrzeby.

Przez mur usłyszała sygnał. Chciał z nią rozmawiać Heinrich Reuss.

Właściwie miała ochotę tylko leżeć i cierpieć w spokoju, lecz jednak podczołgała się aż do szczeliny między kamieniami.

- Jak poszło? - usłyszała szept Reussa.

Tiril zdecydowanym ruchem otarła łzy i przełknęła ślinę.

- Tak jak można się było tego spodziewać. Ale wytrzymałam. Tym razem.

Następnym zapewne będzie gorzej.

- Obawiam się, że tak. Czy wspominali o mnie?

- Nie, oczywiście, że nie.

- To dobrze, jeśli dowiedzą się, kim jestem, od razu mnie zabiją.

Tiril nie miała sił zajmować się jego zmartwieniami. Przeczolgała się z powrotem do miejsca, mającego wyobrażać łóżko, i skuliła z bólu.

Mrocznej przyszłości nie rozświetlało nawet najmniejsze światełko.

Rzeczywiście później nie było wcale lepiej.

Lorenzo, chcąc zmusić Tiril do mówienia, posługiwał się coraz ostrzejszymi środkami chętniej by ją po prostu zabił, zdawał sobie jednak sprawę, że byłoby to najgłupsze posunięcie.

Czasami, kiedy torturami doprowadzali ją do stanu bliskiego utraty przytomności, coś jej się wyrwało. Nie były to na razie sensowne informacje, a wiele z tego, co mówiła, okazało się po prostu niezrozumiałe. Wygadywała jakieś głupstwa o duchach przyrody i upiorach, na pewno bredziła. Lorenzo polecił kasztelanowi, aby ten nie zwracał uwagi na podobne bajdurzenia.

Zorientował się jednak, że siły uwięzionej kobiety powoli się wyczerpują. On sam jednak nie uczestniczył w torturowaniu Tiril, uznał bowiem, że nie warto na nią marnować inteligencji, więc kasztelan i jego ludzie musieli się zajmować więźniarką sami. Pewnego dnia jednak przybiegli do jego komnaty, biali na twarzach. Odmówili ponownego zejścia do piwnicy.

- Może przycisnęliśmy ją trochę za mocno - przyznał kasztelan. - Ale ta dumna kobieta zirytowała mnie ponad wszelkie granice.

Lorenzo, który włączał się zwykle dopiero wtedy, gdy Tiril była już dostatecznie udręczona i upokorzona, by poddać ją przesłuchaniom, wstał.

- Czyba jej nie zabiłeś? - spytał ponury jak chmura gradowa.

- Nie, nie. Ale tam coś było. Krzyknęła z bólu - posłużyłem się wielkimi śrubami - i usłyszałem, jak z płaczem mówi: "Nie wytrzymam już dłużej, pomóż mi..." A potem słowo, którego nie zrozumiałem. Brzmiało to jak "Nidhogg".

- Nidhogg? Potwór ze starych północnogermańskich wierzeń? Brednie! I z tego powodu tak się trzęsiecie?

Jeden ze strażników wyglądał na bliskiego omdlenia, drugi całkiem pozieleniał na twarzy.

- Zobaczyliśmy coś - wyjaśnił kasztelan. - Bestię, która z wyszczerzonymi kłami miała zamiar rzucić się na strażników. Nie mam pojęcia, skąd się wzięła.

- Smok?

- Nie, to nie był smok. Potwory były dwa, a bestia, o której już mówiłem, przypominała czworonożne zwierzę, może wilka, może co innego. To było... straszne! I potwór bronił tej kobiety!

- A ten drugi? - pytał Lorenzo z niewzruszoną twarzą.

- Widzieliśmy go ledwie przez ułamek chwili. Coś długiego, rozciągniętego, bladożółtego. Niczym upiór z nocnych opowieści grozy.

Brat Lorenzo zdecydowanym krokiem zszedł do piwnicy. Echo jego stąpień rozbrzmiewało w całym zamku. Pozostali mężczyźni niepewnie ruszyli za nim.

- Może... może potwory już zniknęły - słabym głosem odezwał się kasztelan.

Lorenzo nie odpowiedział. Wszedł do prastarej sali tortur, gdzie Tiril wisiała za ramiona, prawie całkiem wykręcone ze stawów. Jęczała z bólu, ale nie wyglądała już na tak zrozpaczoną jak poprzednio. Na jej twarzy noszącej ślady cierpienia, brudu i łez malowała się spokojna pewność.

Dobry Boże, jak ta kobieta wygląda, pomyślał Lorenzo z pogardą, bez odrobiny współczucia.

Twarz i ramiona Tiril pokrywały ślady ukąszeń insektów, niektóre zainfekowane. Jedyne smugi wyżłobione przez łzy w brudzie i zaczerwienione oczy świadczyły o tym, że płakała. Poza tym zachowała niemal jaśniejącą godność. Patrzyła wprost na oprawcę, dumna niczym zranione zwierzę, tylko wargi ledwie dostrzegalnie jej drżały.

Zakleszczone ręce wykręcone były w jakiś straszny sposób, a z przygasłych oczu dało się wyczytać, że jest śmiertelnie zmęczona.

Przekłeta, uparta kobieta, pomyślał Lorenzo. Muszę przecież mieć raport, który będę mógł zawieźć kardynałowi. Od tego raportu zależy cała moja przyszłość. Jej upór jest... całkiem nieprawdopodobny!

Jasne było, że uwięziona posiadała wiele cennych wiadomości, wielokrotnie zdradziły to jej oczy. Na przykład kiedy wspomnieli Tiersteinów albo kamień Ordogno, trzy części kamiennego klucza, naszyjnik z szafirów. Zareagowała nawet... nawet gdy pytali o nazwiska dawnych mistrzów. Znała je! Gotów był to przysiąc. Skąd? W jaki sposób?

Ale nie wyciągnął z niej ani słowa.

Wydawało się jednak, że nic nie wie o niebieskiej kuli z szafiru. To dziwne.

Och, ale... gdzie on ma rozum? Chłopiec znalazł ją przecież nie tak dawno na bagnach, przez które nie dawało się przejść. Oczywiście, że ona nic na ten temat nie wie. Brat Lorenzo przeklinał samego siebie za to, że tylko zmarnował czas na niepotrzebne pytania.

Twarz wykrzywiła mu się złośliwą radością. Nie mówili jej, że ten Erling Müller żyje - jak to zresztą możliwe, to przechodzi ludzkie pojęcie - ani też że jej mąż, czarnoksiężnik, został wskrzeszony z martwych za pomocą tego olbrzymiego szafiru. Niech dalej cierpi bolejąc nad losem obu mężczyzn, na nic lepszego nie zasługuje.

Dlaczego więc wciąż się nie poddaje? Nie ma już przecież po co żyć, nie ma nadziei na ratunek!

Dzieci, rzecz jasna! One wciąż żyją.

Ale niedługo, już on się o to zatroszczy.

Chyba że...

Do głowy wpadł mu nowy pomysł.

Tak, oczywiście! Mógł to zrobić od razu, zniszczyć resztki jej oporu.

Odwrócił się do swoich ludzi.

- Nie widzę żadnego potwora.

- No tak - odparł zmieszany kasztelan. - Ale były tutaj, przysięgam.

- Nonsens - warknął Lorenzo.

Podszedł do kobiety.

- Mam dla ciebie nowinę, nędzna dziwko.

Tiril nie odpowiedziała, ciągnął więc ze złośliwym zadowoleniem:

- Przybyły wieści. Wszystkie twoje dzieci, cała trójka, nie żyją.

Tiril drgnęła, targnięta najostrzejszym bólem, jaki kiedykolwiek czuła. Ale zachowała spokój.

- Nie wierzę. Są dobrze chronione.

- Mówię prawdę. Opuściły dom wraz z twoją tak zwaną matką i wszystkich zastrzelono podczas starcia w lesie. Nie masz więc po co żyć. Powiedz, co wiesz, a unikniesz dalszych cierpień.

Tiril zapłakała, ogarnięta gwałtownym smutkiem.

- To nieprawda, nieprawda! - wołała przez łzy. - Nidhoggu! Zwierzę! Moi jedyni przyjaciele, jakich mam na świecie, zmuście go, aby powiedział prawdę!

Lorenzo nie zdążył zauważyć, skąd się wzięły, nagle jednak się pojawiły. Coś bladożółtego przesunęło się obok i przycisnęło duszącą dłoń do jego twarzy, a tuż przy nim zjawiła się rozwarta paszcza rozwścieczonego wilka z odsłoniętymi, gotowymi do ataku kłami.

Kasztelan i strażnicy pobiegli w górę po schodach, potykając się o siebie nawzajem i wydając zduszone okrzyki strachu.

Lorenzowi wydawało się, że i on krzyczy, ale z ust wydał mu się tylko jęk przerażenia. W potężnym ciele serce zabiło niepokojąco szybko.

- Nie, nie - stęknął. - Zabierzcie je, zabierzcie tego potwora!

- To nie jest potwór - słabym głosem sprzeciwiła się Tiril. - To tylko zwierzę, które my, ludzie, udręczyliśmy ponad wszelkie wyobrażenie. Powiedz prawdę o moich dzieciach, to ustąpią.

- Ja... po... po... - zaczął Lorenzo, przyciskając się do ściany i rękami zasłaniając głowę. - Powiedziałem prawdę!

Straszliwa bestia kłapnęła paszczą i Lorenzo usłyszał trzask pękającego materiału. Kiedy ujrzał, co się stało, zaniósł się szaleńczym krzykiem.

Ta bestia, wilk czy co to było, rozerwał jego elegancką szatę od góry do dołu, wielmoża prędko więc musiał opuścić ręce i zakrywać to, co się zakryć dało.

Ogarnięty niepohamowaną złością wrzasnął do Tiril:

- Do stu diabłów, nie mam pojęcia, co się stało z twoimi szczeniakami!

Zdołał jakoś przeczołgać się do schodów i przynajmniej dopóki Tiril go widziała, na czworakach, zaczął po nich wchodzić. Przez cały czas przytrzymał ubranie, zasłaniając najbardziej krytyczny punkt, zdając sobie sprawę, że opuszcza pomieszczenie w bardzo niegodny sposób.

Kiedy już się wycofał, Tiril gorąco podziękowała swoim przyjaciołom.

- Jednego nie rozumiem - powiedziała zdziwiona. - Przecież wy nie możecie zaatakować w tak namacalny sposób! Jak to możliwe, że Zwierzę tak się tym razem ucieleśniło? Zdołało porwać ubranie na tym łajdaku? To... to się nie zgadza!

Nidhogg roześmiał się, ukazując przy tym wszystkie swoje straszliwie długie, przypominające szable zęby. Osobliwe żółtawe kozie oczy zajaśniały łagodnością.

- Zaczekaj, a sama się przekonasz - oznajmił ochryplym, tak łatwym do rozpoznania głosem.

Postaci Nidhogga i Zwierzęcia powoli bladły, aż wreszcie całkiem rozplynęły się w powietrzu. Tiril została sama w sali tortur.

Nikt nie chciał już tutaj zejść.

Być może w ten sposób przyjaciele wyświadczyli jej niedźwiedzią przysługę?

Powieszona za ręce ściśnięte w kleszczach cierpiała niewypowiedziane męki.

Dużo później, kiedy była już prawie nieprzytomna, zmuszono dwóch śmiertelnie wystraszonych strażników do zejścia na dół. Trzęsącymi się dłońmi uwolnili ją pośpiesznie i znów wrzucili do celi.

Ledwie to zauważyła.

Rozdział 9

Brat Lorenzo odzyskał swoją godność. Siedział w jednej z komnat zamku i do bólu głowy rozmyślał o tym, co się stało.

- Nie chcę mieć do czynienia z tą kobietą - szeptał pod nosem. - To czarownica, a takie starym zwyczajem powinny spłonąć na stosie!

Przygryzł wargę. Dobrze, że żaden z mu podległych nie widział jego upokorzenia. Rozpierzchli się na wszystkie strony, myśląc tylko o ratowaniu własnej skóry. Zdażył wejść na górę przez nikogo nie widziany i szybko się przebrać. Podarte ubranie cisnął na dno szafy.

Czarownica, w każdym razie poganka, a już z całą pewnością nie katoliczka.

Kardynał von Graben będzie musiał sam się nią zająć.

Na tę myśl brat Lorenzo się uśmiechnął. Tak, niech tak się stanie. Weź się za nią, stary nieśmiertelny dziadu, może wreszcie przyjdzie twój koniec! Niech to upiorne zwierzę, przywołane przez wiedźmę, skoczy ci do gardła i rozerwie na kawałki. Z radością będę na to patrzeć.

Wtedy może nareszcie zapanuje porządek w Zakonie Świętego Słońca.

Ze mną, jako wielkim mistrzem.

Upływają lata, wcale nie staję się młodszy. A staruch ani trochę nie szykuje się na tamten świat, pazurami czepia się życia. Wiem, dlaczego, ale i tak go przeżyję.

Okres świetności Zakonu przypadnie na mój czas, nie jego.

Nie wierzę, żeby ta kobieta zdażyła coś zauważyć. Bardzo prędko się zakryłem.

Zobaczyła tylko siwe włosy na piersi i potężne ciało. Imponujący widok.

A jednak... Wstyd i hańba! Zmuszony do odwrotu, potykający się na schodach. Ale ona dostanie za swoje! Gdy tylko staruch umrze, postaram się, aby spłonęła na stosie i nigdy nie mogła już powrócić.

Spojrzał na niebo, niebieszczające nad Pirenejami.

A co z przesłuchaniami? Jak je teraz prowadzić?

O, nie, kardynał będzie musiał zająć się tym osobiście.

Brat Lorenzo od wszystkiego umył ręce.

Pireneje.

Móri odetchnął z ulgą. Zdołali dotrzeć aż tak daleko.

Przed nimi rozciągały się przepiękne, porośnięte liściastymi lasami góry. I co więcej: kardynał opisał Theresie właściwą drogę. Nie musieli szukać, błędzić na oślep po nieznanym górskich bezdrożach.

Kilka dni temu przeżyli nieprzyjemną przygodę. Teraz, kiedy zbliżali się do celu, trudniej przychodziło im wybieranie określonej drogi. Musieli podążać prosto, a bracia zakonnicy tylko na to czekali, gotowi do ataku.

Zrozumieli wówczas, że kardynał jeszcze się nie poddał. Rycerze byli wprawdzie inni, lecz nie pozostawiało wątpliwości, kto się za tym kryje. Posłańców z pewnością rozesłano do twierdz różnych braci z wieścią, że wróg zmierza w stronę Pirenejów.

No cóż, udało im się jakoś wyjść z ostatniej opresji, a to dzięki dobremu słuchowi Nera. Przyczaili się na wzgórzu i ujrzeli zbrojnych gwardzistów, którzy tym razem czyhali na nich przy drodze.

Z wielkim wysiłkiem pnąc się po stromym zboczach, zdołali ich wyminąć.

Szczególnie koniom droga sprawiła trudność, ale najgorsze mieli już za sobą i mogli podążać w stronę celu.

Wioska nosząca nazwę Stary Zamek powinna już być w pobliżu...

Kapitan pierwszy dostrzegł wysoką, strzelistą wieżę, górującą nad połaciami lasu. Zatrzymali się, by opracować plan walki.

Iść wprost na zamek i zażądać wydania Tiril?

To nie był dobry pomysł.

Rozpoznać teren? Wypytać w wiosce?

Albo wysłać kogoś na zamek w przebraniu, żeby powęszył, sprawdził, czy Tiril rzeczywiście tam jest, a jeśli tak, to gdzie?

Przypuścić szturm?

Rozważali wszystkie za i przeciw, omawiali rozmaite możliwości.

Wioska leżała jakby drzemiąc w palących promieniach słońca. Sjęsta. Na uliczkach nikogo nie było widać. Nad domami górował zamek, współzawodnicząc z kościołem o pierwszeństwo w wysokości wieży.

Zamek zbudowano chyba w niepamiętnych czasach, lecz wyglądał na zamieszkały.

Skądś dochodziło pianie koguta, żalonym rykiem zanosił się osioł.

- Mam ochotę dać mu wody - szepnął Dolg. - Na pewno bardzo mu ciężko.
- Ja tak nie uważam - odszepnęła Theresa. - Osły zawsze sprawiają wrażenie smutnych.

Powrócili do dyskusji. Jak postąpić?

Erling stwierdził z przekonaniem:

- Jeśli cali i zdrowi zdołaliśmy dotrzeć aż tutaj, poradzimy sobie i dalej.

Co do tego wszyscy byli zgodni.

Wreszcie postanowiono, że na zamek spróbuje się przedostać żołnierz władający hiszpańskim.

Żołnierz nazywał się Willy i był tym samym, którego Taran w Theresenhof oczarowała tak, że zgodził się pożyczyć jej swój wspaniały hełm.

Ach, jakże to było dawno! Tygodnie zdały się latami.

Doszli do wniosku, że Willy musi spróbować się przedostać od kuchni. Przystojny, ciemnowłosy mężczyzna o aksamitnych oczach na pewno zdoła zawrócić w głowie jakiejś podkuchennej. Przy okazji wypyta ją o ewentualnych więźniów zamczyska.

Willy z zapalem kiwał głową. Wreszcie nadeszła jego kolej na wykazanie się męstwem.

Jeśli, rzecz jasna, za męstwo można uznać uwiedzenie dziewczki kuchennej.

Trudniej natomiast przyszło wymyślenie, w jakiej sprawie przybywa.

Może kupić coś na zamku?

Nie, to zbyt podejrzane, w dodatku mogło kojarzyć się z żebractwem. A żebracy z pewnością nie są mile widziani i Willy'ego od razu by wyrzucono za drzwi.

A gdyby tak chciał im coś sprzedać?

Tylko co? Prowiantu i wyposażenia, jakie jeszcze im zostało, sami bardzo potrzebowali. Inne rzeczy, które mieli przy sobie, w obcym kraju, w dodatku w siedzibie jednego z braci zakonnych, mogłyby wzbudzić podejrzenia.

Oczy Dolga ożywiło pragnienie.

- Osioł - powiedział. - Stoi na terenie należącym do zamku.

Rzeczywiście, zwierzę uwiązano do słupka na wypalonym przez słońce polu przy murze. Bez odrobiny cienia, bez najmniejszego źdźbła trawy, którym mogłoby się pożywić.

- Ależ, Dolgu! - protestował Móri. - Cóż my poczniemy z osłem? Nie mamy dla niego paszy, poza tym nie zdoła posuwać się równie szybko jak konie. Strasznie jest też wychudzony i słaby.

Wyraz wielkich oczu Dolga mówił sam za siebie.

Móri z westchnieniem ustąpił, bo w zasadzie pomysł był dobry, o ile tylko na zamku zgodzą się sprzedać zwierzę.

No cóż, najważniejsze, że Willy miał powód, by się tam udać.

Nie mógł jednak pójść w mundurze gwardii cesarza - trudno o gorszy pomysł.

Móri wyciągnął więc swoją starą, znoszoną opończę, która uratowała go już w wielu sytuacjach. Całości dopełniła para sandałów i Willy wyglądał teraz naprawdę skromnie i pobożnie.

Roześmiał się nerwowo.

- Wadą tego stroju jest, że raczej nie wypada uwodzić w nim dziewczyny.

- No, na to nie bardzo mamy czas - zauważył oschle kapitan.

Theresa i Erling zaopatrzyli Willy'ego w hiszpańskie monety na zakup osła i żołnierz z bijącym sercem wyruszył na zamek. Obserwowali go z lasu. Widzieli, jak się zatrzymuje, by przyjrzeć się z bliska osiołkowi, potem obrzuca wzrokiem imponującą budowlę i z wahaniem podchodzi do kuchennego wejścia od tyłu.

Kapitan zamknął oczy i głęboko nabrał powietrza przez nos.

- Pozostaje nam teraz tylko mieć nadzieję, że on się nie zdradzi.

Chłodni i niechętni służący wpuścili Willy'ego do środka. Przywitał ich słowami "Szczęść Boże" po hiszpańsku i wszedł do kuchni.

W samym środku sjezty niewielu zastał tu ludzi: tylko starego sługę, okazałą matronę z wąsikami i młodziutką dziewczynę.

Wyłożył sprawę, z jaką przybywa, mówiąc, że jest wędrownym człowiekiem

Kościola, lecz niestety zranił się w kolano i nie może iść dalej. Ponieważ jednak

musi podążyć na południe, chciał spytać, czy nie mógłby kupić osła, który stoi uwiązany na polu.

Popatrzyli po sobie. Młoda panna nie miała raczej nic do powiedzenia, więc Willy natychmiast przestał się nią interesować. Kucharka natomiast - dama bez wątplenia musiała być kucharką, sprawiała wrażenie dostatecznie władczej, a jednocześnie łatwo ulegającej wpływom - mogła posiadać cenne informacje.

Starszy mężczyzna wydawał się głuchy, w dodatku prędko opuścił kuchnię, i Willy został sam na sam z kobietami.

Musiał działać teraz, zanim inni powrócą do pracy po sjeście.

Willy posłał pani o obfitych kształtach wiele mówiące spojrzenie. Miała z niego wyczytać, że uważa ją za niezwykle powabną, lecz święte powołanie nie pozwalało, by mógł poznać ją bliżej.

Podziałało. Kucharka przykazała dziewczynie nanosić więcej wody ze studni.

Willy usiadł tak blisko kobiety, jak tylko pozwalała na to przyzwoitość. Westchnął ciężko i zaczerwienił się, a przynajmniej miał nadzieję, że tak właśnie się stało.

Matrona także próbowała zachowywać się skromnie, lecz fascynował ją już sam fakt, że tak się spodobała świątobliwemu mężczyźnie. Willy czytał w jej myślach, poznawał po spojrzeniu, że pani zastanawia się, jak też on wygląda bez opończy. Oddychała coraz szybciej.

Osiół? Tak, zaliczał się do tutejszego dobytku, ale właściwie był niczyją własnością, bo kasztelan pewnie nie wiedział nawet o jego istnieniu, a nikt inny nie miał nic do gadania.

Pamiętając o przyzwoitości rozsunęła nieco olbrzymie, grube nogi i westchnęła, narzekając na gorąco.

Willy przesiadł się bliżej. Zmusił się, by popatrzeć na jej uda, a potem odwrócił wzrok z, jak sądził, wielką tęsknotą.

Wyjął monety i kilka razy nimi brząknął. Kobieta wpatrywała się w nie jak zahipnotyzowana. Tyle pieniędzy... za marnego osła?

- Ja... hmmm... myślę, że nie zaszkodzi, jeśli go sprzedam - zaczęła więc się na krześle. - Używamy go do wożenia opału i warzyw, ale raczej rzadko. W dodatku ja tutaj decyduję.

- Senora - rzekł Willy. - Dobroć pani jest równie wielka jak jej uroda. Gdy na panią patrzę...

Urwał, jakby przypomniał sobie nagle o swym celibacie.

Natychmiast przysiadła się bliżej; tak blisko, że Willy poczuł bijący od niej odór potu.

- Tak? - rzuciła zachęcająco. Kiedy Willy tylko westchnął, podjęła: - Ach, mój dobry człowieku, rozumiem, jak ciężka do zniesienia może być samotność...

Pokiwał głową.

- Czy pani przeżywa trudne chwile na zamku? - spytał cicho, ze zrozumieniem.

Wzruszyła ramionami.

- Nie jestem z tych, co to źle mówią o chlebodawcy, ale... kasztelan to surowy pan. I dzieją się tu rzeczy, które...

Urwała gwałtownie. Willy niby przypadkiem położył rękę na tłustym udzie.

Zadrżało, kiedy kobieta głęboko odetchnęła.

- Widzę, że to bardzo stare zamczysko - powiedział cicho. - Są tu pewnie i lochy?

Być może to obcasowe pytanie było trochę ryzykowne, lecz Willy nie miał czasu do stracenia. W każdej chwili mógł ktoś nadejść.

Kucharka zwilżyła językiem wargi. Drżała już teraz na całym ciele.

- Nic nie mówiłam - szepnęła. - Ale słyszałam krzyki. Krzyki kobiety.

Willy przeżegnał się.

- Niczego nie słyszałem - zapewnił. - Z wieży?

- Nie, nie! Przeciwnie!

- Z lochów?

- Niczego nie powiedziałałam.

- Ach, te kobiety - rzekł Willy z udawanym przerażeniem, pozwalając jej drżącej dłoni przesuwając się po opończy wzdłuż linii biodra i uda, a jednocześnie broniąc się skromnie, lecz nie bardzo przekonująco.

- Czyż to nie jest okrutne? - syknęła, spoglądając mu głęboko w oczy. - Ale my o niczym nie wiemy, bo do piwnicy prowadzi tylko jedno zejście, bardzo dobrze strzeżone!

Osiągnęła teraz stan takiego uniesienia, że nie zauważała nawet, że jest wypytwana. Chętnie odpowiadała na wszystko.

- A jak więźniowie dostają jedzenie? - pytał Willy.

Wyjaśniła szeptem:

- Strażnik przychodzi po dwa talerze... Aach! - jęknęła, kiedy przerażony lekko dotknął czubkiem języka jej szyi. Poczul smak soli i cofnął się z obrzydzeniem, ale ona zrozumiała to jako reakcję żalującego za grzechy mnicha.

- Dwa? A więc jest dwóch więźniów?

- Na to wychodzi - odparła, przyciskając się do jego boku. - Akurat teraz dwoje. Czasami jest ich więcej, a kiedy indziej tylko jeden. Ale jeden jest zawsze. Wydaje mi się, że ta kobieta przybyła dopiero niedawno. A wczoraj...

- Tak?

- Ależ było zamieszanie! Przybiegli z piwnicy, wszyscy jak jeden mąż. Sługa, który ich widział, mówił, że byli do szaleństwa wystraszeni. Ach, zrób to jeszcze raz! Trochę więcej! I niżej...

Dłoń Willy'ego wsunęła się pod czarny fartuch. Dotknął wielkiego brzucha, ale uważał, żeby nie posunąć się "niżej".

- Kto był taki przerażony?

- Wszyscy. Strażnicy, kasztelan i jego goście.

- A czego się wystraszyli?

- Krzyczeli coś o potworze, sługa nie wiedział, o co chodzi.

Willy wstał.

- Ja... muszę cię już opuścić, pani... święta przysięga nie pozwala mi na takie odczucia... Pani... twoja bliskość na mnie... działa.

Kucharka wyciągnęła do niego rękę.

- Ach, mój drogi, tak długo byłeś samotny, mogę... czy wolno mi dotknąć?

- Och, nie śmiem tego uczynić. Tak być nie może, proszę mnie nie kusić!

Drżącą dłonią złapała go za rękę i skierowała ją ku rozsuniętym udom.

- Zobacz, tutaj, dobrze ci to zrobi, taki jesteś samotny, a ja nic nie powiem.

Uwolnię cię od męki, zobacz, dotknij!

Sapała jak miech kowalski. Pewnie wiele kobiet marzy o uwiedzeniu mnicha, pomyślał Willy, przeklinając swój pomysł, przez który sam znalazł się w takiej sytuacji. Dłoń kucharki już wciskała się pod opończę i biedny żołnierz znalazłby się w prawdziwym kłopotcie, gdyby pod drzwiami kuchni nie rozległy się głosy.

- Och, wracają, wracają! - jęknęła kucharka zrozpaczona. - Dlaczego?

- Pani, sprowadziłaś na mnie zbyt wielką pokusę - wyjaśnił niby z trudem, jakby nie chciał jej ranić. - Ci ludzie zostali zesłani przez Pana. Muszę odejść, zanim się zorientują, jakie uczucia mną targają. Oto pieniądze, czy mogę zabrać osła?

- Tak, tak - wysapała. - Och, jakże cię potrzebuję! Czy wrócisz tu jeszcze?

- Jeśliby się tak stało, czy obiecasz mi, pani, uwolnić mnie od mych żądz?

- Obiecuję, całym ciałem... i duszą - dorzuciła pobożnie.

Willy kiwnął jej głową, podał rękę i pospiesznie opuścił kuchnię akurat w chwili, gdy ktoś położył dłoń na klamce drugich drzwi.

Odwiązał osiołka i zabrał zwierzę ze sobą. Usiłował wrócić do równowagi, a przede wszystkim uspokoić oddech, krótki niczym po biegu.

A najgorsze, myślał, że cała ta sytuacja mnie także podnieciła. Nie rozumiem, przecież ona nie była nawet pociągająca!

Cieszył się jednak, że i kobieta zdążyła się przekonać, iż w istocie jej pożądał, a nie tylko prawił piękne słówka.

Ale jak na miłość boską mógł pożądać tej podstarzałej, tłustej baby? Tego pojąć nie mógł.

Ludzkie ciało bywa doprawdy zdumiewające. Rzadko słucha rozumu, a nawet uczyć.

Bardzo cię proszę, chodź ze mną, prosił w duchu opierającego się osła. Nie mamy czasu na takie siłowanie. Uwierz mi, będzie ci o niebo lepiej u nowych właścicieli, tego dziwnego chłopczyka o gorącym sercu, u jego ojca, który, choć nikt się na nim nie może wyrozumieć, nosi w sobie wszelką miłość świata dla żywych istot, i u babki, która mogła żyć życiem najwyższych sfer i nie zajmować się służącymi, a już na pewno nie osłami, a jednak posiada pełne zrozumienie dla najmniejszej nawet istoty.

Ciągnął zwierzę drogą, ale nikt nie zwracał uwagi na prosto odzianego pielgrzyma i jego osła.

Kiedy był już niewidoczny z wioski, skręcił w las do czekających towarzyszy podróży.

- Więźną w lochach kobietę - oznajmił krótko. - Kucharka słyszała jej krzyk.

- Krzyk - powtórzył Móri martwym głosem. - O, Boże!

Willy przekazał wszystko, co powiedziała mu kucharka.

- Dobra robota, Willy - pochwalił go Erling. - Jak zdołałeś tak wiele się dowiedzieć w tak krótkim czasie?

- Przyszło mi ją uwodzić, i to z takim rezultatem, że to ona prawie uwiodła mnie. Musiałem się siłą stamtąd wyrwać.

Uśmiechnęli się, lecz nie czas był na żarty.

- Co teraz zrobimy? - spytała Theresa, podczas gdy Dolg zaprzyjaźniał się z osiołkiem. Dla zabiedzonego zwierzęcia łagodny ton chłopca był czymś zupełnie nowym, nieufnie też traktował podsuwaną przez Dolga trawę.

- Najwyraźniej nie dostaniemy się do lochów - stwierdził Erling.

- Rzeczywiście, są podobno bardzo dobrze strzeżone - odparł Willy.

- Ale wczoraj czegoś się przestraszyli. Wspominali o potworze?

- Więcej się o tym nie dowiedziałem.

Popatrzyli po sobie.

- Nidhogg? Zwierzę? - z niedowierzaniem powiedział Móri. - Przecież oni nie mogą się włączyć, jeśli mnie przy tym nie ma. To moi towarzysze, nie Tiril. W ciszy, jaka zapadła, Móri pojął, co się musiało stać. Nocowali wszak w pobliżu wioski i sam Móri znalazł się dostatecznie blisko, by Nidhogg i Zwierzę pozwolili się rozpoznać.

- W każdym razie Tiril żyje - rzekł Erling, chcąc dodać im otuchy.

- Owszem, ale powinniśmy raczej się spieszyć - odparł Móri. - Willy, dowiedziałeś się, czy brat Lorenzo przybył na zamek?

- Bałem się o to pytać wprost, żeby przypadkiem się nie zdradzić.

- Mądrze pomyślane! Ale kucharka wspominała, że kasztelan ma gości?

- Owszem.

Osiół zdecydował się spróbować trawy, Dolg delikatnie podrapał go za uchem.

Zwierzę najpierw drgnęło, jakby chciało się cofnąć przed ciosem, zaraz jednak się uspokoiło. Ciemne smutne oczy, podobne do oczu chłopca, patrzyły na Dolga.

W tym momencie osiołek zrozumiał, że temu niedużemu człowiekowi można zaufać. Nigdy dotąd się to nie zdarzyło. Ludzie oznaczali krzyk, ciosy, kopniaki i uwiązanie na spalonej słońcem, pozbawionej trawy ziemi.

W lesie panował przyjemny chłód, trawa była smaczna i nikt nie krzyczał ostrym głosem.

- Chyba możemy przyjąć, że Lorenzo jest tutaj - orzekł kapitan. - Miał dość czasu, by tu dotrzeć. To na pewno on tak brutalnie przesłuchuje pańską żonę.

- Tak - przyznał Móri. - Pytanie tylko, w jaki sposób dostaniemy się do środka.

- Widzę jedno rozwiązanie - powiedział Erling spokojnie.

- Jakie?

- Że wezwiesz swoje duchy.

Móri rozejrzał się dokoła. Na wszystkich twarzach wyczytał milczące poparcie dla pomysłu Erlinga.

- Zgoda - westchnął. - Wobec tego tak zrobimy.

Rozdział 10

Bratem Lorenzo targał gniew.

Poprzedniego dnia zachował się bardzo nierozważnie. Zszedł do lochu nie zawiesiwszy na szyi łańcucha ze znakiem Słońca. Kto jednak mógł przypuszczać, że okaże się mu potrzebny tutaj, w zamku jednego z braci?

Tego dnia nie zapomniał o amulecie.

Ten znak Słońca, podobnie jak inne należące do pozostałych braci, został wykonany stosunkowo niedawno, wszystkie wykuto w bastionie Zakonu Świętego Słońca, niedaleko stąd.

Tylko Wielki Mistrz, kardynał von Graben, miał prawdziwy znak, ten, który przez stulecia towarzyszył wielkim mistrzom. Ten znak posiadał wyjątkową moc, chronił właściciela w idealny sposób.

Ale i amulety pozostałych braci nie były tylko ozdobami. Poświęcono je na ołtarzu w bastionie. Ułożone kręgiem wokół znaku kardynała, zaczerpnęły mocy prastarego znaku i ich właściciele pozostawali odporni na większość ataków, dopóki je nosili. Nowe znaki miały jednak bez wątpienia mniejszą moc od pierwotnego wzorca.

Lorenzo wiedział, że jego znak wytrzyma starcie z magicznymi zaklęciami czarnoksiężnika, udowodniły to przeżycia innych braci w Norwegii. Mondstein okazał się jednak głupcem i nie chciał go nosić, a to stało się przyczyną jego śmierci.

Kobieta przetrzymywana w lochu jest bez wątpienia wiedźmą, wszak to żona czarnoksiężnika z Islandii.

Przekona się jeszcze, że on, Lorenzo, posiada broń, nad którą wywoływane przez nią duchy nie mają władzy.

Nadszedł koniec sjesty, wezwał więc trzech swoich ludzi, towarzyszących mu w podróży, a także kasztelana i jego strażników.

Po okropnych doświadczeniach poprzedniego dnia strażnicy nie śmieli już schodzić do lochów. Otrzymali polecenie, by pilnować schodów z hallu, i tak więc nikt by się stamtąd nie wymknął. Innego wyjścia z lochów po prostu nie było, a

przez otwory okienne mógłby prześlizgnąć się jedynie wąz. Człowiek zdołałby wysunąć za ledwie ramię, jeśli w ogóle udałoby mu się uchylić okno, ale taka możliwość praktycznie nie istniała.

Fakt, że więźniowie tym samym nie dostawali nic do jedzenia, pozostawał nieistotny. Kogo obchodziło, że głodują?

No cóż, kardynał nie życzył sobie śmierci tej kobiety. Lorenzo więc musiał zejść na dół.

Nie sam, o, nie, na to nigdy by się nie odważył, choć rzecz jasna nikomu o tym nie wspomniał.

- Wczoraj byłem nieprzygotowany - bez cienia uśmiechu, ponurym głosem oznajmił zgromadzonym w hallu ludziom. - Dzisiaj żaden potwór nie ośmielił się mnie zaatakować. Kontynuujemy przesłuchiwanie tej kobiety. Jest już tak wycieńczona, że nie zdoła się dłużej opierać, zwłaszcza że od wczorajszego buntu nie dostała ani odrobiny pożywienia czy kropli wody.

Nie przypominał, że stało się tak, ponieważ nikt nie ośmielił się zejść na dół.

- Pójdę pierwszy - rzekł Lorenzo z mocą, by pokazać, że nie boi się ni diabła, ni trolli. - A wy za mną, wszyscy! Ty również! - władczo nakazał bratu zakonnemu, kasztelanowi.

Jako że Lorenzo w Zakonie Słońca znacznie przewyższał go rangą, kasztelan nie ośmielił się zaproponować.

Stanowczym krokiem, chcąc naprawdę odegnać złe duchy, ruszyli po schodach do lochu.

W lesie Móri wezwał swoich niewidzialnych towarzyszy.

Duchy pojawiły się natychmiast, jakby stały tuż obok i niecierpliwie przestępowały z nogi na nogę. Bardzo chciały pomóc.

Wszyscy w grupie Móriego mniej lub bardziej przywykli do widoku owych straszliwych istot. Niektórzy, co prawda, nigdy nie widzieli Nidhogga ani Zwierzęcia, i tak pewnie było dla nich lepiej. Mimo wszystko jednak parobcy i żołnierze uskoczyli na widok gromady, która nagle ich otoczyła.

- Nie musisz nam niczego wyjaśniać - prędko oznajmił Móriemu Nauczyciel. -
Przysłuchiwaliśmy się waszej rozmowie.

- To dobrze. W jaki sposób przedrzemy się do lochu?

Duchy chwilę szeptały między sobą.

W końcu znów zwróciły się do ludzi.

- Możecie spokojnie dostać się do zamku głównym wejściem, bez żadnego wahania. My zajmiemy się resztą.

- Dzięki! Ale... nie chcemy, by ktokolwiek przy tym ucierpiał.

- To najgłupsza z próśb, jakie usłyszeliśmy - odparł Nauczyciel, krzywo się przy tym uśmiechając. - Dwóch rycerzy Zakonu po prostu nie możemy skrzywdzić, bo noszą swoje znaki Słońca. A pozostali się nie liczą.

- Nie na tyle, by ich po prostu zabić - rzekł Móri ostrzegawczo.

- Zaufaj nam! - odparł Nauczyciel tonem tak beztróskim, że Móri wcale mu nie uwierzył.

Pragnął, aby Dolg został wraz z Nerem, końmi i osiołkiem, ale duchy nie chciały nawet o tym słyszeć.

- Dolg jest równie ważny jak my i w naszym planie odgrywa wielką rolę. Pies także

- dodał Nauczyciel. - Nigdy nie docenialiście miejsca Nera w waszym życiu.

- Ja zawsze potrafiłem go docenić - spokojnie wtrącił Dolg.

Nauczyciel obrócił się w stronę chłopca.

- To prawda. Tiril, twoja matka, także. Ale wy pozostali nigdy nie rozumieście roli psa. Nero zastępuje na ziemi Zwierzę i mógłby wam bardzo pomóc, gdybyście się tylko na to zgodzili.

Nero stanął wyprężony niczym saluki, chart perski, a z oczu pod krzaczastymi brwiami biła duma.

- Wiemy, że Nero jest dla nas niezwykle cenny - zaproponował Móri. - Wszyscy bardzo go lubimy i jeśli nawet czasami staraliśmy się trzymać go z daleka, to dlatego, że się o niego boimy.

- Dobrze, ale dzisiaj jest jego dzień. Prawda, Nero?

Pies przysunął się o kilka kroków, zamachał ogonem, gotów na wszystko.

- Trzymaj się blisko swojego młodego pana - przykazał Nauczyciel. - A oto nasz plan, jeśli macie ochotę go wysłuchać...

Brat Lorenzo, kasztelan i jego ludzie nie dotarli jeszcze do schodów prowadzących do lochów, a już musieli się zatrzymać.

- Cóż tam, do licha! - Lorenzo dotknął swojej twarzy. - Czyżby coś się działo z moimi oczami?

- Nie, naprawdę się ściemnia - stwierdził kasztelan. - Może to zaćmienie słońca?

- Nie słyszałem, by coś takiego miało nastąpić. Wszyscy tu są?

Rozległy się zaniepokojone głosy. Z kuchni dobiegały okrzyki przestrawu.

To pani powietrza zgromadziła nad zamkiem ciemne obłoki. Wilgotne deszczowe chmury otoczyły mężczyzn, gęste tak, że przestali widzieć wyraźnie. Natomiast coś usłyszeli. Kroki.

- Kto biega po hallu? - zawołał kasztelan. - Kto tu jest? Zatrzymać się! Odźwierni? Zostańcie na swoich miejscach!

Ale nikt mu nie odpowiedział. Od bramy dochodziły załęcznione i gniewne głosy, wołano o światło, padały przekleństwa, gdy ludzie obijali się jedni o drugich.

- Kto biegnie po schodach? - ostrym głosem wykrzyknął Lorenzo. - Zatrzymać ich, ktoś chce się dostać do lochu!

- Nie mogę znaleźć schodów! - poskarżył się któryś strażnik. - Gdzie ja jestem?

- Tu są schody, głupcze! - strofował go kasztelan. - Schodź na dół!

Słyszeli zniecierpliwione okrzyki Lorenza, który zdołał wreszcie zebrać swoich podwładnych i zbliżył się do schodów.

W tej samej chwili zalała ich niewidzialna fala, później wielu przysięgało, że woda chlusnęła im w twarz, wdarła się do gardła, omal ich nie dusząc. A przecież tutaj nigdzie nie było wody.

To oczywiście Woda wywołała tę iluzję posługując się napędzonymi przez Powietrze deszczowymi chmurami.

Mężczyźni, pokaszłując i plując, odstepili od schodów. Zorientowali się, że mroczna mgła rzednie. Przy bramie było już całkiem jasno.

Odwrócili się w tamtą stronę.

We wpadającym z zewnątrz blasku słońca, tworzącym aureolę wokół wchodzących, mężczyźni ujrzeli niedużego chłopca z psem. Zwierzę sięgało dziecku prawie do ramion.

Któryś z mężczyzn się przeżegnał, tak niesamowita wydała mu się ta scena. Aura słonecznego światła, olbrzymie niewinne oczy chłopca i strzegący go pies...

Było w nich coś niemal świętego.

Brat Lorenzo nareszcie odzyskał mowę.

- To syn czarnoksiężnika! Stwórz nie z tego świata!

Na te słowa strażnicy zareagowali jeszcze większym przerażeniem. Jeśli chłopiec jest nie z tego świata... Może to jeden z aniołów Pana? Przybył tu, aby przygotować ich na Dzień Sądu?

- W imię Jezusa Chrystusa, wyznaję swoje grzechy... - wymamrotał któryś.

- Zamknij gębę! - syknął Lorenzo. - To żaden święty! Przeciwnie!

Ruszył w stronę chłopca, ale zaraz przystanął, bo pies warknął ostrzegawczo.

Lorenzo, wciąż mając w pamięci wczorajszego potwora, zatrzymał się w pewnej odległości od dziecka.

- Proszę o wydanie mojej matki - powiedział Dolg jasnym głosem.

Lorenzo zaśmiał się drwiąco.

- Twojej matki? Tej więdźmy?

- To znaczy, że trzyma ją pan w zamku?

- Tego nie powiedziałem - prędko odparł Lorenzo. Zrozumiał, że się zdradził. -

Przychodzisz sam?

- Nie, Nero jest ze mną, mój najlepszy przyjaciel.

- Ten kundel? Masz doprawdy wspaniałych przyjaciół. A twój ojciec? Siedzi w domu, warzy czarodziejskie wywary i puścił syna aż tutaj?

Dolg nic na to nie odpowiedział.

- Wiem, że moja matka jest w tym lochu. Jeśli mi ją wydasz, panie, nic złego nie spotka ani ciebie, ani twoich przyjaciół.

- A niby cóż może nam się stać? - Lorenzo wybuchnął śmiechem, inni mu zawtórowali.

- Może wobec tego sam po nią pójde - z niezmaconym spokojem zaproponował Dolg.

- Tak sobie to wyobrażasz? - burknął Lorenzo. Na wielkiej odpychającej twarzy pojawił się wyraz przebiegłości. - Ale myślę, że nam się przydasz, chłopaku. Chyba popełniłeś największe głupstwo w życiu. Straż! Łapać go! Posłużymy się nim jako zakładnikiem, żeby wreszcie zmusić jego upartą matkę do mówienia. Krzyknął w stronę podwórza tak głośno, że głos echem odbił się od wysokich ścian:

- Odetnijcie chłopcu drogę! Nie pozwólcie mu uciec!

Strażnicy na dziedzińcu albo go nie słyszeli, albo też nie mogli ingerować. Zresztą takiego rozkazu wcześniej nie dostali, mieli jedynie nie dopuścić do ucieczki chłopca.

A Dolg wcale nie miał zamiaru uciekać. Stał, oświetlony od tyłu promieniami słońca.

Strażnicy przygotowali się, by zaatakować stojącego nieruchomo Dolga. Nero natychmiast wzmógł czujność. Obnażył zęby, warknął, prawie ryknął jak lew, gotów rzucić się na tego, kto pierwszy ośmieli się tknąć jego pana i przyjaciela. Strażnicy odruchowo się cofnęli.

- Bierzcie go! - wrzasnął Lorenzo, rozwścieczony takim tchórzostwem.

Któryś ze strażników wyciągnął pistolet.

Tego nie powinien był robić. Na oczach wszystkich zebranych rozegrało się coś niesamowitego.

Nero został przy Dolgu, by go chronić, ale jednocześnie skoczył do przodu. To jednak nie był on. Od psa oderwała się straszliwa bestia, którą widzieli już wczoraj, okaleczony potwór, ten sam, który podarł bratu Lorenzo ubranie.

Strażnicy uskoczyli w tył, niektórzy jak szaleńcy wrzeszczeli ze strachu.

Rozpierzchli się na wszystkie strony. Pobiegli na górę po schodach, ukryli się w kuchni bądź w komnatach.

Zwierzę, potworna, okaleczona, kulawa bestia, zniknęło.

W halki zostali jedynie brat Lorenzo i kasztelan. Wprawdzie nie potrafili ukryć strachu, jaki zapalił się w ich oczach, lecz stali z nieugiętym postanowieniem, że nie dadzą się pokonać takiemu smarkaczowi i jego upiornemu psu.

Co prawda pies znów przypominał raczej zwykłego kundla.

Chłopiec i pies stali jak przedtem, zalani potokiem słonecznego światła. Sprawiali wrażenie takich bezradnych...

Strażnicy zaczęli wyglądać z kątów i zakamarków, lecz wejść do hallu nie śmieli.

- Chłopcze, nam dwóm nic złego nie możesz uczynić! - oświadczył triumfalnie brat Lorenzo.

- Wy mnie także nie - z powagą odparł Dolg.

- Ha! Co też ty sobie wyobrażasz! Twój upiorny pies nie obroni cię przed nami.

Nas chroni magiczny amulet.

- Wiem o tym - powiedział Dolg spokojnie.

Lorenzo zmarszczył brwi, starając się wyglądać jeszcze groźniej.

- To dzięki zwierzę nie może się na nas rzucić. Jesteśmy nietykalni.

- Ja także.

- Nie wiesz, o czym mówisz. Zobacz!

Lorenzo pokazał swój znak Słońca, kasztelan poszedł w jego ślady. To musi sprawić, że dzieciak wreszcie zrozumie. Lorenzo wiedział bowiem, że wróg świadom jest, iż znak zapewnia bezpieczeństwo.

Podjął tym samym tonem wyższości, do którego się uciekał wobec chłopów i poddanych na swoich włościach w Genui.

- Poddaj się wreszcie i podejdź tutaj! Dobrze wiesz, że nie zdołasz przejść przez bramy!

- Nie wyjdę stąd bez mojej matki.

Taka głupota i upór, i brak szacunku wprawiły Lorenza w niepomiarłą irytację; zaczął działać bez zastanowienia. Nie dbał już o wzięcie zakładnika, miał tego wszystkiego dosyć! Wyciągnął z pochwy długi sztylet i z krzykiem cisnął nim w Dolga.

Lorenzo wiedział, że potrafi celnie rzucać, był zaprawiony w bojach. Nigdy nie chybiał. A w dodatku szczeniak przy drzwiach nawet nie drgnął.

Ciężki nóż przeleciał nad ramieniem chłopca i z niemądrym pobrzękiwaniem wbił się w ziemię na dziedzińcu.

Lorenzo nie wierzył własnym oczom. Niemożliwe, aby z tak bliskiej odległości nie wcelował.

Wrzasnął:

- Zobaczysz, ja...

Urwał. Kasztelan stuknął go w ramię, lecz Lorenzo nie potrzebował podpowiedzi. Sam to spostrzegł.

Dolg rozpiął kurtkę i rozsunął jej poły, odsłaniając czarny sweter. Widniał na nim znak Słońca, tak olbrzymi, że na piersi dziecka wydawał się wprost zbyt wielki.

Jaśniał magicznym blaskiem, który obaj mężczyźni widzieli tylko w jednym miejscu: tak samo lśnił prastary znak kardynała von Graben.

- Święta Matko Boża - szepnął kasztelan.

- Jeden ze starych! Nie sądziłem, że istnieje wie...

Lorenzo zamierzał spytać: "Gdzie go ukradłeś, chłopcze?", lecz równałoby się to przyznaniu do braku wiedzy, do słabości.

Uratował ich chrobot dobiegający z piwnic. Dolg, który otrzymał zadanie przetrzymania strażników i obu braci, miał nadzieję, że udało mu się to przeciągnąć dostatecznie długo.

- Zapomnijcie o tym szczeniaku i czworonożnej bestii - rozkazał Lorenzo. - Niech dalej stoją w drzwiach, i tak żywi stąd nie wyjdą. Ruszajcie do lochów zabić czarownicę. Nie jest nam już dłużej potrzebna!

Było to oczywiste kłamstwo, bo rycerze zakonni doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że nie posuną się ani o krok dalej w poszukiwaniu Świętego Słońca, nie poznając informacji posiadanych przez wrogów. Ale brat Lorenzo dość już miał całego zamieszania i postanowił pozbyć się tej kobiety. Powodowany ślepym gniewem chciał zabić.

Niech kardynał mówi sobie, co tylko chce.

Lorenzo przywykł uważać się za mądrzejszego od kardynała, nie był jednak w stanie bez końca zachowywać lodowatej wyższości.

Odwrócili się już tyłem do Dolga i Nera, gdy nagle usłyszeli głos chłopca:

- Przyjaciele! Chrońcie moją matkę!

Och, nie!

Istoty, których nie potrafiliby wyśnić w koszmarach snach, wypełzły z najmroczniejszych chyba zakątków świata cieni. Przeróżające zwierzę stanęło niczym zaporą przed chłopcem i jego psem. Błada, jakby rozciągnięta istota o szablach zębach i kozich oczach pilnowała schodów prowadzących do piwnicy. Sponad ramion strażników wyglądały ohydne zjawy o ludzkich postaciach, znalazły się wśród nich także dwie piękne kobiety, lecz i one zdawały się nie mieć ani odrobiny litości, a jakiś szlachetny z wyglądu, starszy mężczyzna własnoręcznie zajął się rycerzami

Najstraszniejsze jednak było wrażenie bezgranicznej pustki, nicości, bezsensowności i przemijania, jakie ogarnęło ich wszystkich.

Nigdzie nie mogli uciec. Zostali schwytani w pułapkę.

- Nam dwóm nie możecie wyrządzić krzywdy! - Lorenzo opryskliwym tonem zwrócił się do pilnującego go upióra.

- To prawda - odparł Hraundrangi - Móri. - Lecz możemy wam przeszkodzić.

Przypomnijcie sobie, co się stało z von Kaltenhelmem, jak grano nim w piłkę na polu. Niezłą wtedy mieliśmy zabawę.

Lorenzo prawie, ale tylko prawie, zapomniał języka w gębie:

- Straże! Zróbcie coś!

Ale ze strażnikami sprawa przedstawiała się jeszcze gorzej niż z rycerzami. Dwóch po prostu straciło przytomność, jeden ze strachu zmoczył spodnie, dwóch innych płakało histerycznie, czkając.

Lorenzo z nienawiścią patrzył na Dolga. Zdawał sobie sprawę, że został pokonany. Ani bowiem on, ani kasztelan nie byli już w pełni nietykalni. Oto znalazł się ktoś, kto posiadał o wiele większą moc niż oni, kto mógł zdecydować o ich życiu. Skąd wziął się ten znak...

Brat Lorenzo do reszty stracił panowanie nad sobą. Odwrócił się do Dolga i syknął:

- Przeklęty czarci pomioście!

- Nie - cicho odpowiedział Dolg. - Nie jestem czarcim pomiotem. Jestem tu, by oczyścić imię Świętego Słońca, które wy wszyscy z tego Zakonu skalaliście chciwością, egoizmem i okrucieństwem.

W chwili, gdy wypowiadał te słowa, zrozumiał, że taka właśnie jest prawda.

Rozdział 11

Stłumione kroki, jakie w mrocznej mgle usłyszał kasztelan, były oczywiście odgłosem stąpania Móriego i jego przyjaciół.

Aby odnaleźć drogę po ciemku, Móri, Theresa, Erling, dwaj parobcy i czterej żołnierze schwycili się za ręce i utworzyli długi łańcuch, na którego czele, trzymając za rękę syna, stanął Hraundrangi - Móri. Na palcach przemknęli przez zamkowy hali do lochów, omijając zgromadzonych tam ludzi. Na górze zostawili tylko Dolga z Nerem, Theresa lękała się o wnuka, lecz duchy ją uspokoiły.

Hraundrangi - Móri wrócił na górę.

W zamkowych podziemiach nie było mgły. Panował tu zwyczajny piwniczny półmrok, którego nie rozjaśniały dogasające pochodnie w korytarzach. Żołnierze zapalili nowe.

Na dole spotkał ich Nidhogg. Gwardziści nigdy jeszcze go nie widzieli i na jego widok jęknęli ze strachu, za to Bernd i Siegbert raz już mieli z nim styczność i

dzięki temu byli przynajmniej zahartowani. W każdym razie udawali, że tak właśnie jest. Oto ich prywatny triumf nad mężnymi wojakami cesarza...

Nidhogg wskazał im, gdzie przebywa Tiril, bez słowa też poprowadził do miejsca, w którym wartownicy wieszali klucz.

Nie mieli czasu do stracenia. Nidhogg niczym ulotny cień pomknął w górę po schodach, a Móri wsunął klucz w zamek. Dłonie mu drżały.

Nikt nie wiedział, co zobaczą, ale wszyscy zdążyli zajrzeć do położonej obok sali tortur, obawiali się więc najgorszego. Theresa szlochala wstrząśnięta widokiem potwornych narzędzi. Jakież mistrzostwo osiągnęli ludzie w dręczeniu innych!

Tiril usłyszała, jak nadchodzą. Drżała z zimna i wilgoci, zawsze panującej w celi, z głodu i bólu po ostatnich torturach. Sądziła, że to strażnicy, i wsunęła się dalej w kąt pod ścianę. Z każdym dniem, z każdym kolejnym seansem zadawania jej cierpienia i następującym po nim przesłuchaniu coraz trudniej przychodziło jej zachować godność, stawiać milczący opór. Była już teraz taka zmęczona, niemal u kresu sił. Przy życiu trzymała ją jedynie myśl o tych, którzy zostali w domu: o dzieciach, Theresie, jej matce, i o Nerze.

Inni wszak już nie żyli.

Wciąż nie mogła pojąć, w jaki sposób Nidhogg i Zwierzę zdołali poprzedniego dnia ukazać się jej prześladowcom.

Powinna pojąć, jak się sprawy mają, lecz udręczony mózg nie chciał pracować, a świadomość, że Móriego już nie ma, zamykała drogę wszelkim jaśniejszym myślom.

Otwarto drzwi. Tiril spięła się i usiłowała udawać obojętność. Nikt w jej oczach nie ujrzy strachu.

Ale... czyżby to nie strażnicy? Nie kasztelan ani brat Lorenzo?

Czyżby sprowadzili jeszcze okrutniejszych oprawców, by ją torturowali w bardziej wyszukany sposób?

Przybyli zatrzymali się w drzwiach, nie widziała ich, bo oczy po tak długim czasie przebywania w ciemnościach oślepyły w blasku pochodni.

Nieznosny ból pulsował w całym ciele, Tiril bała się nawet wytężyć wzrok, by uniknąć dotkliwszych cierpień.

Grobową ciszę przerwał rozszlochany kobiecy głos:

- Święta Matko Boża, zmiłuj się, cóż oni uczynili?

Tiril kątem oka dostrzegła, jak jakaś postać rzuciła się ku niej, ale nie miała sił, by się bronić. Lecz...

Czy ona nie zna tego człowieka? Porwał ją w ramiona, mocno przytulił do siebie.

Tiril pod jego dotykiem wydała z siebie niemal bezgłośny jęk, taki, jaki słyszy się tylko od tych, którzy przez długi czas doznawali cierpień ponad ludzką miarę.

Uścisk natychmiast zelżał.

- Na zmiłowanie, jak ty wyglądasz... - usłyszała głos Móriego. Aż za dobrze zdawała sobie sprawę ze swego wyglądu.

Móri wykrzykiwał, wstrząśnięty:

- W łachmanach, brudna, poraniona, lecz uparta! Ta nieszczęsna istota musi być moją żoną, choć przypomina raczej żebraczkę z najuboższej dzielnicy nędzy. I taka sponiewierana! Taka... taka...

Gniew i wzburzenie odebrały mu mowę.

- Czy jestem już w niebie? - Tiril ledwie zdołała poruszać obolałymi wargami. - Ty przecież już nie żyjesz, najdroższy. Erling... ciebie także już nie ma. Ale mama? Co ty tu robisz? Czy ty także...?

- Naprawdę uważasz, że to miejsce przypomina niebo? - zaszlochała Theresa. - Niewysokie masz więc mniemanie o Bożej dobroci. Ach, mój Boże, co oni zrobili mojej córce?

Usiłowała wziąć Tiril za rękę, lecz ona z jękiem się wzbraniała. W blasku pochodni dostrzegli, dlaczego: kilka palców jej połamano, a ramię wykręcono ze stawu.

- Nie umarłaś, Tiril - powiedział Erling niewyraźnie. - My także żyjemy, jakoś sobie poradziliśmy. Och, nie mam sił, by patrzeć na takie bezrozumne, podle okrucieństwo!

Odwrócił się, nie mogąc powstrzymać szlochania.

- Nauczycielu! - zawołał Móri z niesłychanym bólem w głosie, aż echo wstrząsnęło ścianami lochów, odbiło się od starych tarcz zawieszonych w sieni i podążyło do samej wieży. - Nauczycielu! Usuń stąd rycerzy i ich lokai - morderców, zanim zgładzę ich gołymi rękami za to, co ci nędznicy, niegodni, by nazywać ich ludźmi, uczynili mojej najdroższej Tiril!

Na górze duchy popędziły gromadę mężczyzn ku drzwiom do sali rycerskiej. Nie było to trudne, bo żywi pierzchali na ich widok z obrzydzeniem i strachem. Dwaj dawni czarnoksiężnicy, Nauczyciel i Hraundrangi - Móri, przypominali co prawda ludzi, pozostali to duchy przyrody lub też ucieleśnione symbole.

Rycerze zakonni poważyli się jedynie na słaby opór.

- On nie może wyrządzić krzywdy panu Lorenzo ani mnie - oświadczył kasztelan. - Jesteśmy nietykalni.

- On to Móri z rodu islandzkich czarnoksiężników - odparł Nauczyciel staroświeckim hiszpańskim. Jego charakterystyczna głowa i szerokie bary górowały nad wszystkimi. - Móri zna zaklęcia zaliczane do czarnej magii, tak potworne, że strach opisywać je słowami, nigdy się jednak nimi nie posługiwał, bo to dobry człowiek. Ale teraz kielich goryczy się przepełnił. Wiele zła może wam uczynić, uwierzcie mi. Choć nie może wyrządzić krzywdy fizycznej, pożałujecie, żeście się w ogóle urodzili! Trzymajcie się więc od niego z daleka!

- Nie będziesz nam rozkazywał - odparł kasztelan lodowatym głosem. - To mój zamek.

- I każdy kamień w jego ścianach się tego wstydzi - odrzekł z przekonaniem Nauczyciel. - A ponadto jeśli chłopiec, Dolg, dowie się, co uczyniliście jego matce, posiada siłę, by was zniszczyć, dobrze o tym wiecie. Nie tylko dlatego, że nosi znak Słońca po stokroć potężniejszy od waszego, lecz stoją za nim moce, wobec których powinniście żywić najgłębszy szacunek. Spójrzcie tylko na piękne panie, Powietrze i Wodę! To one przywołały iluzję mrocznej mgły i dławiącej fali.

Spójrzcie na Zwierzę, symbol cierpienia, jakie przez tysiące lat ludzie zadawali zwierzętom! Spójrzcie na Ducha Zgasłych Nadziei, pokazującego, w jaki sposób

ludzie postąpili z powierzonymi im darami! Na Nidhogga, dowód na to, jak ludzie zniszczyli fundament, na którym żyjemy, i co się z nim stanie jeszcze później. Wyczuwacie otaczającą nas Pustkę? To także symbol. Wszyscy oni, i my, dwa upiory z zamierzchłych czasów, stoimy za tym chłopcem, nadzieją nie tylko naszą, lecz całego świata.

Lorenzo i kasztelan usiłowali okazać pogardę, lecz była to tylko żalosna parodia pewności siebie.

Nauczyciel ciągnął nieubłaganie:

- A jeśli pies Nero zobaczy swą ukochaną panią, podczas gdy wciąż będziecie w pobliżu, na komendę swego młodego pana zerwie wam znaki Słońca z szyi, a potem rozszarpie was na strzępy. I wierzcie mi, jeśli tylko zajdzie taka potrzeba, Zwierzę bez wahania pospieszy mu z pomocą. Bo czy kiedykolwiek okazaliście łaskawość zwierzęciu?

Z twarzy obu braci dało się wyczytać, że usiłują przypomnieć sobie moment, kiedy okazali jakiemuś zwierzęciu życzliwość. Na próżno. Pamiętali jedynie własne myśli: "Zwierzę, cóż to takiego? Nie ma duszy, nie pójdzie do nieba".

Dumni rycerze mieli nigdy nie zapomnieć zgęstniałej nagle atmosfery w wysokim hallu. Targało nimi upokorzenie, lecz wobec przygniatającej przewagi nie mieli nic do powiedzenia. Najgorsze, że o tej przewadze decydował przede wszystkim stojący w drzwiach mały chłopiec, i to nie tylko za sprawą znaku Słońca i szafiru, lecz także siebie samego!

Lorenzo i kasztelan bez słowa pozwolili zapędzić się wraz z innymi do sali rycerskiej...

W lochu podjęto ostrożne próby podniesienia Tiril. Nie było czasu na sporządzenie noszy, wszyscy pragnęli wydostać się stąd jak najprędzej.

Tiril wreszcie zrozumiała, że to żywy Móri i równie żywy Erling są przy niej, i zapłakała z ulgą, lecz płacz sprawił jej niewypowiedziany ból. Próbowała go stłumić, co okazało się jeszcze bardziej bolesne.

- Nie zbliżajcie się do mnie zanadto - poprosiła. - Roi się na mnie od robactwa.

- Gdybyśmy nie mieli większych zmartwień - odparł Móri z czułością - bardzo byśmy się radowali. Niestety, jest inaczej. Ach, Boże, chyba już nigdy nie będę mógł się śmiać po tym, jak zobaczyłem takie barbarzyństwo!

Ułożyli wreszcie Tiril w jego ramionach tak, by nie odczuwała bólu, kiedy Móri będzie stawiać kroki. Tiril nie miała żadnych rzeczy do zabrania, mogli więc bezzwłocznie opuścić loch. Gdy dotarli już prawie do samych schodów, Tiril poprosiła, by się zatrzymali.

Przystanęli zdumieni.

- Niewygodnie ci? - spytał Móri.

- Nie, nie. Ale jest jeszcze jeden. Nie możemy go tak zostawić.

- Jeszcze jeden więzień?

- Tak. Jego cela musi się znajdować...

Próbowała wskazać, ale swobodne ramię było wykręcone ze stawu.

I bez tego jednak ją zrozumieli.

- Żołnierze! - poprosił Móri. - Uwolnijcie drugiego więźnia. Tiril, czy jest ich więcej?

- Nie, teraz nie.

Zgrzytnął klucz i kapitan otworzył sąsiednią celę.

- Kto to jest? - chciał wiedzieć Móri.

Tiril bała się odpowiedzieć wprost, postanowiła, że dopóki są na zamku, niczego nie zdradzi.

- Siedzi tu jakieś dwanaście, może piętnaście lat - wyjaśniła.

- Ach, mój Boże - przeraziła się Theresa.

- On się boi wyjść! - krzyknął jeden z żołnierzy. - Myśli, że jesteśmy wrogami.

- Wyjaśnijcie mu po niemiecku, że ja także jestem wolna - odkrzyknęła Tiril z wysiłkiem, sepleniąc przez opuchnięte od uderzeń wargi.

Po długiej chwili z lochu wyczołgała się żalosna istota. Mężczyzna nie miał na sobie ubrania, był kompletnie nagi, ale jeden z żołnierzy natychmiast okrył go wojskowym płaszczem. Siwe włosy i broda rosły nie strzyżone, nie mogli przez nie dostrzec rysów twarzy, całą skórę pokrywały strupy.

- Chodź - powiedział Erling, pod surowością kryjąc współczucie. - Mamy mało czasu.

Ale więzień nie mógł ustać na nogach, chwiał się tylko nieporadnie. Inny żołnierz wziął go na plecy.

- On nic nie waży! - zawołał zdumiony.

Nareszcie mogli wejść na schody.

Bracia zakonni obserwowali orszak wychodzących przez szparę w drzwiach.

- Kim jest ten drugi więzień? - szeptem spytał Lorenzo.

- Nie wiem - równie cicho odparł kasztelan. - Nie pamiętam, w lochach zawsze byli więźniowie. Trudno ich wszystkich spamiętać.

Móri zwrócił się do Nauczyciela:

- Czy zechcecie przetrzymać ich w zamknięciu jeszcze przez kilka godzin?

Musimy dotrzeć w bezpieczne miejsce.

- Zaufał nam - odrzekł Nauczyciel z uśmiechem. Sam był Hiszpanem, z pochodzenia Maurem, więc nie bez złośliwej radości w głosie zawołał do rycerzy Zakonu Świętego Słońca: - Zachowujcie się spokojnie, niewierne psy, inaczej ześlę na was waszego własnego Szatana!

Wybuchnął śmiechem. Nie wierzył w chrześcijańskiego Szatana, tak jak chrześcijański Bóg nie był jego bogiem.

Dolg z bolesnym zdumieniem patrzył na matkę, którą ojciec niósł w ramionach.

- Dolg - szepnęła Tiril. - Kochany, dzielny Dolg, i ty tu jesteś? Nie, Nero, nie skacz, nie mogę... Ach, mój drogi Nero, jak dobrze cię widzieć!

Pies natychmiast jej usłuchał.

- Chodźmy! - ponaglił Erling. - Opuśćmy to zamczysko grozy.

Strażnicy przy bramie także zostali obezwładnieni i przyjaciele mogli spokojnie ich minąć. Wędrowali szybkim krokiem do miejsca, gdzie nie mogli już być widziani z wioski ani zamku, i dopiero wtedy skręcili w las, do czekających na nich koni i osiołka. Dosiedli wierzchowców, dwoje oswobodzonych wzięto przed siebie na siodło.

Bez słowa ruszyli głębiej między drzewa, aż dojechali do małego jeziorka. Tam się zatrzymali.

Dzień wciąż był gorący, ciepłe promienie słońca padały na wilgotne podszycie leśne. Tiril i drugi więzień mogli wreszcie wziąć upragnioną kąpiel, przy pomocy innych wyszorowali się mydłem najdokładniej, jak się dało.

Kiedy się wytarli, Móri zajął się ich ranami. Na szczęście po długim zanurzeniu głów pod wodą pozbyli się robactwa, lecz rany wyglądały źle.

Obrażenia Tiril okazały się głębsze i bardziej poważne, chociaż rany mężczyzny jątrzyły się dłużej. Móri przy pomocy Dolga musiał się uciec do swych uzdrawiających zdolności, i tych mniej, i bardziej tajemnych. Dla Tiril, rzecz jasna, nie było to pierwszozną, lecz drugi więzień ze zdumieniem obserwował odmawianie śpiewnych zaklęć i wykonywanie niezwykłych gestów nad ranami.

- Dolgu - powiedział wreszcie Móri. - Zrobiłem już, co mogłem. Ale ręce twej matki... Palce i ramię. Z tym sobie nie poradzę.

- Rozumiem, ojczec. - Dolg wyjął kulę. Więzień jęknął ze zdumienia, aż Móri zaczął mu się badawczo przyglądać. Mężczyźnie ofiarowano ubranie, a Tiril suknię matki. Teraz oboje prezentowali się znacznie lepiej, tyle że obcy nie zgodził się na ostrzyżenie włosów ani na golenie. "Na razie jeszcze nie - powiedział. - Dopiero gdy znajdę się w naprawdę bezpiecznym miejscu".

Teraz jak zaczarowany wpatrywał się w kulę, którą Dolg trzymał nad drżącymi rękami matki. Na jego oczach zranienia się zamknęły i dłonie znów były gładkie.

Tiril podziękowała synkowi za przyniesienie ulgi w cierpieniach.

- Brat Lorenzo mówił o ogromnym szafirze - przypomniała sobie. - Nie mogłam pojąć, o co mu chodzi. Gdzie go znalazłeś, Dolgu? I co to za siła?

- Nie czas teraz na bliższe wyjaśnienia - krótko odparł Móri. - Ale to właśnie szafir wrócił mi życie.

Tiril odwróciła głowę do Erlinga.

- Tobie także?

- Nie - zaprzeczył Erling. - Mnie uratowały duchy Móriego, panie powietrza i wody.

- Rozumiem. Tak czy owak, jestem ogromnie wdzięczna za wszystko.

- Ja także - zawtórował jej więzień, nie odrywając oczu od szlachetnego kamienia. Dolg schował szafir z powrotem do torby.

- Kim pan właściwie jest? - spytał Móri.

Mężczyzna zwrócił pytający wzrok na Tiril. Kiwnęła głową i powiedziała:

- To Heinrich Reuss von Gera. Zakon o nim zapomniał, a przed wielu laty miał zostać stracony za zdradę.

Słowa Tiril wywołały wielkie poruszenie.

- Ależ, Tiril - uniósł się Erling. - Oszalałaś, nie możemy przecież...

Reuss podniósł rękę.

- Uwierzcie mi, wciąż pożądam Świętego Słońca, lecz Zakon przez resztę życia będę zwalczać ze wszystkich sił. Z mojej strony nie macie się czego obawiać. Przeciwnie. Pańska mądra żona dobrze o tym wie. Zaprzyjaźniliśmy się, chociaż dzielił nas gruby, zimny mur. Pamiętacie być może, że już wtedy, przed wielu laty, próbowałem uciec przed Zakonem? Dość miałem jego brutalności i nieludzko twardej reguł. Schwymano mnie jednak, skazano na śmierć za odstępstwo i zapomniano w lochu. Ani słowem nie chciałem się zdradzić, kim jestem. Przybycie pańskiej żony było dla mnie niczym przebłysk człowieczeństwa i zrozumienia. Wyjawiłem jej wiele tajemnic Zakonu Świętego Słońca.

Ponieważ milczeli niepewni, podjął, gestem wskazując na sakwę Dolga.

- Widzę jednak, że wy znacie ich jeszcze więcej.

- Owszem - przyznał Móri ostrożnie. Nie zapomniał, jak Heinrich Reuss i Georg Wetlev prześladowali Tiril jeszcze w Bergen. - Ale coś się tutaj nie zgadza. Kardynał nigdy nie słyszał o szafirze, nie słyszał też o nim nikt inny w Zakonie poza biskupem Engelbertem, nawet Tiril. Skąd więc pan...?

- To proste - odparł Reuss. W naznaczonej zmarszczkami twarzy oczy sprawiały wrażenie oczu starca, lecz spowodował to zapewne długotrwały pobyt w więzieniu. - Habsburgowie wiedzieli o trzech olbrzymich kamieniach, niebieskim, czerwonym i złocistym - samym Słońcu. Ale pani, księżno Thereso, orientuje się,

że wiedza o nich poszła u Habsburgów w zapomnienie, w każdym razie o czerwonym kamieniu i niebieskim.

- Zgadza się - spokojnie odpowiedziała Theresa.

- Wiedza na temat trzech kamieni łączyła się ze znajomością trzech części klucza do Tiersteingram. Jak pamiętacie, stary hrabia podzielił klucz pomiędzy swych trzech synów, jednocześnie usłyszeli oni o kamieniach, opisanych jedynie w księdze o kamieniu Ordogno. To wielka tajemnica, która nie miała być przekazana dalej.

- No tak, to da się zrozumieć - rzekła księżna. - Ale w jaki sposób pan posiadał tę wiedzę?

- Popatrzmy w przeszłość: Jedna część klucza wraz z wiedzą o trzech kamieniach oraz z niezwykle ważną księgą o kamieniu Ordogno przeszła z ojca na syna, który osiadł w Tiersteingram.

- Owszem - zgodził się Móri. - I ród zakończył się na tym synu, prawda?

- Drugą część klucza wraz z informacją o kamieniach otrzymał Rudolf, graf Tierstein, który poślubił Itę z Habsburga. W ten sposób w jego posiadanie wszedł ród Habsburgów.

- A trzeci?

- Z czasem odziedziczył go ród Wetlevow. A ja mieszkałem z Georgiern Wetlevem w Christianii, Bergen i innych miejscach.

- Wszystko więc panu opowiedział?

- To było nieuniknione. Ale zachowałem milczenie wobec Zakonu Świętego Słońca, podobnie jak wcześniej Georg. Ród Wetlevow już wymarł i nikt poza wami i mną nie wie już o kamieniach.

- Biskup Engelbert doniósł o tym kardynałowi - oznajmił z ponurą miną Móri. - Słyszał o nich w dzieciństwie, kiedy gościł w Hofburgu, lecz zapomniał o całej sprawie.

- Szkoda, że tak się stało - westchnął z żalem Heinrich Reuss.

- Cóż, i tak by się wydało - na pociechę stwierdził Móri. - Sługusy kardynała widzieli, jak Dolg posługiwał się kamieniem. Wówczas jednak nie zdawali sobie sprawy, że szafir jest ściśle powiązany ze Świętym Słońcem. Przez chwilę rozważali to w myślach.

- A czerwony kamień? - spytał Reuss..

- Nic o nim nie wiemy... na razie - rzekł Móri.

- Nigdy nie wspominałeś przy mnie o kamieniach, Heinrichu? - zdziwiła się Tiril.

- Szczerze mówiąc, wcale o nich nie myślałem - odparł oswobodzony więzień. - Były tylko legendą, częścią rodowej opowieści.

- Podobnie jak u nas, Habsburgów - pokiwała głową Theresa. - Wierzę panu.

- Ogromnie mnie zdziwił widok niebieskiej kuli w rękach chłopca - powiedział Heinrich Reuss. - Przypomniała mi się legenda i zrozumiałem, że to jeden z kamieni. Szafir, prawda?

- Tak - z radością przyznał Dolg. - Posiada ogromną moc. Wyłącznie dobrą.

- Nie przypuszczałem, że istnieją tak olbrzymie kamienie szlachetne. - Reuss uśmiechnął się ze smutkiem. - Jak sądzę, nie ma sensu pytanie, czy mogę go odkupić. Szafir należy do chłopca, prawda? Tylko i wyłącznie do niego? Wszyscy to potwierdzili.

- Zauważyłem, że stanowią jakby jedność. Ale dokąd on was zaprowadzi?

- Donikąd. Na razie - odparł Erling. - Musimy być cierpliwi. Być może pewnego dnia coś się wydarzy. Ale to pytanie nasuwa mi na myśl inne: dokąd pojedziemy teraz?

- Oczywiście do Theresenhof - odrzekła natychmiast Theresa.

- Nie bezpośrednio - zaprotestował Móri. - Zamkną przed nami wszystkie prowadzące tam drogi, dlatego musimy wyruszyć w kierunku, w którym najmniej się nas spodziewają: na południowy zachód.

- Och! - jęknął Heinrich Reuss. - Prosto w paszczę lwa?

- Taki był nasz pierwotny zamiar. Cień przykazał, abyśmy dalej posuwali się tą drogą. Sądzę, że należy go słuchać. W dodatku to najbardziej praktyczne

rozwiązanie, ponieważ jesteśmy już tak blisko twierdzy Zakonu i najwyraźniej kamienia Ordogno!

- Znajdujemy się w pobliżu? - wybałuszył oczy Heinrich Reuss. - Doprawdy wiecie więcej niż Zakon Świętego Słońca! Szukali go rozpaczliwie przez setki lat.

Wszelkie informacje o nim przepadły wraz z Tiersteingram, którego także nigdy nie udało im się odszukać.

- Wiemy o tym - rzekł Móri ponuro. Dobrze pamiętał, jak duchy pomogły mu się przenieść do nie istniejącego już Tiersteingram, a on wszystko popsuł, próbując otworzyć księgę o kamieniu Ordogno.

Chociaż wtedy nic jeszcze nie wiedzieli o Ordogno, kamieniu, ani że to takie istotne.

- Zastanawiam się nad jednym - wtrącił Erling. - A jeśli kamień Ordogno to ten czerwony kamień, taki jak niebieska kula Dolga?

- Ja także już o tym myślałem. Nie rozumiem w takim razie, jak mógłby nas doprowadzić do starego zakonu?

Na razie zrezygnowali z dalszych rozważań.

Tiril, wyciągnięta na ziemi przy Mórim, rozkoszowała się przyjemnym chłodem trawy, połyskującą wodą i lekkim wietrzykiem owiewającym policzki. Poprosiła, by opowiedziano jej o przygodach Dolga i o tym, w jaki sposób zdobył niebieski kamień.

- Cień mi pomógł - oznajmił po prostu chłopiec.

- Zaczekaj - przerwał mu Erling. - Czy powinniśmy mówić aż tyle w...

- W mojej obecności? - dopowiedział Heinrich Reuss. - O tym sami musicie zdecydować. Ja w żadnych okolicznościach nie chcę zbliżyć się do bastionu Zakonu Świętego Słońca. Pragnę jedynie wrócić do domu, do Gera, ukryć się tam i zapomnieć o wszystkim, co ma związek z tym przeklętym Zakonem.

- Nie obchodzi cię więc także opowieść Dolga? - spytała Tiril, która w ponurym zamkowym lochu przeszła z Reussem na ty.

- Owszem - odrzekł z uśmiechem. - Bardzo chętnie jej wysłucham, bo wprawdzie nienawidzę Zakonu, ale zdobycie Świętego Słońca wciąż pozostaje moim pragnieniem. Później mogę wam pomóc, w czym tylko sobie życzyście, ale nie proście, bym zapuszczał się dalej w głąb Hiszpanii!

Popatrzyli po sobie. Erling od każdego po kolei odbierał zgodę, od Móriego, Tiril, księżnej, czterech żołnierzy i obu parobków. Wszyscy jednogłośnie zdecydowali, że powinni okazać wielkoduszność człowiekowi, który cierpiał tak długo.

- A więc, Heinrichu - Erling uśmiechnął się szeroko. - Witaj wśród nas. Ufamy ci.

- Dziękuję wam - odparł wzruszony. - Wiem, że wiele krzywd wam wyrządziłem.

Tiril, Erlingowi, Móriemu i księżnej. Ale to było dawno temu i przez wiele samotnych nocy w krypcie, jak nazywałem loch, gorzko tego żałowałem. Wy natomiast nie pożałujecie okazanego mi zaufania.

Dolg mógł wreszcie opowiedzieć o swoich przygodach, o odnalezieniu szafiru i o tym, jak mu pomógł Cień.

- Ach, tak, Cień! - ucieszyła się Tiril. - To dobrze!

Zamyśliła się jednak, słysząc o podobnych do syna istotach i o tym, że Cień wywodził się z tego samego rodu.

Żołnierze i parobcy także słuchali z zainteresowaniem. Fragmenty historii poznali już wcześniej, teraz usłyszeli ją w całości. Wszyscy obejrzeliby symbole na odwrocie znaku Słońca, lecz nikt wcześniej nigdy ich nie widział.

Oprócz, jak się okazało, Heinricha Reussa.

- Widnieją nad ołtarzem w bastionie Zakonu. Identyczne jak te tutaj. Sądzę jednak, że to po prostu któryś z wielkich mistrzów skopiował je ze znaku Słońca, nie mając pojęcia, co znaczą.

- To dość prawdopodobne - przyznał Erling. - Oni sprawiają wrażenie, że błądzą w mroku.

- I to jeszcze jak! - przyznał Reuss. - W porównaniu z wami nie wiedzą nic.

- No, coś wiedzieć muszą, inaczej nie walczyliby tak zaciekle - uśmiechnął się Móri.

Reuss spoważniał.

- Oczywiście. Wiedzą, o co w tym wszystkim chodzi. Ale oni znają tylko cel, podczas gdy wy - prawie całą prowadzącą do niego drogę.

Popatrzyli na siebie. Zapadał wieczór, ale nad leśnym jeziorkiem wciąż było ciepło. Za nim wznosiły się najwyższe partie Pirenejów, pokryte śniegiem, strome i niedostępne niczym długi, ostry jak brzytwa grzebień, rozdzielający hiszpańskie prowincje, Nawarrę i Aragonię.

Wiedzieli, że są teraz w Nawarze. Odpowiadało im to, ponieważ zmierzali dalej na zachód.

Erling wciągnął głęboki oddech i głośno wypowiedział to, o czym wszyscy myśleli.

- Co wy na to, abyśmy posłuchali teraz o celu działań Zakonu? O tym, dlaczego idą po trupach, byle go osiągnąć? Dlaczego przez kolejne pokolenia garstka ludzi usiłuje odnaleźć Święte Słońce?

Rozdział 12

Theresa ostrzegawczo podniosła rękę do góry.

- Zanim poruszymy tak poważne kwestie, powinniśmy rozważyć coś równie istotnego.

- Dobrze, mów dalej, Thereso - poprosił Móri.

- Czy to rozsądne ciągnąć Tiril jeszcze dalej od domu? Po tak niebezpiecznych drogach?

- Myślałem o tym samym - kiwnął głową Móri. - To prawdziwy dylemat.

- Ja sama bardzo bym już chciała zająć się naszymi nowymi dziećmi - podjęła Theresa. - Przekonać się, czy dobrze się im wiedzie w Theresenhof. Dolg także powinien już wracać do domu.

- Nowe dzieci? - ze zdumieniem powtórzyła Tiril.

- Ach, ty jeszcze o nich nie słyszałaś! Po drodze tutaj na pewnym dworze znaleźliśmy dwoje, łagodnie mówiących, zaniedbanych, no cóż, maltretowanych dzieci. Nazywają się Rafael i Danielle i naprawdę można je pokochać. Erling i ja postanowiliśmy się nimi zaopiekować.

Tiril przeniosła pytające spojrzenie z Theresy na Erlinga.

- Twoja matka i ja zamierzamy się pobrać - wyjaśnił. - Gdy tylko cesarz zezwoli na ślub.

- To ci dopiero! - zdumiała się Tiril. Przez moment wyglądała na kompletnie oszołomioną, ale zaraz rozjaśniła się w uśmiechu. - Gratuluję obojgu! Naprawdę niezwykle rozsądny pomysł!

- No cóż, rozsądek... - ciepło uśmiechnął się Erling. - Przede wszystkim zadecydowały uczucia.

Księżna Theresa pochyliła głowę, uśmiechając się wstydliwie.

Bernd tłumaczył niezbornie:

- Ja także powinienem się już zbierać do domu, obiecałem to jakby panie Edith. Ona jest trochę postrzelona, jeszcze nie zechce na mnie czekać!

- Jeśli nie będzie czekać, to znaczy, że nie jest cię warta - zauważył Siegbert.

- My mamy jeszcze tydzień urlopu - przypomniał kapitan. - Ledwie starczy czasu na powrotną podróż.

- Kto więc opuszcza tonący statek? - zafrasował się Móri. - Heinrich Reuss, Tiril, Theresa i Erling, Dolg, Bernd i żołnierze. Wychodzi na to, że zostaniemy we dwóch, Siegbercie.

- Jeszcze Nero i ja - wtrącił Dolg. - Nie mamy zamiaru wracać.

- Bardzo chciałabym jechać z tobą, Móri - westchnęła Tiril. - Ale chyba nie mam na to siły.

- Rozumiem, najmilsza. Została z ciebie tylko skóra i kości.

- Wszyscy byśmy chętnie pojechali, Móri - powiedział Erling. - Ale, jak słyszysz, mamy obowiązki.

- Rozumiem.

Zapadła przykra cisza.

Móri wreszcie otrząsnął się z zamyślenia.

- Jak już mówiliśmy, rycerze Zakonu i ich ludzie odetną nam wszelkie możliwe drogi na północ i na wschód. Nie wolno wam więc próbować przepłynąć się do

domu najkrótszą drogą. Posłuchajcie, co wymyśliłem! Znajdujemy się teraz w Nawarze. Pojedziemy jeszcze kawałek na zachód, a później ja, wraz z tymi, którzy zechcą mi towarzyszyć, udamy się do bastionu rycerzy Zakonu. Heinrich Reuss przekaże mi informacje, gdzie go szukać i jak tam dotrzeć...

- To szaleństwo! - jęknął Reuss. - Nie możecie tam jechać!

Móri udawał, że go nie słyszy.

- Wy pozostali przeprawicie się na zachodnie wybrzeże Francji wzdłuż Zatoki Baskijskiej do Bordeaux. Znajdziecie się wówczas prawie na tej samej wysokości co Szwajcaria i Austria. Z Bordeaux możecie na pewno bezpiecznie wyruszyć wprost na wschód.

- Czy dużo nadłożymy drogi? - dopytywała się Theresa.

Móri zawahał się.

- Trochę. Nieznacznie. Lepiej chyba podróżować bezpiecznie, prawda? Ja chętnie zatrzymałbym Willy'ego. On zna hiszpański, ja nie.

Kapitan musiał się nad tym poważnie zastanowić, wreszcie jednak wyraził zgodę.

- Przypuszczam, że Jego Cesarska Mość życzyłby sobie, abyście rozprawili się z tymi rycerzami.

- Dziękuję. Cieszę się też, że będziecie eskortować moją żonę i teściową. Chętnie natomiast zabrałbym Dolga.

- I Nera - szybko podpowiedział chłopiec.

- Oczywiście. Nera także. Jesteście przecież nierozłączni.

Tiril i Theresa zgodziły się w końcu, aby Dolg towarzyszył ojcu.

- A co z osiołkiem? - zaniepokoił się chłopiec.

- O nic lepszego nie mogłem się dla nas postarać - zapewnił chłopca kapitan. -

Może teraz służyć jako zwierzę juczne i tym samym przybędzie dodatkowy koń pod wierzch.

- Ale z kim on pójdzie? Z nami czy z wami?

- Z nami - zdecydował kapitan. - Nam jest bardziej potrzebny, zresztą osobiście gwarantuję, że dotrze do Theresenhof, nie zaznając krzywdy.

- Dobrze - uspokoił się chłopiec.

- Teraz więc Heinrich Reuss nareszcie może nam opowiedzieć o Świętym Słońcu

- stwierdził Erling.

- Zaraz, zaraz - powstrzymał go niemiecki szlachcic powracający z krętych ścieżek na uczciwą drogę. - Właściwie uważam, że Tiril opowie o tym znacznie lepiej niż ja, wie przecież tyle samo. A wy macie zamiar wyruszyć dalej na południowy zachód, czego ja z całego serca pragnę uniknąć. Sądzę więc, że powinniśmy rozstać się tu i teraz. Chciałbym natychmiast wyruszyć na północ!

- Nie słyszałeś, co mówił Móri? - przypomniała mu Tiril. - Od razu cię złapią.

- Nie z tymi włosami i brodą.

- Owszem, właśnie widząc zapuszczone włosy i długą brodę w jednej chwili rozumieją, że jesteś skazańcem - zaprotestował Erling. - 'Pozwól nam się przynajmniej ostrzyć i ogolić, żebyś wyglądał godnie!

Reuss dał się w końcu przekonać.

Podczas gdy Erling strzygł niedawnego więźnia, on sam i Tiril opowiadali.

- Tiril wspominała, że znacie baśń o morzu, które nie istnieje. Nie jest to tylko legenda, wszystko zdarzyło się kiedyś naprawdę, ale ponieważ nie jest wam obca, nie będę tracić czasu na jej opowiadanie. Dawno temu jednak istniały trzy kamienie: niebieski, czerwony i Żłociste Słońce. Ten ostatni był masywną złotą kulą pokaźnych rozmiarów...

- Czy to o niego tak zabiegają? - spytał któryś z żołnierzy z rozczarowaniem w głosie. - Ze względu na wartość złota?

- Nie, z pewnością nie dla złota. Podobno kula posiadała bardzo szczególne właściwości. Osoba, która ją miała, mogła przezwyciężyć śmierć.

Patrzyli na niego z niedowierzaniem, ciągnął więc:

- Nie należy tego rozumieć tak, że obdarza swych właścicieli życiem wiecznym. Po prostu przechodzili oni w inny stan.

Theresa poczuła się urażona.

- Ależ to przecież nic nowego! Wszyscy, którzy umierają, idą do nieba, o tym wiemy.
- Tu wcale nie chodzi o to - zaproponował Heinrich Reuss. - Oni nie stają się aniołami czy duchami, są jak żywi ludzie, konkretni, namacalni, jeśli sobie tego życzą. Mogą też przybrać bardziej eteryczną postać.
- Brzmi to bardzo zawile - stwierdził Siegbert.
- Nie - zaprzeczył zamyślony Dolg. - Wszystko się zgadza. Ja ich widziałem. Strażniczka pilnująca szafiru była rzeczywista, ale kiedy padły na nią promienie wysłane przez kamień, zniknęła. Podobnie stało się ze wszystkimi małymi ognikami. Zmaterializowały się, a potem po prostu zniknęły. I Cień...
- Właśnie, Cień - podchwycił kapitan. - Czasami wydawał się bardzo ludzki, kiedy indziej wyglądał jak zjawa, a czasami po prostu się rozpływał.
- Ale kim oni są?
- Mam pewną teorię - wyznał Reuss. - Jest wprawdzie bardzo świeża, bo dopiero teraz usłyszałem niesamowitą opowieść Dolga. Pamiętacie legendę? Na brzegu mieli ze sobą Święte Słońce. Chyba oddali mu hołd, a potem zniknęli. Rozpłynęli się.
- Wrócili z powrotem do gwiazd - wtrąciła Theresa.
- Tego nigdy nie byłem pewien - stwierdził Móri. - Coś mi się tutaj nie zgadza. Sądzę, że nie wyruszyli do gwiazd.
- A dokąd? - spytała Tiril.
- Móri z żalem wzruszył ramionami.
- Niestety nie wiem.
- Ale legenda jest prawdziwa - powiedziała Tiril. - Potwierdza to niebieski kamień Dolga.
- Heinrich Reuss ciągnął:
- Według opowiadania Dolga, które moim zdaniem jest ogromnie interesujące, bo wypełnia wiele luk, zostawili niebieski kamień gdzieś po drodze i wyznaczyli kobietę, aby go strzegła...

- To prawda - przyznał Móri. - Ale jak się do tego mają maleńkie błędne ogniki Dolga?

Reuss popatrzył na nich przebiegle.

- Zapomnieliście, że jeden mężczyzna został na brzegu? Nie chciał opuszczać Ziemi, ukrył się. I spłodził potomstwo z ziemskimi kobietami z jakiegoś prymitywnego plemienia, niemal małpami...

- Z lemurami? - wykrzyknął Dolg.

- Tego nie wiem - odparł Heinrich Reuss. - Kwestia lemurów jest dla mnie całkiem nowa. Nie, sądzę, że potomstwo owego wojownika z dawnej baśni miało to już we krwi. Mogli przejść do innej formy życia, ale tu, na Ziemi, czuli się opuszczeni. To właśnie ich spotkałeś, Dolgu.

Chłopiec patrzył jakby nieobecny wzrokiem.

- Tęskniły. Tęskniły tak gorzko, zarówno one, jak i Strażniczka, i Cień... I gorąco dziękowały mi za to, że pokazałem im kamień, wręcz chłonęły jego promienie.

Dlatego były na bagnach! U Strażniczki, żywej krewniaczki.

Móri kiwnął głową i dokończył:

- Powiedziały ci jednak, że cel wciąż nie został osiągnięty, prawda, Dolgu?

- Tak, i że być może jeszcze kiedyś się spotkamy. Jeśli właściwie wykonam spoczywające na mnie zadanie. Życzyły sobie tego.

Tiril westchnęła:

- Mam nadzieję, że zdążysz przynajmniej dorosnąć, kochany synku! Dla dwunastolatka wyprawianie się na takie przygody może być bardzo niebezpieczne, serce matki ściska się na samą myśl!

- Do tej pory świetnie sobie radził - przypomniał Erling. - Ma potężnych przyjaciół!

- Owszem, szczególnie Cienia - przyznał kapitan. - Ale kim on właściwie jest?

Nikt nie odpowiedział, wielu jednak myślało o tym samym.

Cień nie miał w sobie pomieszanej krwi jak inni, których spotkał Dolg.

Myślą powędrowali dalej:

Jedną wyznaczono, aby została na Ziemi: Strażniczkę. Inny został dobrowolnie. Umarł, lecz dla kogoś z jego rasy nie oznaczało to ostatecznej śmierci.

Zakończył żywot targany tęsknotą i głębokim żalem.

U kresu życia usiłował odnaleźć morze, które nie istnieje. Brzeg, na którym wszyscy pozostali z jego rasy wkroczyli prawdopodobnie w nieznaną wymiar. On, samotny, pragnął odnaleźć Święte Słońce, wiedział bowiem, że zostało na brzegu. Ale brzegu nad morzem nie odnalazł nigdy.

Nie znalazł go, choć szukał od tak wielu, bardzo wielu lat.

Dlatego stworzył ludzkie dziecko, odpowiadające jego pragnieniom, żywego, rzeczywistego człowieka, który mógłby mu pomóc osiągnąć cel: Dolga.

Ostatnim wojownikiem, który nie chciał opuszczać Ziemi, był Cień.

Rozdział 13

- Ale wobec tego on musi być nieprawdopodobnie stary! - wykrzyknął Dolg.

- Owszem - przyznał Erling. - I w tej sytuacji poszukiwanie starego zakonu w czasach rzymskich na nic się nie zda.

- Musicie znacznie bardziej cofnąć się w czasie - zamyśliła się Tiril. - Jak daleko...

Chyba nawet nie ośmielimy się zgadywać.

Dolg podniósł się wołając:

- Cieniu! Cieniu, przyjdź!

Jego głos odbił się echem gdzieś od skalnej ściany. Czekali. Las trwał w milczeniu.

Ale Cień się nie ukazał. Jakby nagle ogłuchł na wszelkie wołania.

Heinrich Reuss wstał. Z podciętą brodą i przystrzyżonymi do odpowiedniej długości włosami wyglądał teraz porządniej, ale widać było, jak bardzo jest wychudzony.

- Cóż, bez względu na wszystko teraz was opuszczę. Pozostałe informacje usłyszycie od Tiril. Późno się zrobiło, a chciałbym przed zapadnięciem nocy być już daleko stąd. Do Gera w Saksonii długa droga.

Móri pokręcił głową nad takim uporem, ale zrezygnował już z dalszego przekonywania Reussa.

Nie mieli konia, którego mogliby mu ofiarować, bo przybyła przecież Tiril i juczny koń był im teraz bardzo potrzebny. Theresa podarowała więc Reussowi kilka luidorów, aby mógł kupić wierzchowca, gdy tylko przybędzie do Francji. Dostał też trochę jedzenia na pierwszy dzień, zresztą nie potrzebował go wiele, odwykł od obfitych posiłków.

Heinrich Reuss obiecał, że odwdzieczy się za jej wielkoduszność, gdy tylko będzie miał ku temu sposobność. Później każdemu z osobna dziękował za ocalenie, a szczególnie długo trzymał w uścisku Tiril.

- Będzie mi brakowało naszych rozmów, przyjaciółko.

- Mnie także - odparła wzruszona.

- Wyglądasz inaczej, niż przypuszczałem.

Tiril zaśmiała się nerwowo.

- Nigdy nie byłam piękną, a teraz nie śmiem nawet spojrzeć w lustro.

- Piękną? Móri miał naprawdę wiele szczęścia, że mógł cię poślubić.

- Tak jest w istocie - przyznał Móri z powagą.

Jak większość kobiet, Tiril troszeczkę rozczarowała taka pochwała. My, kobiety, jesteśmy na tyle niemądre, że najbardziej lubimy słuchać komplementów o swojej urodzie, nawet jeśli wiemy, że wcale nie jesteśmy takie brzydkie, pomyślała.

Ale podziękowała Reussowi za miłe słowa.

Na pożegnanie jeszcze raz mocno go uściskała. Dzielili wszak tyle strachu, bólu i wątplenia.

Reuss pomachał ręką i odszedł.

Przejechali jeszcze kawałek na południe, aż ujrzeli dolinę, w której rozciągały się pola uprawne i stały wiejskie chaty. Na wzgórzu, przy skraju lasu, rozbili obóz na noc. Z ludźmi na razie bali się stykać.

Tiril przytuliła się do Móriego, aby jak najpełniej poczuć bijące od niego ciepło. Tyle czasu upłynęło od chwili, gdy ostatni raz czuła jego bliskość, oplakiwała też jego śmierć... A teraz była wolna, i to razem z prawdziwym, żywym Mórim.

Miała wrażenie, że to niemal zbyt wielkie szczęście. Bała się nim w pełni rozkoszować, nie chciała myśleć, uświadamiać sobie prawdy. Osłabione ciało mogło nie znieść takiej radości.

Móri starał się traktować żonę z jak największą delikatnością. Nie przyszło mu nawet do głowy, by się do niej zbliżyć, wiedział, że Tiril nie ma na to sił. Tulił tylko do siebie wychudłe ciało, w którym można było policzyć wszystkie żebra, kości ostro zaznaczały się pod skórą.

- Czy wam nie dawano nic do jedzenia? - spytał wzburzony.

- Coś tam dostawaliśmy, ale było tak ciemno, że nie widziałam, co mi rzucają, a czasem jedzenie śmierdziało i nie śmiałam go podnieść do ust. Zdarzało się też, że po nim chorowałam, i wtedy przez kilka dni nic nie jadłam. Nikt do mnie nie zaglądał, mogłam tam umrzeć.

Móri westchnął z bezsilności. Lepiej rozmawiać o czym innym, ogarniał go taki gniew, kiedy słyszał, jak traktowano Tiril.

- Powinniśmy byli przybyć wcześniej - rzekł ze smutkiem. - Najpierw jednak musieli uratować mnie, przeprawa Dolga przez bagniska też trochę trwała, a i odważne poczynania Theresy, mające na celu zdobycie informacji o miejscu twego pobytu, również zabrały nieco czasu.

- Najdroższy, przecież ja to rozumiem!

- I jeszcze po drodze mieliśmy dwa postoje. Jeden żeby uratować te dzieci, a drugi w Aix - en - Provence, żeby Dolg mógł dostać swój znak Słońca.

Przypuszczam, że bardzo mu się przyda.

- Na to wygląda. Móri, jestem taka dumna z naszego najstarszego syna, a zarazem tak się o niego niepokoję.

- Ja także. Przekonałem się jednak, że możemy być dumni także z młodszych dzieci. W Virneburg dokonały prawdziwie bohaterskiego czynu.

- Pięknie - uśmiechnęła się Tiril. - Czy o nich także trzeba się niepokoić?
- Niestety, obawiam się, że tak - westchnął Móri. - Zwłaszcza o Taran. Ona potrafi wpaść w prawdziwe tarapaty, mimo że stara się postępować jak najlepiej. Villemann sprawia wrażenie chyba... bardziej dojrzałego.
- Ja bym powiedziała, że bardziej dziecinnego, naiwnego.
- Pewnie masz rację. Taran jest bardziej spontaniczna i ciekawa świata. To może być niebezpieczne.
- Musimy ją chronić przed światem.
- Owszem.

Tiril mocniej przytuliła się do męża.

- Mamy wspaniałe dzieci.
- Najwspanialsze. I fantastycznego psa.
- O, tak, to prawda!

Nero przysunął się bliżej pleców Móriego.

- Tiril, dokąd my właściwie jedziemy?
- Chodzi ci o to, gdzie leży bastion Zakonu?
- Tak.
- W Burgos.

Móri podniósł rękę, jakby chciał lepiej widzieć Tiril w gęstej ciemności.

- Burgos? A co to jest?
- Miasto w północnej Hiszpanii, w dawnej prowincji Kastylija i Leon. Teraz nazywa się już tylko Kastylija.
- Leon - mruknął Móri.
- Nazwa pochodzi stąd, że kiedyś stacjonował tam legion rzymski.

Móri kiwnął głową.

- Ordogno Zły z Leon.
- Tak. Byli także dawni wielcy mistrzowie z Kastylii, na przykład Pedro Okrutny, chyba pamiętasz.

- Tak. - Móri nie przerywał własnego toku myślenia: - Cień mówił, że kamień Ordogno podobno jest gdzieś w tamtym kierunku.

- Powiedział gdzie?

- Tak. W miłym miejscu Deobrigula. Wydaje się jednak, że nikt nie słyszał takiej nazwy.

Teraz Tiril wsparła się na łokciu.

- Ależ, kochany... jaka jestem niemądra! Reuss nie wiedział, co to jest Deobrigula. A przecież ja to widziałam! Na starej mapie w hallu, kiedy kasztelan chciał mi się przyjrzeć. Byłam wtedy tak przerażona, że nie zastanawiałam się nad tym, co widzę, ale teraz sobie przypominam. Mapa przedstawiała Hiszpanię za czasów rzymskich.

- I co to takiego Deobrigula?

- Tak Rzymianie nazywali Burgos.

Z Móriego jakby nagle uszło całe powietrze.

- I rycerze zakonni o tym nie wiedzą? Nie wiedzą, że kamień Ordogno przez cały czas znajdował się pod ich nosem? W ich twierdzy?

- Najwyraźniej tak właśnie jest. Szukają go wszak od stuleci. Później, po Rzymianach, do Hiszpanii "wkroczyli Wizygoci i oni nazwali miasto Burgos, czyli twierdza, tyle mi powiedział Reuss. Być może wtedy miasto było jeszcze tylko twierdzą, ale o tym nic nie wiem.

Móri zastanowił się chwilę. Nawinął na dłoń pasemko włosów żony. Mieć ją znów przy sobie... Nieprawdopodobne! Przecież owego straszego dnia na skale Graben wydawało się to niemożliwe. Wciąż trudno mu było uwierzyć, że to prawda, że ona jest tutaj, że są razem!

Wrócił do wcześniejszej rozmowy.

- Czy Burgos leży daleko stąd?

- Nie jest to droga nie do przebycia. Bardzo chciałabym jechać z tobą!

- Ja także! Niestety, jesteś za słaba. Nawet szafir Dolga nie przywróci ci ciała na kościach. Jesteś całkiem wycieńczona.

- Rzeczywiście - przyznała. - Bardzo tęsknię za domem. Chciałabym leżeć między czystymi, chłodnymi prześcieradłami i spać, tylko spać. I jeść wspańiałe przysmaki z Theresenhof. I patrzeć na swoje dzieci. Uważaj na Dolga - tok myśli Tiril nagle się zmienił, lecz nietrudno było go prześledzić.

- Możesz mi zaufać.

Kiedy wszyscy już zasnęli, Móri czuwał. Granatowe, aksamitne niebo rozjaśniło się tysiącem gwiazd i zawisło nad nimi niczym ciepły dach.

Długo szeptali z Tiril, tyle mieli sobie do powiedzenia o końcu pasma lęku i tęsknoty. Tiril mówiła o tym, czego dowiedziała się od Heinricha Reussa.

Właściwie powinna wstrzymać się z tym do rana, ale nie mogła dłużej czekać.

Móri tak wiele chciał wiedzieć.

Później po prostu leżeli w milczeniu, rozkoszując się wzajemną bliskością, aż wreszcie oddech Tiril wyrównał się i pogłębił, kiedy zasnęła.

Ale Móri nie mógł spać. Jeszcze nie.

Wyruszali teraz na poszukiwanie kamienia Ordogno, musieli bowiem cofnąć się w przeszłość. Zakon Świętego Słońca i jego obecni członkowie interesowali ich już teraz mniej. Gromada napuszonych starców, pomyślał Móri gniewnie, ale zaraz się zreflektował. Rycerze wciąż byli niebezpieczni w swym dążeniu do odnalezienia Słońca.

Móri jednak liczył na to, że znajdzie coś interesującego nawet w tajemnej siedzibie zakonnych braci.

Heinrich Reuss von Gera ruszył ku granicy między Hiszpanią a Francją. Orszak, wybierający tak okreźną drogę aż do Bordeaux, postępował z przesadną ostrożnością. On nie miał czasu na takie nadkładanie drogi, pragnął wracać do domu zaraz, jak najprędzej, nie marnując ani jednej chwili!

Ach, wspańiała wolność! Cudownie czyste powietrze nocy! Gotów był iść nieprzerwanie, bez snu, aż do samego Gera w Saksonii.

Czuł, rzecz jasna, że nie jest już tak silny jak dawniej. Lata więzienia odcisnęły swój ślad. Z początku poganiała go siła woli, a ona potrafi zaprowadzić człowieka

naprawdę daleko. Teraz jednak nogi zaczęły mu odmawiać posłuszeństwa, serce waliło mocno. Oddychał z trudem, nieprawdopodobny wprost upór wyczerpał jego ciało do reszty.

Musiał przysiąc, a w końcu położyć się płasko na ziemi.

Skraj drogi był twardy i kamienisty, a żółtawoczerwoną ziemię porastały osty.

Reuss ułożył się wygodniej.

Ktoś się zbliżał!

Reuss usiadł i odpelzł dalej od drogi. Ukrył się za krzakami.

Dwaj jeźdźcy.

Doszły go urywki rozmowy:

- ...idiotyzm tak się włóczyć. Lepiej byłoby siedzieć w domu.

- Co oni sobie wyobrażają? Że ich odnajdziemy w środku nocy?

- Oczywiście, że ich znajdziemy, nie ma co do tego wątpliwości. Całe wzgórze jest otoczone, posłano wieści do granicy i dalej. Nie dotrą do Austrii, ba, nie przedostaną się nawet do Francji.

- Jak, do diabła, zdołali uciec z tych lochów? Podobno jeden siedział tam od czternastu lat.

- Pewnie już go zabiło świeże powietrze. Łatwo go będzie poznać, musi wyglądać jak jaskiniowiec!

Wybuchnęli śmiechem, wkrótce ich głosy ucichły.

Heinricha Reussa ogarnęła panika.

Na co on się poważyl?

Jak mógł zachować się tak nierozumnie? Dlaczego nie usłuchał dobrych rad?

Jakby nie znał fanatycznej mściwości Zakonu Słońca!

Podniósł wzrok na niebo, z położenia gwiazd usiłował wyczytać kierunek.

Nie mogli dotrzeć daleko, mieli co prawda konie, ale on wyruszył w swą szaleńczą podróż na długo przed nimi.

Którędy szedł? Do jeziora jakoś uda mu się dotrzeć, a potem...

Będzie musiał iść po śladach koni.

Gdyby tylko nie te ciemności!

Jacyż oni byli życzliwi! I przeciwko takim ludziom występował, prześladował ich, usiłował zabić!

Heinrich Reuss załkał głucho.

Przez całą noc szukał. Gdy miał trochę więcej sił, biegł na chwiejnych nogach, i znów odpoczywał. Nie błądził, bo wiedział, dokąd zmierzają i czego ma wypatrywać.

Nad ranem, kiedy zaczynało już świtać, odnalazł wreszcie obóz. Wyczerpany, wybuchnął zdyszany, bolesnym płaczem niewypowiedzianej ulgi. Przyjęli go życzliwie, bez wyrzutów i wypominań. Przespał dwie godziny ciężkim, niemal przypominającym śmierć snem, w poczuciu, że jest bezpieczny wśród przyjaciół, snem, w którym nie ma miejsca na koszmary o tym, że strażnicy wchodzą do celi i oznajmniają, że oswobodzenie tylko mu się przyśniło.

Po prostu spał.

Tego dnia się rozstali.

Większa grupa, w której między innymi znalazł się Heinrich Reuss, wyruszyła na zachód, by później zawrócić na północ i przeprowić się przez przełęcz w ośnieżonych Pirenejach do granicy francuskiej. Erling i Theresa podróżowali na jednym koniu, wierzchowca bowiem odstąpili Reussowi do czasu, kiedy kupi własnego.

Mniejsza grupa podążyła na południowy zachód, ku równinom i dolinom Kastylii. Kraina ta wzięła nazwę od licznych zamków i kaszteli, lecz podróżnicy na razie jeszcze niewiele ich spotkali. Widzieli natomiast, że ludzie w tej rzadko zaludnionej krainie mieszkają w lepiankach albo w grotach wydrążonych w żółtej miękkiej skale, by chronić się przed palącym żarem lata i surowymi chłodami zimy.

Móri i jego towarzysze nie posuwali się drogami, tego się bali, znajdowali się przecież w kraju Zakonu Świętego Słońca. Wprawdzie Tiril mówiła, że bracia spotykają się w Burgos dwukrotnie w ciągu roku i kolejne spotkanie przypadło

dopiero za jakiś czas - miała wówczas stanąć przed sądem - ale nigdy nie wiadomo, lepiej zachować ostrożność. Wędrowali bocznymi ścieżkami, byle tylko posuwać się we właściwym kierunku. Jedynie czasami Willy wyprawiał się do ludzi, by wypytać o drogę do Burgos, ale na razie wszystko szło jak najlepiej, nie napotkali żadnego śladu braci zakonnych ani ich podwładnych.

Żaden z rycerzy nie przypuszczał zapewne, że Móri i jego towarzysze mogą być na tyle głupi, by wyruszyć na południowy zachód. Wszyscy przypuszczali, że jak najprędzej wrócą z ocaloną Tiril do domu, do Austrii.

Grupka składała się z Móriego, Dolga, Willy'ego, Siegberta i Nera. Nie mieli dodatkowego jucznego konia, chcieli podróżować najskromniej jak się da. Poza tym w ogóle przecież cierpieli na niedostatek koni.

- Nero musi mieć już chyba obolałe łapy - zauważył Willy.

- O dziwo, raczej nie - odparł Móri. - Wydaje się, że on wszystko zniesie.

- Otrzyma pomoc - spokojnie powiedział Dolg.

Nikt tego nie skomentował, bo wszyscy wiedzieli, że Nero zajmuje szczególne miejsce w sercach duchów Móriego, a zwłaszcza Zwierzęcia.

Wszyscy także zwrócili uwagę, jak świetnie, pomimo codziennej morderczej wędrówki, radzą sobie konie. Tylko podmokłe okolice Camargue naprawdę je udręczyły.

Móri tęsknił za Tiril. Bardzo chciał być teraz z nią. Wiedział jednak, że ukochana jest bezpieczna, a nieodwiedzenie przez niego Burgos, kiedy znalazł się już tak blisko, byłoby ogromną stratą.

Erling Müller przekonał się na własnej skórze, jak trudno jest podejmować ważne decyzje. Nie chciał opuszczać przyjaciela w potrzebie, lecz Móri, który dobrze rozumiał, jak gorąco Erling pragnie być z Theresa, wrócić do domu do Theresenhof, poprosić cesarza o jej rękę i zająć się dwójką ich nowych dzieci, niemal wypchnął go w powrotną podróż. Erling uśmiechał się smutno, ale z wdzięcznością.

Móriemu brakowało teraz starego przyjaciela. Kapitan gwardii cesarskiej także odjechał, cała odpowiedzialność spoczywała więc na Mórim. Ciężyła mu, lecz nie na tyle, by nie mógł jej udźwignąć.

Tiril spodziewała się, że grupa Móriego powróci do domu zaledwie tydzień po nich. Nie sądziła, by mogło to potrwać dłużej.

Wszystko jednak zależało od tego, czy podróż przebiegnie bez komplikacji. No i do Burgos było dalej, niż przypuszczała...

Rozdział 14

Wszyscy czterej ubrali się skromnie, by niepotrzebnie nie wzbudzać zainteresowania. Willy nawet oddał kolegom swój barwny mundur gwardii cesarskiej. Teraz wyglądał jak prawdziwy Hiszpan.

Dotarli na miejsce.

Siedzieli nieruchomo na koniach ze wzrokiem utkwionym w największą i najokazalszą bramę miasta, jaką kiedykolwiek zdarzyło im się widzieć.

- Arco de Santa Maria - oznajmił Willy, który wcześniej dowiedział się tego od ludzi. - Posągi na ścianie przedstawiają między innymi Cyda. On urodził się właśnie tutaj, w Burgos.

- Nie wiedziałem o tym - przyznał Móri. - W ogóle żałośnie mało wiem o Hiszpanii. Siegbert przyglądał się lukrowatym sklepieniom bramy i otaczającym je wieżom, ogromnym rzeźbom sięgającym kilku pięter w górę, i z wrażenia prawie odebrało mu mowę.

- Jezus, Maria - szepnął. - Można by postawić jeden na drugim kilka

Theresenhofów, a i tak nie sięgnęłyby szczytu! Co za brama!

- Tak, w przeszłości nie poprzestawano na małym - stwierdził Móri nie bez goryczy. - Ale rzeczywiście imponujące! Nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Przejechali przez Arco de Santa Maria przytłoczeni ogromem budowli. Za nią czekało ich kolejne zaskoczenie.

- Spójrzcie na tę katedrę! - zachłysnął się Dolg. - Wielka jak cała wioska i jeszcze wyższa niż bramy! I te okna! Witraże! Szkoda, że nie ma z nami babci, umarłaby ze szczęścia!

- Może lepiej, że jej nie ma - uśmiechnął się Móri. - Spędziłaby w środku cały dzień!

- I nie mogłaby dotrzeć do wyjścia! - dodał Dolg ze śmiechem.

Obaj bardzo kochali Theresę, dlatego też mogli sobie pozwolić na żarty z jej słabości, robili to wszak z życzliwością dla tej osoby o wielkim sercu.

Przyglądali się ogromnym budowlom.

- W istocie jest to gotyckie miasto. A mnie się wydawało, że Burgos to zwyczajne maleńkie miasteczko.

Willy dobrze nauczył się lekcji, zresztą dopiero przed chwilą wysłuchał wykładu.

- W pierwszym wieku naszej ery Burgos było stolicą pierwszej prowincji, późniejszego królestwa Kastylii, a katedra zalicza się do najwspanialszych na świecie. Powiedzieli mi o tym tuż pod miastem. Ta kraina nazywa się zresztą Stara Kastylia, Nowa Kastylia położona jest bardziej na południe.

- Brawo, Willy! - pochwalił żołnierza Móri. - Co byśmy zrobili bez ciebie?

Willy odwrócił się, by ukryć uśmiech dumy. Wyrazy uznania z ust samego Móriego były naprawdę czymś szczególnym dla wszystkich z jego otoczenia, zarówno tutaj, jak i w Theresenhof, i wszędzie indziej. Być może dlatego, że na jego twarzy tak często gościł wyraz surowości lub ponieważ umiał o wiele więcej niż inni.

Kilka godzin zajęło im znalezienie noclegu, posilenie się i ułożenie planu działania. W sali jadalnej gospody, w której się zatrzymali, trwało właśnie wesele, musieli więc zasiaść w ogrodzie przy kamiennym stole, w niczym jednak im to nie przeszkadzało, gdyż wieczór był cudownie ciepły, w trawie cykały świerszcze.

Znów posmakowali hiszpańskiego wina, które wszystkim, z wyjątkiem rzecz jasna Dolga, przypadło do gustu. Młode Hiszpanki przyniosły jedzenie, te same dania, które serwowano weselnikom, mieli więc prawdziwą ucztę.

Na drzewach zawieszono latarnie, Nero bezwstydnie żebrał o smaczne kąski u stóp Dolga, a w sali jadalnej rozpoczęły się śpiewy i tańce. Przemily, nastrojowy wieczór!

Móri rozłożył na stole szkic planu miasta i twierdzy. Dyskutowali, co należy zrobić, dokąd iść, i złościli się na Heinricha Reussa, który nie potrafił im dokładniej opisać, w jaki sposób można zejść do wielkiej sali zakonu rycerskiego. Nie było to jednak winą Reussa. Z bastionem Zakonu łączyło się ogromnie wiele tajemnic. Sami bracia wiedzieli zdumiewająco mało, znajomość tajemnic zarezerwowana była dla wielkiego mistrza i jego najbardziej zaufanych ludzi. Obecnie byli nimi kardynał von Graben, brat Lorenzo i usunięty biskup Engelbert.

Dolg czymś się niepokoił. Móri wyczuł to, sam zresztą był trochę podekscytowany, nie mógł jednak zrozumieć przyczyny.

- Uważasz, że porywamy się na coś bardzo niebezpiecznego, Dolgu? - spytał cicho.

- Nie wiem, ojcze. Ty także to wyczuwasz, prawda?

- Rzeczywiście. Ale nie potrafię powiedzieć, co to jest.

Postanowili do świtu odłożyć wyprawę do starej twierdzy, którą obrali sobie za siedzibę członkowie zakonu. Twierdza leżała na skale, roztaczał się z niej widok na miasto. Podjęli taką decyzję, ponieważ chcieli najpierw odpocząć, a poza tym o wybranej przez nich porze kręciło się najmniej ludzi. Najwcześniejsza godzina dnia, szarówka, wilcza godzina, zawsze była najlepszą porą dla przedsięwzięć, które chciano zachować w sekrecie.

Móri zbudził ich, zanim koguty w mieście zaczęły pisać, na niebie jeszcze blade świeciły gwiazdy i tylko jaśniejsza smuga nad horyzontem zwiastowała nowy dzień.

Szli na palcach przez uśpione miasto, a mimo to ich kroki odbijały się od ścian. Dolg spoglądał na ojca i oczy lśniły mu z napięcia. Nikt tak jak on nie potrafił wczuć się w nastrój.

Dobrze, że memu synowi dane jest to przeżyć, poznać Południe i ludzi o całkiem innej niż austriacka kulturze, pomyślał Móri.

Choć tak właśnie uważał, to marzył przecież, by pokazać swoim dzieciom Islandię i Norwegię. Móri nigdy naprawdę nie zapuścił korzeni w Austrii.

Owszem, polubił ten kraj i jego wesołych mieszkańców, lecz nordycka melancholia i jałowe wrzosowiska bardziej odpowiadały jego usposobieniu.

Przeklinał Zakon Słońca, uniemożliwiający im wyjazd do północnych krajów. Tyle lat upłynęło, Tiril i on robili się coraz starsi, wprawdzie do starości jeszcze im daleko, ale kiedy wreszcie zdołają się uwolnić od prześladowań rycerzy?

Dolg także nie czuł się w Austrii jak w domu, Tiril, choć nie narzekała, wielokrotnie marzyła o wyjeździe na północ. Taran natomiast zaaklimatyzowała się świetnie, ale jak się sprawa przedstawia z Villemannem - Móri nie wiedział. Chłopiec często pytał o Islandię i Norwegię, nigdy jednak nie wyraził życzenia, by się tam osiedlić.

- Nie, Willy, zatrzymaj się, źle idziesz - Móri zwrócił się cicho do towarzysza. -

Heinrich Reuss dokładnie mi opisał właściwą drogę.

Dolg przystanął. Skalę, na której wznosiła się twierdza, mieli tuż przed sobą, wystarczyło tylko piąć się w górę.

- Co się stało, Dolgu?

Chłopiec wyglądał na bardzo zmartwionego.

- Już niewiele lat...

- O czym ty mówisz?

- Widziałem, jak coś się dzieje. Z tą twierdzą przed nami.

Odwrócił się.

- Miasto! Ono niszczeje! Twierdza rozsypuje się w gruzy.

- Moim zdaniem już i tak wygląda na bardzo zniszczoną - zauważył Móri.

Dolg przetarł oczy.

- Wizja już się skończyła. Minęła tak szybko. Może się pomyliłem?

- Nie wydaje mi się. - Móri bacznie przyglądał się synkowi. - Chcesz powiedzieć, że to piękne Burgos zniknie?

- Nie, nie całkiem. Zostanie katedra, ta wielka brama. Nie wszystko legnie w gruzach, ale wiele z tego co piękne zginie na zawsze. Cały zamek!

Pokręcił głową i dał znak, by szli dalej.

Dolg miał rację. W roku 1808 miasto zostało częściowo zniszczone przez Francuzów, a później w 1813 przez wielką armię Wellingtona podczas jego przemarszu przez Hiszpanię. Za swe dokonania na Półwyspie Pirenejskim Wellington otrzymał tytuł książęcy i okrył się sławą...

Umiejętność patrzenia w przyszłość nie jest godna zazdrości. Nie pierwszy raz Dolg miał wizje, których wolałby uniknąć.

Wydarzenia, które ujrzał, miały nastąpić dopiero za osiemdziesiąt lat, lecz on o tym nie wiedział. Po prostu odczuł dotkliwy ból na widok zniszczonych dzieł architektury.

Z pewnym wahaniem Móri prowadził ich pod górę na skałę. Wysłuchanie opisu jakiegoś miejsca jest zupełnie czym innym niż zobaczenie go na własne oczy. Człowiek tworzy sobie pewien obraz, a rzeczywistość okazuje się całkiem odmienna.

Twierdza rozciągała się na o wiele większym obszarze niż się spodziewał. Zajmowała całą skałę, a kiedyś być może zstępowała ku miastu? Takie to sprawiało wrażenie, jakby jej starsze części leżały kiedyś jeszcze niżej.

Co takiego mówili Heinrich Reuss i Tiril?

Wspominali o Wizygotach, czyli Gotach Zachodnich, którzy nadali miastu nazwę, Burgos. Ale jako założyciela Burgos podawano Gonzalo Nuneza, żyjącego w końcu IX wieku.

To się nie zgadzało, Wizygoci przybyli tu już w VI wieku. A przed nimi... Przed nimi Rzymianie nazwali twierdzę Deobrigula; leżała tam, aby chronić rzymską kolonię w północnej Hiszpanii. Burgos znajdowało się w strategicznym punkcie, skąd wiodły szlaki do siedzib Basków, Swebów i innych ludów.

Reuss wspomniał także, że w tym miejscu stał kiedyś klasztor.

Rzymianie. Wizygoci. Ród Nufio. Mnisi. Wszyscy tworzyli wielkie budowle. Ale w tym samym miejscu?

Olbrzymią bramę, Arco de Santa Maria, wybudowano później, w czasach katolicyzmu, ale i ona stanowiła część umocnień, chociaż położona była poniżej, w mieście.

Jak się do tego miał Ordogno Zły z X wieku? Pochodził wszak z Leon, wcale nie Kastylii. Dlaczego miałby ukryć swój kamień tutaj, w sąsiednim królestwie?

Wszystko wydawało się takie zagmatwane. Móri nie mógł się w tym połapać.

Którędy powinni teraz iść? Doszli już na górę, ale obszar okazał się ogromny. Móri nie bardzo chciał się przyznać, lecz pogubił się w opisie Heinricha Reussa.

Poranny wiaterek lekko rozwiewał im włosy. Powoli dniało, lecz poranek wciąż jeszcze był dość mroczny.

Zobaczyli przechadzającego się niedaleko człowieka, pewnie starego pasterza, choć stada koło niego nie dostrzegli. Być może był już za stary, przekazał gospodarstwo synowi, ale zatrzymał płaszcz pasterski, bo tak znakomicie chronił przed chłodem.

- Willy - poprosił Móri. - Będziesz teraz pełnić rolę tłumacza. Muszę o coś spytać tego człowieka.

Willy kiwnął głową, a stary uprzejmie ich pozdrowił. Móri zadawał pytania; zapamiętał pewne fragmenty z opisu drogi przedstawionego przez Reussa i właśnie o nie pytał.

Wyjaśnienia Reussa nie na wiele się zdały. Opowiadał on, że bracia zakonni zbierali się na skale, na której położona była twierdza. Opisał nawet to miejsce Móriemu, lecz nic więcej nie potrafił powiedzieć, gdyż stąd rycerzy Świętego Słońca zabierali brat Lorenzo lub biskup Engelbert. Zawiązywano im oczy i dopiero wtedy przewodnik sprowadzał ich do wnętrza. Często szło ich kilku jednocześnie; musieli trzymać się za ręce i w dość upokarzający sposób maszerować gęsiego po nieznanymi ścieżkach. Z pewnością wszyscy bracia, tak jak Heinrich Reuss, usiłowali stwierdzić, którą wiedzie droga, ale zawsze

prowadzono ich, przynajmniej na pierwszym jej odcinku, różnymi trasami. Szli korytarzami we wnętrzu twierdzy, czasami po schodach w górę, a potem w dół, bywało, że wychodzili na zewnątrz, później znów wracali do środka. Ale ostatnia część drogi zawsze była taka sama. Wiodła w dół, cały czas w dół wytartymi kamiennymi schodami, wilgotnymi korytarzami, w których woda skapywała z sufitu, a dźwięki odbijały się od ścian. Zatrzymywali się wreszcie przed masywnymi drewnianymi drzwiami i dopiero za nimi zdejmowano im opaski z oczu.

Móri wypytywał Reussa, czy nikt nie próbował podglądać po drodze.

Owszem, podobno przed wieloma laty poważał się na to jeden z braci. Zginął święty na miejscu, tam gdzie stał.

Od tej pory nikt tego nie ryzykował.

A ci dwaj, znający drogę? Musieli puchnąć z dumy, zwłaszcza biskup Engelbert. Lorenzo z natury był napuszony i arogancki, niezwykle pompatyczny we wszystkim, co go dotyczyło.

Reuss odparł, że Wielki Mistrz zawsze miał dwóch zaufanych, wybranych przez siebie ludzi. On sam, naturalnie, dobrze znał drogę, nigdy nie przybywał wraz z innymi, czekał już na nich na dole.

Tak oto docierało się do bastionu Świętego Słońca.

Błąd, pomyślał Móri. To bastion Zakonu Świętego Słońca.

Bo sama złocista kula z pewnością nie miała nic wspólnego z tym wyniosłym zgromadzeniem.

Zadał pasterzowi kolejne pytanie.

Krypty twierdzy? Owszem, zejście do nich znajdowało się za ruinami po wschodniej stronie. Klasztor? Nie, klasztor jest w mieście, zresztą niejeden - wyjaśnił stary.

No tak, powiedział w duchu Móri. Spytał, czy cytadela, kasztel, warownia, twierdza, albo jak zwać ten obszar, pokrywała kiedyś całe miasto Burgos.

Nie, nie całe, ale rzeczywiście teren twierdzy rozciągał się jeszcze spory kawałek w dół na wschodnim zboczu góry. Oczywiście było to dawno temu. Tamten zamek, na przykład, którego wieże było widać, stanowił niegdyś część twierdzy. Tak, tak, ten w pobliżu monumentalnej bramy.

Dolg szepnął:

- Widziałem, że kiedyś w przyszłości zostanie całkowicie zniszczony.

Móri kiwnął głową. Zadał jeszcze kilka pytań dotyczących najdawniejszej historii miasta, bo informacje nie bardzo mu się zgadzały.

Pasterz potwierdził mniej więcej opis przekazany przez Reussa, ale dodał dwie ważne wiadomości: oprócz tego, że miasto było stolicą królów kastylijskich, od roku 1075 mieściła się tu także siedziba arcybiskupa. Potwierdziło się więc prawdopodobieństwo istnienia w tym miejscu klasztoru. Druga informacja okazała się znacznie bardziej interesująca: wnuczka Gonzalo Nuneza, Urraca, poślubiła Ordogno Złego z Leon!

Istniało więc jakieś powiązanie. Bardzo prawdopodobne zatem, że Ordogno przebywał w Burgos. Może nie chciał swego niezwykłego kamienia chować we własnej stolicy? Bo przecież Ordogno był pierwszym w nowym zakonie. Może uznał twierdzę, z jej licznymi zamkami, zbudowanymi jeden na drugim, za lepsze miejsce dla zebrań Zakonu. Ostatni został wzniesiony przez dziada jego żony, Ordogno musiał znać każdy jego zakamarek.

Cząstki układanki powoli zaczynały się dopasowywać.

Podziękowali staruszkowi za udzieloną pomoc i na koniec spytali, czy przychodzi tu wielu ludzi.

Nie, wcale nie, twierdzy nie odwiedza nikt poza stacjonującymi tu żołnierzami, oni jednak raczej trzymają się bliżej koszar nie opodal.

Doskonale, powiedzieli sobie w duchu. Będziemy mogli szukać w spokoju.

Rozstali się ze staruszką.

Żołnierze o tej godzinie pomiędzy nocą a dniem zdawali się spać. Móri i jego przyjaciele szybko odnaleźli ruiny na wschodnim zboczu. Poniżej na tym samym

zboczu stała katedra, zamek i wiele innych olbrzymich budowli. Było to niezwykle uczucie, z góry patrzeć na okazałą katedrę, nie mogli jednak zbyt długo podziwiać widoku.

- Heinrich Reuss mówił, że zbierali się przy kaplicy grobowej. W pobliżu starej cysterny na wodę. Pójdziemy tam, gdzie wskazał nam pasterz, zobaczymy - zaproponował Móri.

Odnaleźli starą cysternę, sprawiającą wrażenie nie używanej od wielu lat. Wejście do kaplicy grobowej znaleźli także, trafili więc we właściwe miejsce. Od tej pory jednak było trudniej.

- Reuss opowiadał, że w pobliżu jest kilka wejść do głównych budynków twierdzy, ale nie wiedział, którym ich prowadzono.

- Przypuszczam, że przez kryptę - podsunął Siegbert, który już od poprzedniego wieczoru próbował się przyzwyczaić do tej myśli.

- Nie, właśnie nie, to akurat Heinrich Reuss podkreślał. Do krypty prowadzą bowiem ciężkie drzwi, aż dudni, kiedy się je otwiera, natomiast te, przez które oni szli, poruszały się bardzo lekko i cicho.

- Dzięki Bogu - Siegbert odetchnął z ulgą, a Móri nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

Rozejrzeli się dokoła. Reuss miał rację: istniały co najmniej cztery pary możliwych drzwi, prowadzące do dwóch położonych w pobliżu budynków.

- Wyglądają na stare, opuszczone budowle, których dzisiaj nikt już nie używa - stwierdził Móri.

- Tylko w wypadku wojny - podpowiedział Willy, który sam był wszak żołnierzem. - Są wyposażone w otwory strzelnicze ł blanki, co wskazuje na czasy dawno minione i... nie tak bardzo stare.

- Chcesz powiedzieć, że ten zespół budynków to łatanina?

- O, tak! Znać tu ślady wielu epok, jedno na drugim.

- Dobrze - kiwnął głową Móri. - Możemy więc stopniowo odrzucać wierzchnie warstwy i posuwać się ku rdzeniowi. Tam z pewnością odnajdziemy wielką salę, o której mówił Reuss.

Wszyscy, dość niepewni, rozmyślali o tym samym: twierdzą wybudowano na skale, w jaki więc sposób można dostać się do jej jądra?

Faktem było, że powstawały tu kolejne warownie. Najbardziej prawdopodobne jednak wydawało się przypuszczenie, że pierwsza twierdza legła w gruzach i w tym samym miejscu postawiono nową. Nie dobudowywano chyba kolejnych pięter? W takim razie coraz starsze fragmenty znajdowałyby się coraz głębiej w skale. A skała sprawiała wrażenie bardzo solidnej. Czy naprawdę pod domami, które teraz widzieli, znajdowały się niższe poziomy?

Wszyscy mieli co do tego wątpliwości.

Móri westchnął:

- Musimy zaczynać. Które drzwi wybieramy?

Ruszył w stronę jednych, ale syn go powstrzymał.

- Ojciec... mam pewien pomysł. Stwierdziliśmy, że te budynki sprawiają wrażenie nie używanych, od dawna nikt tu nie przychodzi.

- No tak, ale do czego zmierzasz?

- Ludzie zostawiają ślady, zapachy, których my nie wyczuwamy, wyczuwają je natomiast psy.

Móri popatrzył na Dolga z zainteresowaniem.

- Masz na myśli Nera? Uważasz, że nie powinniśmy podchodzić do drzwi ani ich dotykać, zanim Nero ich nie powącha? Nie sprawdzi, czy wcześniej byli tu ludzie?

- Właśnie.

- Dobrze, ale jak go o to spytasz? - trzeźwo zauważył Móri. - Jak poprosisz, żeby sprawdził, którędy chodzili ludzie? Nie mamy żadnej pary niewymownych należących do jego eminencji kardynała ani też używanej chusteczki do nosa brata Lorenzo.

- Wiem o tym. Nie mamy nawet nic, co by należało do Heinricha Reussa, zresztą w niczym by nam to nie pomogło, bo nie było go tu od czternastu lat. Pozwól mi jednak porozmawiać z Nerem!

- Oczywiście, zaczynaj!

Móri wiedział, że ci dwaj potrafią się naprawdę świetnie porozumieć.

Dolg, dobrze już widoczny we wczesnym świetle poranka, przykucnął przy nasłuchującym z zainteresowaniem psie. Z miasta wciąż nie dochodziły żadne odgłosy. Przed wschodem słońca w powietrzu wyczuwało się chłód.

Wydawało się, że chłopiec i pies doszli do porozumienia, zanim ruszyli w stronę budynków. Nero nie spuszczał pytającego spojrzenia ze swego pana.

Po sprawdzeniu wszystkich drzwi jasne się stało, które z nich są najbardziej uczęszczane. Nero wrócił do nich biegiem, stanął, merdając ogonem. Oczekiwał pochwały.

Owszem, podziękowano mu gorąco, ale drzwi okazały się zamknięte. Klucza nie było.

- Użyję niebieskiej kuli - powiedział Dolg bez przekonania.

- Nie, nigdy nie należy się nią posługiwać w sytuacjach, kiedy nie jest to absolutnie konieczne, dobrze o tym wiesz, a już na pewno nie na terenie złych rycerzy. Tym razem zaufaj ojcu, staremu czarnoksiężnikowi. Otwieranie zamkniętych drzwi to stara czarodziejska sztuka, Tiril dobrze o tym wie. Wszyscy musicie teraz stąd odejść, bo nie chcę, abyście coś słyszeli albo widzieli.

Usłuchali. Móri nie lubił zaklęcia runicznego, otwierającego zamki, mówił o tym jeszcze przed laty Tiril, kiedy musiał się do niego uciec w Bergen. Potrzebował do niego zbyt wielu okropnych ingrediencji, wielu strasznych run.

Czekali.

Wreszcie rozległ się szczełk. Móri ujął za klamkę.

Zamek puścił. Drzwi, wprawdzie niechętnie, ze skrzypieniem, ale się otworzyły.

Mogli rozpocząć wędrówkę przez twierdzę śladami zakonnych braci.

Rozdział 15

Buchnął zapach pleśni.

Znaleźli się w starym pomieszczeniu, przeznaczonym na czas wojny dla żołnierzy.

Nie była to sypialnia, lecz sala pełna kul armatnich i starego sprzętu wojskowego.

Drżące, chorobliwie blade, jakby zakłęte światło poranka wpadało przez wąskie okienka. Kurz pokrywał wszystko grubą warstwą, rzadko ktoś tędy chodził.

Może zaledwie dwa razy do roku, kiedy zbierali się członkowie Zakonu?

Móri i jego grupa mieli przed sobą tylko jedną drogę: prosto przed siebie, ale przy końcu umocnień znów musieli wybierać. Przed nimi widniały kolejne zamknięte drzwi i prowadzący w dół korytarz.

- Niech Nero decyduje - postanowił Willy.

Dolg znów przemawiał do psa. Z długich poszeptywań wychwycili tylko "szukaj, szukaj!" Nero to opuszczał uszy, to je nadstawiał, zależnie od okoliczności.

W końcu zaczął węszyć. Energicznie zabrał się do dzieła, żeby pokazać, jak świetnie potrafi tropić. Długo się wahał, aż wreszcie wybrał korytarz.

- Pamiętajcie, co mówił Reuss - przypomniał Dolg, usprawiedliwiając czworonożnego przyjaciela. - Rycerzy prowadzono wciąż nowymi drogami, aby potem nikt z pamięci nie mógł ich odtworzyć. Nerowi może to bardzo utrudniać zadanie.

- To dobry pies - powiedział Siegbert, kiedy zaczęli schodzić w dół.

- Ciemno tutaj - stwierdził Willy.

- Sądzę, że nie powinniśmy zapalać pochodni - ostrzegł Móri. - Przynajmniej nie od razu. Dopóki się da, będziemy posuwać się bez światła.

Korytarz nie był długi. Natrafili na kolejne zamknięte drzwi. Okazały się tak słabe, że Siegbert postanowił je wyważyć.

- Czasami wcale nie tak głupio jest uciec się do siły - zauważył Móri. Z ulgą przyjął fakt, że nie musi posługiwać się zakłębieniem otwierającym zamki.

Stare schody prowadziły do innego budynku, pustego, nie zorientowali się więc, do czego był przeznaczony.

- Bylebyśmy tylko nie wpadli do koszar - szepnął Willy.

- Nie ma obawy - mruknął Móri. - Żołnierze stacjonują po drugiej stronie twierdzy. Nero posuwał się teraz pewniej. Prowadził ich przez budynki i podziemne korytarze.

- Mamy już za sobą pierwszy, celowo pogmatwany odcinek - uznał wreszcie Móri.

- Teraz idziemy właściwą drogą.

W następnej chwili zatrzymali się zdumieni.

- Znow jesteśmy na zewnątrz! - zawołał Siegbert.

Zdarzyło się to już parę razy wcześniej, lecz wtedy przechodzili po prostu z jednego skrzydła warowni do drugiego. Teraz nie wyszli na żaden nowy budynek.

Pod nimi rozciągało się miasto. Znajdowali się na wschodnim zboczu - rzeczywiście, przemieścili się spory kawałek w dół, a u stóp mieli nieprzyjemnie strome schody, prawie całkiem skryte za krzewami.

- Schodzimy do miasta - zdziwił się Willy. - Czyżbyśmy zabłądzili?

- Nie sądzę - doszedł do wniosku Móri. - Mówiłem wam już, że coś mi się tu nie zgadza. Reuss wspominał o schodzeniu w dół, a przecież skała jest zbyt zwarta, przebicie się w głąb zajęłoby setki lat. Pewnie rzeczywiście na skale postawiono kilka budowli, ale kolejną wznoszono dopiero wówczas, gdy poprzednia obróciła się w ruinę. Chodźcie, sprawdzimy, dokąd prowadzą te schody!

Przekonali się o tym wkrótce. Poniżej rozciągał się imponujący zamek, ten sam, który w przyszłości, jak zobaczył Dolg, miał ulec zagładzie.

- Czy tam mieszkają ludzie? - szepnął Willy ze strachem, bo niebo nad horyzontem było już przejrzyste niebieskie.

Móri także się zaniepokoił.

- Nie wiem, ale na to wygląda, sądząc po narzędziach i praniu rozwieszonym na dziedzińcu. O, ale my wcale tam nie idziemy!

Nero skręcił w ciasną jamę w zboczu. Otwór z dołu zapewne był niewidoczny.

O mały włos stoczyliby się po ciemku po kolejnych schodach.

- Rzeczywiście droga wiedzie w dół - mruknął Dolg.

Wkrótce, kiedy już z trudem pokonali strome naturalne schody i niemal spiralnie skręcający w dół korytarz, Móri znów się zatrzymał.

- Domyślcie się tego samego, co ja? Wiecie, gdzie jesteśmy?

- Chyba tak - odparł Willy niepewnie, ocierając twarz z pajęczyn. - Pod spodem, prawda?

- Tak, pod tym wspaniałym zamkiem. To tutaj, a nie pod samą twierdzą mieści się bastion Zakonu.

- Jeszcze go nie znaleźliśmy - trzeźwo zauważył Dolg.

- No tak, masz rację. W dodatku przypuszczam, że w dawniejszych czasach uważano za twierdzę wszystko, co znajdowało się w obrębie murów miasta.

- Czy mogę zapalić pochodnię? - spytał Siegbert.

- Och, tak, zaświećmy wreszcie, nie będziemy się już dłużej posuwać po omacku w tych ciemnościach - zgodził się Móri. - Tu jest bezpiecznie.

Siegbert zapalił - i krzesiwoomalże nie wypadło mu z rąk.

- Jezu Chryste! - wyrwało mu się.

Dolg rozejrzał się, wtulił głowę w ramiona i przysunął się bliżej ojca.

Nawet Nero warknął na widok czaszek, ułożonych na półkach wzdłuż ścian, i szkieletów na podłodze.

- Katakumby - mruknął Willy, jego głos również zabrzmiał niepewnie.

- Klasztor - doszedł do wniosku Móri. - Powoli zostawiamy za sobą kolejne epoki.

Dolg starał się przypomnieć sobie wyjaśnienia Reussa:

- Burgos było twierdzą rzymską do szóstego wieku, kiedy nadeszli Wizygoci.

Potem nastąpiło panowanie rodu Nuno. Później, za czasów katolickich, zbudowano tu klasztor, a następnie znów zamek królewski.

- Wszystko się zgadza - przyznał Móri. - Musimy znaleźć zejście w dół.

Teraz, kiedy mogli sobie oświetlać drogę, powinno to być łatwiejsze, żadnych schodów jednak nie znaleźli.

- Jak myślicie, czy ludzie z zamku wiedzą o katakumbach? - zastanawiał się Willy.

Móri podniósł wzrok na sufit.

- Być może dzisiaj już nie. Z tego, co rozumiem, zeszedł jedyną istniejącą drogą.

Siegbert przywołał ich machnięciem ręki. Wraz z Nerem pochylali głowy nad jakąś trumną w kącie. Nero obwąchiwał ziemię wzdłuż jej dolnej krawędzi.

- Przesuniemy ją - zdecydował Móri.

Pospieszyli mu z pomocą.

Ukazał się czworokątny otwór.

- Droga do kolejnej epoki - oznajmił Willy.

Siegbert poświecił w dół.

- Tu są stopnie, ale sprawiają wrażenie dość marnych.

- Jeśli utrzymały brata Lorenzo i biskupa Engelberta, to i pod nami się nie załamia

- uspokoił go Móri.

Zszedł pierwszy, prosząc, by pozostali podążyli za nim.

- Pamiętajcie - powiedział - że kiedy domy buduje się w taki sposób, jeden na drugim, to raczej nie schodzi się do wcześniej zbudowanego budynku, lecz do jego piwnic! To mi wygląda... Poświeć lepiej, Siegbercie! To mi wygląda na dość prymitywną piwnicę twierdzy!

- Gotów?

- Tak przypuszczam. Przodków Ordogno. A może rodu Nufio.

- Czy Ordogno był Wizygotem? - spytał Willy.

- Prawdopodobnie, ale na pewno tego nie wiem.

- Wszystkie te twierdze, jedna na drugiej na przestrzeni dziejów - westchnął zrezygnowany Dolg. - Przed kim oni tak chcieli się bronić?

- Przed Maurami - odparł jego ojciec. - Przede wszystkim przed Maurami, bo oni dotarli do granicy hiszpańsko - francuskiej. Powstrzymano ich, prawdopodobnie Burgos stanowiło ważną zaporę. Ale także inne plemiona usiłowały podbić Hiszpanię i wielu na pewien czas się to udało.

Zauważyli, że Nero czeka na nich z niecierpliwością. Kiedy podeszli bliżej, głęboko nachyliwszy łeb wskazał ludziom kolejne zejście.

Sprawiło wrażenie lepiej zachowanego, w dół prowadziły solidne schody.

Wkrótce stanęli przed ciężkimi drzwiami.

Popatrzyli po sobie.

- To tutaj - oznajmił Móri.

Spróbował otworzyć drzwi, ale były bardzo dobrze zabezpieczone. Miały żelazne okucia, a także kołatkę z żelaza.

- Zastukamy? - zachichotał Dolg.

- Nie wolno tak żartować! - obruszył się Siegbert. - A jeśli ktoś otworzy?

- Pewnie najwyżej tylko duchy - Willy uśmiechnął się dobrodusznie. - No cóż, to raczej niemądrze powiedziane, sami znamy kilka.

- Możecie mi wierzyć - Móri uśmiechnął się półgębkiem. - Nasi "duchowi" przyjaciele potrafią z siebie żartować. Poczucie humoru nie jest im obce, chociaż czasami może wywoływać niesamowite efekty.

Siegbert kręcił się, nie spuszczając oczu ze sklepienia.

- Nie podoba mi się to - oświadczył.

- Co takiego?

- Że tyle mam nad głową. Twierdze, klasztor, zamek...

- Niech cię tylko teraz nie przytłoczy ten ogrom - przestrzegł go Móri. - Nie, niestety, z tymi drzwiami chyba sobie nie poradzę. Sprawiają wrażenie zamykanych na magiczny zamek.

- Kardynał? - upewnił się Dolg.

- Nie tylko on to potrafi - stwierdził Móri. - Przekonamy się, który z nas jest potężniejszym czarnoksiężnikiem!

- Nie, ojcie, wiem, że nie lubisz używać pewnych run. Pozwól mnie spróbować!

- Nie wyjmuj kuli! Nie w tym miejscu!

- Nie, nie będę się posługiwać szafirem. Ale czy widzisz te ornamenty na drzwiach?

Wcześniej nie zwrócili na nie uwagi, dopiero teraz Siegbert oświetlił potężną drewnianą tafłę.

Więszą część pokrywał jednorodny wzór, lecz na środku widniało coś szczególnego.

- Prawie niknie wśród tych wszystkich zawijasów - powiedział Dolg. - I tak chyba właśnie ma być. Ale odnoszę wrażenie, że to przypomina odwrotną stronę mego znaku Słońca, jakby lustrzane odbicie.

- Rzeczywiście - przyznał Móri. - Nikt więc, oprócz wielkiego mistrza, nie może go otworzyć. Spróbuj, Dolgu!

Chłopiec zdjął z szyi ciężki amulet, odwrócił go i przyłożył tylną ściankę do reliefu wykutego w drewnie.

- Pasuje! - rzekł Willy cicho.

Siegbert nie śmiał oddychać.

Zamek zazgrzytał, drzwi się uchyliły, pozwalając zajrzeć do znajdującego się za nimi pomieszczenia.

- Mój ty świecie! - szepnął Móri. - A oto i bogactwo Rzymu. Stać ich było na takie zbytki. Podbili wszak połowę obecnej Europy! Wchodzimy do środka!

Nero był jak zwykle pierwszy. Ludzie natomiast wchodzili skupieni, jakby z nabożeństwem.

Znajdowali się w przedsionku. Zajrzeli do - wielkiej sali, ośmielili się wejść także i tam.

Nie było co do tego wątpliwości. Dotarli do bastionu Zakonu Świętego Słońca.

Siegbert obszedł całą salę i pozapalał pochodnie oraz kandelabry. Przyjaciele oniemiała patrzyli na niespotykany wprost zbytek.

Móri i Dolg stanęli przy ołtarzu w odległym krańcu sali. Szeroko otwartymi oczami wpatrywali się w okazałe Słońce na ścianie, w kamienie, zaznaczające miejsca każdego z rycerzy, w sam stół ofiarny...

- Spójrz, ojczu! Na granatowym aksamicie jest ślad po jakimś naczyniu.

Przypuszczam, że...

Urwał, ojciec musiał dokończyć:

- Srebrny kielich Habsburgów, tak. Prawdopodobnie między zgromadzeniami przechowywał go biskup Engelbert. Ale nareszcie, dzięki Bogu, wrócił do Hofburga. Przynajmniej to jedno nam się udało, Dolgu.

- O, nie jedno! A jeśli zdołamy rozbić cały Zakon, świat, moim zdaniem, stanie się o wiele lepszym miejscem.

Móri przykląkł. Podniósł brzeg granatowego obrusa. Stół miał pod spodem półkę, ujrzeli sporą skrzynię, a raczej kufer z jakiegoś ciężkiego metalu, może ołowiu? Nie dało się go podnieść, był przymocowany do podłoża.

Rozejrzeli się za kluczem, lecz nic takiego nie znaleźli.

- Z pewnością kolejny magiczny zamek - mruknął Móri. - Ale tym razem twój znak Słońca nam nie pomoże.

- A szafir?

- Och, nie, na miłość boską, nie tutaj! To bastion Zła, Dolgu! - westchnął. - Będę musiał odwołać się do magicznych run.

Ale chociaż posłużył się znieprawionym zaklęciem, nie przyniosło to oczekiwanego rezultatu.

I wtedy Dolg się rozgniewał. Zdumiał wszystkich, zawsze taki łagodny i życzliwy, trochę marzycielski. Nie byli w stanie pojąć, co weń wstąpiło, ale nagle wstał, uniósł ręce ku skrzyni i gniewnym głosem zawołał:

- W imieniu prawdziwego Świętego Słońca rozkazuję ci, nawet jeśli twoją istotą jest zło, ustąpić czystości!

- Ależ, Dolgu! - jęknął Móri. - Oszalałeś! Nie wolno wymieniać imienia Świętego Słońca w tej siedzibie podłości!

Ze skrzyni wydobył się przypominający krzyk odgłos i magiczny zamek niechętnie ustąpił. Krótki trzask i pokrywa ledwie widocznie się uchyliła.

Móri ją podniósł.

- Wiemy przynajmniej, że tu tkwi zło. Musiało jednak ustąpić prawdziwemu, silniejszemu Słońcu.

W jego głosie brzmiała gorycz. Obiema rękami wyjął ze skrzyni jakiś bardzo ciężki przedmiot. Ostrożnie zwrócił się ku przyjaciółom. Szeroko otwarte oczy wyrażały bezgraniczne zdumienie.

- Święta Matko Boża - westchnął Siegbert. - Biblia?

- Och, nie, przeciwnie, bardziej przeciwnie już być nie może - odparł Móri, patrząc na piękną księgę, oprawioną w czerwoną skórę ze złotym napisem.

- Ojczy, co to za księga? - dopytywał się Dolg. - Taka wielka... i ciężka. I bardzo piękna! Co to jest?

Ojciec odpowiedział słabym głosem:

- "Rödskinna".

Rozdział 16

Druga grupa dotarła już w głąb Francji, po opuszczeniu Bordeaux ruszyła na wschód, w kierunku domu.

Cudownie brzmiące słowa!

Ale do prawdziwej radości i spokoju było im jeszcze daleko. Do rodzinnych stron mieli jeszcze długą drogę, nie wiedzieli, co się dzieje z Mórim i jego towarzyszami... A w dodatku przed rozstaniem obu grup nikt nie zwrócił uwagi na kaszel Tiril.

Obaj, którzy potrafili leczyć i uzdrawiać, zostali w Hiszpanii.

Theresa ogromnie się niepokoiła.

Tiril czasami nawiedzały straszliwe dreszcze, musieli ją owijać w swetry, derki i wszystko, co tylko przy sobie mieli. Ze zmęczenia ledwie mogła utrzymać się w siodle, a wieczorami wycieńczona zapadała w sen prawie bez życia.

I jeszcze przez cały czas ten uporczywy kaszel, który zdawał się ciągle pogarszać.

Z początku bali się zwrócić o poradę do lekarza, pragnęli za wszelką cenę zachować anonimowość. Ale dojechawszy do miasta St. Etienne nie mogli już dłużej zwlekać. W jednej z bocznych uliczek znaleźli doktora cieszącego się dobrą opinią i poprosili, aby zbadał Tiril.

Stwierdził, że należy jej robić okłady z olejków eterycznych na piersi, nocą okład z gęstej papki, a ponadto dostali zioła, z których mieli przygotowywać napar, między innymi gorczycę, “doskonale leczącą wrzody i rany w płucach”.

Theresa doszła do wniosku, że ten doktor nie może równać się z Mórím, a już na pewno z szafirem Dolga. Przeraziły ją zwłaszcza słowa nonszalancko rzucone na pożegnanie: “Poza tym ona i tak nie przeżyje tak poważnego przypadku świńskiej zarazy”.

Świńska zaraza to pewnie inne określenie gruźlicy, pomyślała Theresa. Ale moja córka nie mogła chyba na to zachorować?

W czasie dalszej podróży śmiertelnie wystraszona księżna nie spuszczała oka z Tiril.

Wkrótce się przekonali, jak wiele pożytku mają z Heinricha Reussa. Dokładnie wiedział, gdzie mieszkają bracia zakonni, mogli więc szerokim łukiem okrążyć te okolice.

Dlatego też w wielkim mieście Lyonie czuli się stosunkowo bezpieczni. W pobliżu nie mieszkał żaden z członków Zakonu. Tiril potrzebowała przynajmniej jednego dnia odpoczynku, nie mogła dłużej tak wisieć na końskim grzbiecie. Co prawda przez ostatnie dni kapitan gwardii cesarskiej wiozł ją na swym wierzchowcu, żeby ją podtrzymywać i ogrzewać.

Naprawdę przydałby im się teraz powóz dla Tiril, poważnie chorej. W gruźlicę wprawdzie nie wierzyli, lecz bez wątpienia zapalenie zaatakowało płuca. A wypchana na początku podróży kiesa Theresy była już prawie pusta.

Dlatego właśnie Erling postanowił pojechać przez Lyon.

Prowadził tam kiedyś interesy, miał znajomego kupca bławatnego, który był mu winien sporą sumę pieniędzy. Erling odszukał go i przyłożył nóż do gardła, człowiek więc po prostu nie mógł nie zapłacić. Usprawiedliwiał się, że bał się wysłać tak wielką kwotę aż do Bergen, i podkreślał, że dobrze się złożyło, iż pan Müller tędy przejeżdżał...

Tak, tak!

W obozowisku zapanowała wielka radość, kiedy Erling wrócił z dużym zapasem gotówki i wszystkim, czego im było trzeba na dalszą podróż. Natychmiast wyszukano odpowiedni ekwipaż, którym powozić miał Bernd.

Nastrój od razu się poprawił. Niezwykłe, jak brak pieniędzy potrafi zwarzyć ludziom humory, filozofował Erling. A może to wcale nie takie dziwne? Pewność, poczucie bezpieczeństwa to najważniejsze, co daje dobra sytuacja finansowa nawet najbardziej awangardowej bohemie, chociaż jej przedstawiciele nigdy by się nie przyznali do takiego drobnomieszczaństwa, ciągnął Erling, który sam przecież był mieszczańinem z urodzenia i wychowania.

Tiril i Móri nauczyli go czegoś innego, ale teraz znów miał szansę powrócić do ustabilizowanego życia, z odpowiednim zabezpieczeniem finansowym.

I w takiej sytuacji chyba czuł się najlepiej.

Zatrzymali się w gospodzie, która, jak wcześniej przypuszczali, miała być ostatnią w drodze do domu. Teraz mieli w perspektywie wiele pokrzepiających kolacji i wygodnych łóżek przez dalszą część podróży. Wszyscy w głębi ducha odetchnęli. W Lyonie Heinrich Reuss postanowił się z nimi pożegnać. Chciał wyruszyć do domu, do Saksonii, kierując się na północ.

- Ależ droga przez Szwajcarię musi być szybsza! - zaprotestowała Theresa.

Owszem, może i tak, ale Reuss za żadne skarby świata nie chciał zapuszczać się do Szwajcarii, rejonu kardynała von Grabena.

Siedzieli w pokoju Tiril, największym, w dodatku ze stołem i krzesłami. Bali się zostawić ją samą, a jednocześnie chcieli też rozmawiać. Akurat zapadła w niespokojny sen, przerywany kaszlem i jękami. Starali się mówić jak najciszej.

- Księżno! Panie Erlingu! - przemówił gorąco Heinrich Reuss. - Proszę, przyjmijcie moje najszczerze podziękowania dla was i dla wszystkich pozostałych, za waszą wyjątkową życzliwość i szczodrość w stosunku do mnie. Kiedyś byłem człowiekiem honoru, a teraz stałem się nim na powrót i gdy tylko wrócę do domu, postaram się odwdziżyć za wszystko, co dla mnie uczyniliście. Zwrócę wam wszelkie długi. Za konia, jedzenie, ubranie i wszystko, co otrzymałem w formie

duchowej, oddam wam w pieniądzech. Ale nie proście, bym jechał przez Szwajcarię. Moje nerwy tego nie wytrzymają.

- Rozumiemy - pokiwał głową kapitan. - Nie rozumiemy natomiast, w jaki sposób trafił pan do Zakonu Świętego Słońca?

- Właśnie, jak się zostaje jego członkiem? - podchwyciła Theresa. - Mnie także to zastanawiało.

Na twarzy Heinricha Reussa odmalowała się gorycz.

- Zakon liczy dwudziestu jeden braci, rozproszonych po całej Europie, aby łatwiej można było znaleźć rozwiązanie zagadki Świętego Słońca. Kandydata do Zakonu poszukuje się przez przyjaciół, znajomych i znajomych znajomych. Wszystko owiane jest mgłą tajemnicy, każdy kandydat, zanim zostanie w jakikolwiek sposób wtajemniczony, jest przez długi czas wystawiany na próby. Trzeba zajmować wysokie stanowisko, więc rozumie się samo przez się, że należy także posiadać tytuł szlachecki. Im "wyższa, pozycja, tym lepiej. Przynależność do zakonu kosztuje, każdy musi być przygotowany na udział w drogich przedsięwzięciach, na przykład poszukiwaniach prowadzonych w odległych miejscach. Ale... ale to nie wystarczy. Trzeba mieć jeszcze jakiś słaby punkt w życiu.

- A to dlaczego? - spytał jeden z żołnierzy.

- Ponieważ Zakon chce trzymać ludzi w szachu, tak aby nikt nie uciekł ani nie doniósł.

- A więc i na pana coś mieli - cierpko zauważył Erling.

- Tak. Grzech z czasów młodości. Walczyłem ze swoim rywalem i nieumyślnie go zabiłem. Zwłoki wrzuciłem do jeziora. Sądziłem, że nikt tego nie odkrył. Aż do czasu, gdy ten, który polecił mnie Zakonowi, nie przyparł mnie do muru.

- A kto pana zaproponował?

- Horst von Kaltenhelm.

- Ale jeśli pan wróci do Gera, on przecież z łatwością pana odnajdzie!

- Nie zamierzam osiąść na zamku w Gera. Chcę tylko odwiedzić rodzinę, powiedzieć im, że żyję, i wydobyć nieco pieniędzy, co pozwoli mi osiedlić się w

jakimś bezpiecznym miejscu. Poza tym von Kaltenhelm planował przeniesienie się do Flandrii. Nie wiem, czy tak naprawdę się stało, ale taką mam nadzieję! Poprosili o pełną listę dwudziestu jeden braci zakonnych, wraz z ich miejscem zamieszkania. Heinrich Reuss chętnie udzielił informacji, nie wiedział jednak, na ile są aktualne, w ciągu minionych trzynastu, czternastu lat wielu mogło umrzeć i zastąpili ich inni.

Erling wziął listę, aby ją przechować do czasu ponownego spotkania z Mórim. Nie bardzo wprawdzie wiedział, co ma z nią zrobić. Ale w każdych okolicznościach dobrze było "wiedzieć, gdzie przebywają pomiędzy zgromadzeniami w Burgos poszczególni rycerze przeklętego Zakonu Świętego Słońca.

Rozeszli się na spoczynek. Jeden z żołnierzy podjął się czuwania przy Tiril przez pierwsze godziny, później miała go zastąpić Theresa. Przez ostatnie dni przy chorej stale ktoś siedział, robili to wszyscy po kolei. Tiril nawet na chwilę nie mogła zostać sama, trzeba było ją poić, aby gorączka doszczętnie jej nie wyniszczyła, a kiedy kaszel stawał się bardziej dokuczliwy, musiano także pomagać jej siadać. Pościel często wymagała zmiany, podobnie jak okłady na piersi. Zawsze ktoś musiał przy niej być.

Erling i Theresa razem wracali do skrzydła, gdzie znajdowały się ich pokoje.

- Moja biedna córka - westchnęła Theresa. - Czyż nie dość już wycierpiała?

- Gdyby Móri zdawał sobie sprawę, jak bardzo jest chora, z pewnością nie pojechałby do Burgos.

- Z początku nie wyglądało to tak poważnie, ale choroba wyraźnie się rozwija.

Ach, Erlingu, czuję się taka zmęczona duchowo, psychicznie, wycieńczona tym wiecznym niepokojem.

- Wiem o tym. I ja czuję podobnie. Odprowadzę cię do twojej sypialni, chwilę razem porozmawiamy.

Nigdy dotąd się to nie zdarzyło, ale Theresę cieszyło jego wsparcie.

W pokoju księżnej niewiele było sprzętów, przysiedli więc na łóżku.

- Wsuń się pod kołdrę i ogrzej stopy - zaproponował Erling. - Masz takie lekkie pantofelki.

- Chciałam dziś wieczorem ładnie wyglądać - uśmiechnęła się zawstydzona, zsuwając buciki i usiłując jak najprzystojniej wpełznąć pod przykrycie. Wygładziła spódnice, by zbyt się nie pogniotła.

Erling uśmiechnął się leciutko.

- W najtrudniejszych chwilach, a było ich niemało, zawsze pozostawałaś damą, Thereso. I to nie wydelikacaną, zadzierającą nosa paniusią. Przedzierałaś się przez bagna, ubierałaś w stroje, które trudno nazwać kobiecymi, walczyłaś z niedogodnościami tak jak i my. A jednak zachowałaś dostojeństwo. Nawet wtedy, kiedy wyrwało ci się przekleństwo w tamtych gęstych zaroślach, pamiętasz?

- Uf, tak - zawstydzila się. - Nigdy nie sądziłam, że takie słowo przejdzie mi przez usta. Zaraz, w następnym mieście, do którego dojechaliśmy, poszłam do kościoła się wyspowiadać.

- Często się spowiadasz?

- W każdym kościele, do jakiego dojeżdżamy.

- Ale ty przecież nie grzeszysz!

- Myślą, Erlingu! Moje myśli zna tylko mój spowiednik.

Przy następnym pytaniu zająknął się:

- Czy te myśli dotyczą... także mnie?

Theresa spuściła głowę.

- Dobrze wiesz, Erlingu.

- W takim razie mnie także by się przydała długa spowiedź - rzekł z powagą. Nie odpowiedziała. Spozrzegł jednak, że odwróciła twarz, by ukryć uśmiech szczerzej radości.

Jakimż nikczemnikiem musiał być ten Engelbert, który tak zniszczył szesnastoletnią Theresę! Przypominała wtedy zapewne najdelikatniejszy kwiat, śmiertelnie zakochana, jak to się często przytrafia dziewczętom w tym wieku. A on

ośmielił się to wykorzystać, by później zostawić ją na pastwę losu! Porzucił ją dla kariery w Kościele...

Całkiem nieudane małżeństwo także nie zdołało zabić jej godności i dostojeństwa, myślał Erling.

Czyż więc to takie dziwne, że jestem onieśmielony? Że wobec jej szczerzej, gorącej, lecz pełnej zawstydzenia miłości do mnie czuję się niezręczny jak żółtodziób?

Na zewnątrz jest prawdziwą księżną. Silną, pewną siebie, nawykłą do wydawania poleceń. A w środku nieśmiała i niepewna jak dziecko.

Podczas długiej podróży Erling kilkakrotnie odniósł wrażenie, że Theresa boi się pokazać mu swoje ciało, że się go wstydzi. Wzruszyło go to. Przecież on był w tym samym wieku.

Erling postanowił przyjść jej z pomocą, uprzedzić, wyzwolić przynajmniej z tego lęku.

- Thereso... - rzekł z wahaniem. - Ja... rozmyślałem o tym... że gdy kiedyś... zbliżymy się do siebie... uznasz mnie za nie dość pociągającego.

Popatrzyła na niego zdumiona.

- O co ci chodzi? Ty miałbyś nie być pociągający? Ty, najpiękniejszy...

Powstrzymała ją podniesiona dłoń Erlinga.

- Muszę przyznać, że trochę się ciebie wstydzę, Thereso. Wiesz, że nie jestem już młody. Nadmiar wieczorów zakrapianych winem i mocniejszymi trunkami zostawił swoje ślady, chociaż teraz piję znacznie mniej. Ale też jestem starszy. Dlatego nie rozczaruj się, że moja skóra nie będzie taka gładka jak u młodzieńca.

Najpierw słuchała zdumiona, potem wybuchnęła stłumionym śmiechem.

- Ależ, Erlingu, wyjąłeś mi te słowa z ust. To znaczy w ogóle nie śmiałam ich wypowiedzieć. Ale o to samo się boję, o to, że nie będziesz zadowolony z mojego ciała. Jest już takie brzydkie!

- Wcale w to nie wierzę - rzekł z uśmiechem, ale w duchu powiedział sobie: A więc jednak tu cię bolało! Dobrze zgadłem.

Theresa ciągnęła z przejęciem:

- Mam dwa pieprzyki na plecach, nienawidzę ich! Nie wiedziałam o nich, dopóki Alfred, mój mąż, nie powiedział o dwóch paskudnych skazach.

- Pokaż mi je - zdecydowanie poprosił Erling.

- Ależ nie...

- Przepraszam, to było nierozważne z mojej strony.

- Och, nie. Masz prawo je zobaczyć. Przed ślubem! Czy mógłbyś się na moment odwrócić?

- Oczywiście!

- Teraz możesz już patrzeć. Czy są odrażające?

Musiał przysunąć do jej obnażonych pleców lampę, żeby w ogóle je zauważyć. Spostrzegł, że skóra na bokach nie jest już taka jędrna, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Przeciwnie, nawet go wzruszyło.

- Gdzie są te skazy? Ach, tak, te maleńkie kropeczki? No, plamki. Przecież to nic takiego. Troszeczkę wystają, ale są zupełnie normalne. Pamiętaj, każdy człowiek ma sporą liczbę pieprzyków. Twój były mąż chciał cię po prostu pognębić, sprawić, abyś poczuła się mniej warta.

- Naprawdę? A ja tak się nimi zamartwiałam!

- Zobacz, jakie ja mam wałki tłuszczu na bokach!

Ostrożnie go dotknęła i rzeczywiście, skóra nad paskiem trochę się wylewała. Roześmiała się z ulgą.

- Ja też mam coś podobnego.

- Dzięki Bogu, jesteśmy przecież równolatkami!

Theresa odwróciła się ku niemu, zasłaniając piersi bluzką, lecz wciąż z gołymi plecami.

- Bardzo trudno jest się do siebie zbliżyć, kiedy nie jest się już młodym. Owszem, łatwo można się zaprzyjaźnić, lecz człowiek bez wątplenia popada w niepewność, ba, nawet nerwowość, na myśl o tym, co pomyśli druga osoba, kiedy... już przyjdzie...

- Wiem, o co ci chodzi - powiedział prędko, chcąc ją wybawić z kłopotu. Lekko przesunął ręką po jej plecach.

Gdy zdusiła jęk, pochylił się i delikatnie pocałował ją w ramię.

- Uważam, że jesteś niezwykle powabna, Thereso!

- Och, Erlingu!

Nigdy jeszcze nie słyszał, by ktoś wypowiedział jego imię w takim uniesieniu.

Odwrócił ją całkiem w swoją stronę i otoczył ramionami. Dzielili ich od siebie pognieciona bluzka. Spoglądali sobie głęboko w oczy, długo, badawczo, pytająco.

Odpowiedzi i kolejne pytania. Wargi Theresy drżały. Zorientowała się, że Erling patrzy na jej usta, potem na włosy, by wreszcie znów napotkać jej wzrok.

Delikatnie, z wielkim doświadczeniem, zbliżył się do niej.

Kiedy jego usta znalazły się już bardzo, bardzo blisko jej, szepnął:

- Czy mogę?

Wyszła mu naprzeciw.

Długi pocałunek. Pieszczoty dłoni, oddechy, mówiące własnym językiem.

Erling wypuścił powietrze z płuc.

- Chyba lepiej będzie, jak sobie pójdę.

Nie śmiała tego powiedzieć, ale ledwie wyczuwalny uścisk dłoni wokół jego karku, dotyk piersi, wyjawiały milczącą prośbę: "Nie odchódź!"

Powietrze znieruchomiało, Erling nie śmiał oddychać.

Próbował się roześmiać, lecz w ogóle mu się to nie udało.

- Płonę - wyznał cicho.

Theresa nie musiała odpowiadać. Odpowiedziała mu jej wibrująca, pulsująca skóra.

- Thereso, nie chcę cię zhańbić. Chciałbym stanąć przed twoim bratem z czystym sumieniem.

- Ależ, Erlingu - szepnęła mu do ucha, pieszczotliwym gestem wsuwając mu ręce we włosy. - Dla żadnego z nas dwojga nie będzie to pierwszy raz!

- Wiem o tym, ale... Chyba już dłużej tego nie zniosę!

Zsunął jej bluzkę z piersi i ucałował je. Theresa wolno opadła na łóżko, myśląc o tym, że nigdy jeszcze nie była tak kochana. Tak szczerze, z taką czcią i... oddaniem.

Nie pamiętała, jak zdjęli z siebie ubranie, czuła się upojona, oszołomiona tym przeżyciem, jej ciało pragnęło, gorące, rozpalone i gotowe.

Kiedy już był w niej - powoli, czule i ostrożnie - miała przekonanie, że wszystko jest tak, jak być powinno. Erling należał do niej, Theresa w tym momencie poczuła, że on nigdy jej nie zawiedzie, nie opuści dla innej ani się nią nie znudzi. Oboje byli dojrzałymi ludźmi, świadomymi, na co się decydują, do czego zmierzają. Wycierpieli już dość, zaznali samotności i zagubienia.

Teraz byli pewni siebie nawzajem.

Pod względem technicznym nie był to szczególnie udany akt miłosny. Oboje zbyt długo żyli samotnie i wszystko skończyło się za szybko. Ale to można naprawić, czas w tym pomoże. Theresie nie przyszło do głowy, by wyrzucać Erlingowi żalostnie krótkie trwanie tej chwili. Przeciwnie, ogarnęła ją niepomiarne radość, ponieważ okazała się tak... godna pożądania!

Było to mocne słowo, lecz jej zdaniem mogła sobie pozwolić na takie określenie. Spędzili jeszcze razem pół godziny, gawędząc o przyszłości. Byle tylko wrócili do domu, bezpiecznie dowieźli Tiril...

- Bardzo się z tego cieszę - wyznała Theresa. - To była w pełni nasza chwila, tylko nasza, dlatego, że jej nie zaplanowaliśmy.

- To prawda - przyznał Erling, pieszcząc jej włosy. - Wiesz, Thereso, to było krótkie i intensywne przeżycie, lecz dla mnie całkiem nowe. Ja... czułem się przy tobie bezpieczny.

- I ja to samo przed chwilą pomyślałam - oświadczyła zdumiona.

Erling ułożył się przy niej na plecach i westchnął głęboko.

- Mam wrażenie, jakbym nareszcie wrócił do domu. Do prawdziwego domu. Nigdy czegoś podobnego nie czułem, nawet jako dziecko.

Theresa przytuliła się do niego.

Niedługo jednak się poderwała.

- Teraz moja kolej na czuwanie przy Tiril. Czy wiesz, że na chwilę zdołałam zapomnieć o tym ciągłym niepokoju o nią?

- Zasłużyłaś na to. Już od zbyt wielu dni nie opuszczało cię napięcie i strach.

- Tak, jestem znacznie spokojniejsza, taka rozluźniona. Łatwiej mi teraz będzie znosić przeciwności, wszelkie przeszkody, niedospanie. Czuję się po prostu silniejsza!

- Doskonale!

- Teraz więc, wzmocniona, mogę czuwać przez kilka godzin, bez ucisku w gardle z obawy, że ona przestanie oddychać.

- To dobrze, człowiek wycieńczony niepokojem staje się mniej odporny.

- Ale, Erlingu... Nikt nie może się dowiedzieć, że...

- Nikt. Ta chwila była tylko nasza. Jest święta.

- Dla mnie również. Dzięki ci za to, że istniejesz, Erlingu!

Rozdział 17

- Co to jest "Rödskinna", ojcze?

Móri podniósł wzrok znad księgi. Jego oczy spoglądające na Dolga błyszcząły w jakiś niesamowity, trudny do opisanego sposób. Dolg nie bardzo potrafił ocenić, czy mu się to podoba.

- "Rödskinna"? - wolno powtórzył Móri. Ruszył po kamiennej posadzce, oświetlonej blaskiem pochodni i świec w kandelabrach. - Usiądźmy na chwilę przy tamtym stole! Sądzę, że nikt tu nie przyjdzie. Tylko Wielki Mistrz ma "klucz" do tych drzwi, a on ukrywa się daleko stąd, w Sankt Gallen.

Zajęli miejsca na ozdobnych krzesłach, których wokół stołu ustawiono dwadzieścia jeden.

Nie otwarta księga ciężko spoczęła na kolanach Móriego.

- "Rödskinna", czy też "Rauskinna", jak się ona nazywa po islandzku, o mało nie kosztowała mnie życia, a już na pewno rozumu.

- Ta tutaj?

- Nie, były dwie, jak zrozumiałem później. Obie powstały w Czarnej Szkole na Sorbonie, gdzie uczniowie poznają tajemne rytuały, siedząc w ciemnej niczym grób piwnicy... Ale nie, nie będziemy się w to zagłębiać, bo za bardzo się zapłaczymy. Biskup Gottskalk Zły przywiózł taką księgę na Islandię. To znaczy sądzę raczej, że przywiózł czarodziejskie formuły, które zdołał zapamiętać. Spora część tej wiedzy pochodziła od Tomasa de Torquemady, tak się przynajmniej mówi. Moim zdaniem to sam biskup Gottskalk napisał jedną z "Rödskinn", kiedy przybył do biskupstwa w Holar na Islandii. Drugą, pierwotną "Rödskinnę" otrzymał mnich ze skały Graben. Później odziedziczył ją jego potomek, kardynał von Graben. I tak trafiła tutaj.

Czyżby w głosie Móriego wyczuwali leciutkie drżenie?

- To znaczy, że księga należy właściwie do rodu von Graben? - spytał Willy. - A nie do Zakonu Świętego Słońca?

- I tak, i nie. Zarówno Torquemada, jak i mnich, i kardynał byli członkami Zakonu. Ale księga dostała się Zakonowi przez, ród von Graben.

- Rozumiem.

Móri przeglądał ją w roztargnieniu, wreszcie jego spojrzenie zatrzymało się na jakiejś stronie.

- Dobry Boże - mruknął.

- Co się stało, ojczy?

- Zajrzałem do niej. I teraz nie wiem, czy obie "Rödskinn" są identyczne. Jedna została przełożona na islandzki i nikt jej nie widział, biskup Gottskalk bowiem zabrał ją ze sobą do grobu. Tę tutaj napisano po niemiecku i to, jak się wydaje, dość niedawno. Przypuszczam, że kardynał lub któryś z jego najbliższych poprzedników wśród wielkich mistrzów przetłumaczył ją z języka oryginału, francuskiego lub hiszpańskiego. To dla mnie wielka pomoc, rozumiem, co w niej napisano.

- Masz zamiar ją zatrzymać, ojczy?

Móri napotkał spojrzenie wielkich oczu syna i musiał spuścić wzrok.

- W każdym razie ona nie może tu zostać, będzie wyrządzała jeszcze więcej szkód. Zawiera niemal wyłącznie czarne runy, czyli złe zaklęcia.

Przez chwilę siedział nieruchomo, zatopiony w myślach. Pozostali zauważyli, że zmaga się wewnętrznie.

Dolg, który nie lubił patrzeć, jak ojciec cierpi, wtrącił:

- Ktoś chyba mówił, że kardynał von Graben nie rozstaje się z jakąś czerwoną książką, pełną czarnoksięskich formuł.

Móri ocknął się i z wdzięcznością popatrzył na syna.

- Owszem, ale podobno tamta jest znacznie mniejsza i cieńsza niż ta.

Prawdopodobnie przepisał najpotrzebniejsze fragmenty, by mieć je przy sobie na swój własny użytek.

Móri nie całkiem zdołał się wyrwać z zamyślenia i nawet nie zauważył, że jego wyjaśnienia są nieco mylące. Wciągnął głęboki oddech.

- Nigdy nie słyszeliście całej historii o "Rödsकिनie", prawda? Nawet ty, Dolgu?

- Nie.

- Zatem najwyższy czas, abym ją opowiedział. W skrócie, rzecz jasna. Dla mego własnego dobra powinienem przywołać ją w pamięci.

W wielkiej sali o łukowato wygiętym sklepieniu panował niezwykle nastrój.

Pochodnie i łożowe świece migotały, rzucając na ściany drażniące wyobraźnię cienie. Głosy niesły się echem, w którym zdawały się także rozbrzmiewać głosy wielkich mistrzów z różnych epok. Oczywiście było to fascynujące i majestatyczne, ale...

Dolg zerknął na wielkie słońce na ścianie w odległym krańcu sali i zastanawiał się, co by pomyślał o tym Cień. Wszystko to było dziełem ludzi z późniejszych czasów. Cień mówił, że jego lud nie potrzebował tak pompatycznych rytuałów.

Dolg wiedział, że miał rację.

Znów skierował uwagę na ojca. Móri zaczął opowiadać o "Rödsकिनie" jakby skruszony, jakby nie chciał się przyznać do tej historii ze swego życia.

- Jak wiecie, pochodzę z rodu islandzkich czarnoksiężników. Oboje moi rodzice posiadali niezwykle zdolności, podobnie jak mój dziad ze strony matki i jego ojciec, Jonssonowie z Kirkjuból. Gdy byłem w twoim wieku, Dolgu, zdażyłem się nauczyć wszystkiego, co umiała moja matka. Odziedziczyła ona również całą wiedzę Jonssonów, swego ojca i dziada.

Po chwili przerwy Móri podjął:

- Na Islandii znajdowało się kilka ksiąg zła. Trzy z nich były naprawdę sławne, dwie "Gräskinny" i jedna "Rödskinna". Ta ostatnia najpotężniejsza, a zarazem najstraszniejsza. Miałem na tyle szczęścia, że zetknąłem się z obiema szarymi księgami i nauczyłem się ich na pamięć. Ale "Rödskinne" biskup Gottskalk zabrał ze sobą do grobu. A ja postanowiłem ją zdobyć.

Znów się zawahał. Pogłaskał Nera po łbie, jakby szukał współczucia u tego, który był z nim w tamtych ciężkich chwilach. Pies ocierał się czołem o jego dłoń. Móri podjął:

- Dorastałem na Islandii, lecz wygnano mnie z wyspy za czarnoksięstwo. Wtedy właśnie w Bergen spotkałem Tiril, Nera, no i Erlinga Müllera. Ale pragnienie posiadania "Rödskinny" było silniejsze. Kiedy władze w Norwegii zaczęły mnie ścigać, zostawiłem Tiril, zawiodłem ją i uciekłem z powrotem na Islandię. Do tego stopnia nie mogłem się oprzeć żądzy zdobycia tej księgi. W kościele w Holar zamierzałem wydobyć "Rödskinne", lecz uprzedził mnie inny człowiek Mag - Loftur. Mnie przyniosło to ocalenie, jemu zgubę. A mogło być odwrotnie.

Móri zatopił się w rozmyślaniach nad taką ewentualnością. Nabrał powietrza w płuca.

- Byłem świadkiem tego, jak Mag - Loftur wskrzesił spod podłogi kościoła wielu nieżyjących biskupów. Straszny widok. Na koniec powstał z martwych Gottskalk Zły. Cała historia zakończyła się katastrofą, o której nie chciałbym teraz mówić. Maga - Loftura pochwycił Władca Zła. Mnie udało się przeżyć z największym trudem - dzięki Nerowi i miłości Tiril. Wyruszyli sami, we dwoje, na Islandię, aby

mnie stamtąd zabrać. Przekroczyłem jednak zakazane granice między życiem a śmiercią, z mrocznych wymiarów przywiodłem wszystkich swoich towarzyszy.

- Ach, tak! - pokiwał głową Willy. - A więc oni są stamtąd? Często się nad tym zastanawiałem. Ale przecież spieszą ci z pomocą?

- Owszem, tylko z początku nie zdawałem sobie z tego sprawy. Tiril rozumiała ich o wiele lepiej.

Zakończył, kładąc dłoń na "Rödskinnie".

- Pojmujecie więc, że to zupełnie wyjątkowa księga. Czy pozwolicie mi ją stąd zabrać? Przeczytam ją, będę się z niej uczył, lecz nigdy, przenigdy nie posłużę się żadną z tych czarnych run!

- Czarne runy - powtórzył Willy. - Chodzi o czarną magię?

- Tak. Złe, potworne czary, mające na celu szkodzenie innym.

- Ufamy panu - oświadczył Siegbert.

- Ja także, ojciec - zapewnił Dolg. Odwrócił się ku towarzyszom. - Wiem, że tak będzie najlepiej. Inaczej ojciec nigdy nie odzyska spokoju ducha, a poza tym, tak jak powiedział, księga nie powinna tu zostać.

Pokiwali głowami.

Móri cicho westchnął z ulgą.

- A kiedy już ją przeczytam i spiszę z niej to, co może być pożyteczne dla ludzi, spalimy ją.

- Doskonale - pochwalił Dolg, a inni się z nim zgodzili.

- Dziękuję! A teraz, czy zabierzemy się do szukania kamienia Ordogno? - spytał Móri.

- Naturalnie! Całkiem o nim zapomniałem - przyznał Willy. - Tyle że to trochę trudne, jeśli się nie wie, czego trzeba szukać. Kamień, to przecież może być wszystko - od ziarenka piasku aż do skały czy też na przykład klejnotu. Przecież może nawet chodzić o ten czerwony kamień, którego wciąż nie mamy.

- Masz rację, Willy, ale spróbujemy - odparł Móri.

Starannie przeszukali wielką salę. Tam, gdzie leżała "Rödskinna", znaleźli sporo przedmiotów, wyglądających na używane w ceremonii wtajemniczenia. Nieistotne rekwizyty służące do wywołania efektu, pompatycznego nastroju. Zostawili je na miejscu, nie przedstawiały wartości dla nikogo poza braćmi zakonnymi.

Dopiero w zewnętrznym przedsionku odkryli coś szczególnego.

Drzwi ledwie widoczne za szafą w kącie.

- Nie otworzymy ich - stwierdził Siegbert. - Szafa zawadza.

Willy, który coraz częściej dawał dowody swej przydatności, przyjrzał się meblowi uważniej.

- Piętnasty wiek - ocenił. - Wydaje się, że stoi tu od dawna. Ale przesuwano ją. I to dość często! Przyjrzyjcie się zadrapaniom na posadzce!

- Ale jak ją tu zniesiono? - zastanawiał się Dolg.

- W jaki sposób przetransportowano tu to wszystko? - dokończył jego myśl Móri. - Ołtarz, krzesła, ten ogromny stół...

Wszyscy popatrzyli na drzwi w rogu.

- Inna droga nie jest możliwa - doszedł do wniosku Móri. - Innego zejścia, poza tym, którym przyszliśmy, nie było, a przeniesienie tamtędy ciężkich sprzętów jest niemożliwe. Nie, wszystko musieli sprowadzić tędy.

Świadomość, że istnieje jeszcze jakieś drugie wejście, nie była przyjemna. Ktoś mógł ich tu zaskoczyć.

Ale nie, nikt nie wszedłby tymi drzwiami, zablokowanymi wielką szafą.

Stwierdziwszy, że jest zamknięta, wspólnymi siłami ją odciągnęli.

Nero wcześniej ułożył się spokojnie i zasnął. Psy są bardziej uzależnione od dostatecznej ilości snu niż nawet wody, więc podczas tej długiej, męczącej podróży starał się spać, jak tylko nadarzyła się ku temu okazja. Teraz poderwał się, czujny jak zwykle.

Tajemnicze drzwi okazały się rzecz jasna zamknięte, lecz czego innego można się było spodziewać? Tym razem jednak nie zamknięto ich po prostu na klucz, lecz

zabarykadowano poprzeczną sztabą i zabito gwoździami. Sporo czasu zabrało im usunięcie wszelkich przeszkód.

Siegbert otworzył drzwi.

- Fui! - wzdrygnął się. Zakrztusili się kurzem, pajęczynami i buchającym odorem.

Nero kichał raz po raz.

- Czy i tych drzwi nie używano od piętnastego wieku, Willy? - spytał Móri.

- Nie, tu są ślady ciężkiego obuwia - odparł żołnierz. - I lżejszych butów także.

Samych męskich. I... ślady, jakby coś tędy ciągnięto?

- Meble?

- Nie! Stopy!

- Zaczekaj, Nero, nie idź pierwszy! - ostrzegł Móri. - Dolgu, weź go na smycz. Nie wiem, co to jest, lecz mam jakieś złe przeczucia. Poświeć nam, Siegbercie!

Ujrzeni długi, nieprzyjemny korytarz, którego ściany zbudowano z ziemi i kamienia, tu i ówdzie na podłodze rozsypano słomę. Wydawało się, że jego koniec został całkowicie zamurowany.

- A więc ślepa droga - stwierdził Móri. - No cóż, przynajmniej z tej strony nic nam nie zagraża. Ale chyba możemy przypuszczać, że właśnie tędy dawno temu przetransportowano tu wszystkie sprzęty.

- Tak - zgodził się Dolg. - Ale dlaczego tyle tu śladów stóp? I starych, i nowych?

- Chodźcie, sprawdzimy.

Przeszli przez cały korytarz, aż do muru. Móri starannie go obmacał.

- Stary. Wymurowano go przed setkami lat.

- Ale czy w jakimś miejscu w korytarzu nie słyszeliście tego samego co ja? - spytał Willy.

Dolg podchwycił:

- Kiedy tamtędy przechodziliśmy, nagle rozległ się jakiś głuchy odgłos.

- Tak. Tylko w jednym jedynym miejscu.

Zawrócili kawałek i przystanęli. Teraz usłyszeli to już wszyscy.

- Ślady stóp nie dochodzą do muru, lecz kończą się tutaj - zauważył Móri. -
Ściągnijmy stąd słomę.

- Spójrzcie na ścianę - szepnął Siegbert, szeroko otwierając oczy.

Przenieśli wzrok za jego palcem.

Ciemne plamy.

Dobrze było usłyszeć głęboki, spokojny głos Móriego.

- Krew - oznajmił. - Na suficie także. Ten tajemny korytarz coraz mniej mi się
podoba.

Odgarnęli nogami leżącą na podłodze słomę. Wyłoniła się spod niej pokrywa,
zasłaniająca jakiś otwór. Usunęli ją i zajrzeli do środka. Smród był tu nieznośny,
musieli z całych sił się powstrzymać, żeby nie uciec.

- Jeszcze dawniejsza epoka - zdumiał się Willy.

- Cywilizacja poprzedzająca rzymską? - zastanowił się Móri. - Co też mógł to być
za lud?

- Może Iberowie - odparł Willy. - Wiadomo o nich bardzo niewiele oprócz tego, że
wzięli swoje imię od rzeki Iberus, Ebro. A może byli tu Celtowie? Albo jakieś
wcześniejsze plemię?

Patrzyli na niego oniemiałi. Z początku traktowali Willy'ego jak zwykłego żołnierza
gwardii cesarskiej, który został wybrany, aby im towarzyszyć, po prostu dlatego,
że był z pochodzenia Hiszpanem. Mała Taran bardzo go polubiła. Podczas
podróży jednak zrozumieli, że nie jest ot, takim sobie, prostym wojakiem.

- Daleko zajdziesz, chłopcze - rzekł Móri z podziwem.

- Mam taki zamiar - szczerze odparł Willy.

Wszyscy się uśmiechnęli, lecz po prawdzie nie bez wysiłku, bo w tym miejscu
czuli się bardzo nieswojo. Smród omal ich nie zadusił.

- Myślicie, że rycerze wiedzieli o tej jamie? - spytał Dolg, zerkając w mroczną
czeluść.

Móri odparł:

- Pokrywa nie była aż tak bardzo ukryta, ktoś w każdym razie musiał znać to zejście. Pamiętajcie o śladach!

We wszystkich odżyła ta sama nadzieja: kamień Ordogno. Nie było przecież wcale pewne, że rycerzom wpadło do głowy szukać go akurat tutaj. Nie wiedzieli przecież, że został ukryty gdzieś w pobliżu.

- Myślicie, że on jest tam na dole? - szepnął Willy.

- Być może - odpowiedział Móri. - Przeszukaliśmy wszak całe Deobrigula, jak Rzymianie nazywali kiedyś twierdzę Burgos. Została tylko ta jama. Dlaczego więc nie?

Nero wzbraniał się przed zejściem na dół, co było dość niezwykle. Jako typowy pies tropiący zawsze chciał pierwszy zbadać teren.

- Schodzę - zdecydował Móri.

- Tu nie ma schodów ani drabiny - uprzedził Siegbert. - A wydaje się, że jest dość głęboko.

- Zabrałeś przecież linę.

Móri obwiązał się sznurem w pasie, towarzysze mocno go trzymali.

- Głęboko - mruknął Móri. - Ciekawe, jak głęboko. Daj mi pochodnię, Siegbercie!

- Tylko nie przypal liny - ostrzegł ojca Dolg i wszyscy czterej wybuchnęli śmiechem.

Nie wiedzieli, że upłynie wiele czasu, zanim znów będą mogli się śmiać.

- Faj! Co za odór! - sapnął Móri. - Nie zachęca do wejścia! Dobrze, jestem gotowy! Spuścili go na dół, ostrożnie, powoli, to luzowali linę, to ją przytrzymywali, aż paliła im dłonie.

- Rzeczywiście, głęboko - cichym głosem powiedział Siegbert.

Nagle usłyszeli głośny, pełen obrzydzenia okrzyk Móriego.

- Co się stało?

- Wyciągnijcie mnie! Prędko! Tu nie ma kamienia Ordogno! A nawet jeśli jest, to w ogóle mnie nie obchodzi. O Boże, dobry Boże. Do góry!

Ton jego głosu wskazywał, że przeżył wielki wstrząs, przerazili się, iż ze strachu puści linę i pochodnię. Wyciągnęli go więc najprędzej jak tylko mogli.

Wreszcie wyłonił się nad krawędzią. Szybko pomogli mu stanąć na nogi.

- Zasuńcie pokrywę - nakazał szeptem. - Szybko! Chcę stąd jak najszybciej odejść!

Chwilę później znaleźli się już w zewnętrznym korytarzu. Zatarli za sobą ślady, zabarykadowali drzwi, przesunęli szafę na jej dawne miejsce.

- Musimy stąd odejść, wydostać się na światło dzienne - wyjęczał biały jak kreda Móri.

- No a szafa? Kamień Ordogno? Nie otworzymy jej i nie przeszukamy?

Oczy Móriego płonęły rozpaczą.

- Chyba nie ukryli tam kamienia, skoro szukają go z jeszcze większą determinacją niż my? Poza tym nie obchodzi mnie ani ta szafa, ani kamień. W szafie na pewno są po prostu jakieś błazeńskie kostiumy braci albo inne temu podobne rekwizyty.

Chodźcie! Idziemy na górę!

Spieszyło mu się tak, że pozostali musieli jak najprędzej uporządkować wielką salę i pozamykać wszystko. Móri czekał na nich, z niecierpliwości nie mogąc ustać w miejscu.

- Nie zabierasz "Rödskinny", ojczy? - zawołał Dolg.

- Nie! - krzyknął Móri. - A zresztą zabierz ją, spalimy tę przeklętą czartowską księgę!

Dolg był wstrząśnięty. Ojciec wszak nigdy nie przeklinał!

Dopiero gdy znaleźli się na szczycie góry i schodzili ku miastu, Móri zaczął mówić urywanymi zdaniami:

- Pamiętacie opowieść Heinricha Reussa? O człowieku, którego ścięto? Tam gdzie stał? Zginął na miejscu. Dlatego, że próbował podglądać. Po drodze.

- Tak?

- On był tam na dole. Wśród wielu innych.

Zamarli, a Móri podjął opowieść, choć udręka ledwie pozwalała mu zapanować nad głosem.

- Z niektórych zostały same szkielety. Na zwłokach innych jeszcze zachowało się ubranie, jedni mieli głowy, inni nie.

- Członkowie Zakonu, którzy nie poddali się regułom? - spytał Willy.

- Tak, i inni zwyczajni ludzie, którzy stanęli Zakonowi na drodze. Tacy jak Tiril - załkał bliski załamania. - Gdybyśmy jej nie znaleźli...

- O Boże - szepnął Siegbert. Zawsze bardzo lubił młodą panią Tiril.

Dolg usłyszał, jak ojciec mówi, że nic już go nie obchodzi kamień Ordogno, że ma dość Zakonu Świętego Słońca. Ale chłopiec myślał tylko o matce, którą podczas następnego zgromadzenia Zakonu miano postawić przed sądem. Wsunął rączkę w dłoń ojca.

- Mama jest już bezpieczna.

- Mam nadzieję - szepnął Móri. - Na Boga, mam nadzieję, że tak jest!

Wrócili do gospody akurat na śniadanie. Goście weselni jednak wciąż jeszcze tam bawili i ci, co już jako tako wytrzeźwieli, znów zajęli salę jadalną.

Móri i jego przyjaciele zapewnili, że chętnie zjedzą w ogrodzie.

Podobało im się tam, bo mogli swobodnie ze sobą rozmawiać, nikt im nie przeszkadzał, nikt się im nie przyglądał oprócz służącej, która tylko od czasu do czasu sprawdzała, czy mają wszystko, czego potrzebują.

Jedynie Dolg z uporem twierdził, podobnie jak przy kolacji poprzedniego dnia, że coś jest nie tak. Móri, który wciąż nie mógł odzyskać równowagi, z całych sił musiał się hamować, by nie ofuknąć syna.

- Wyśmienite śniadanie - pochwalił Willy.

- Rzeczywiście, bardzo smaczne - przyznał Siegbert, zabierając się do trzeciej porcji jajek na szynce.

Móri nie miał ochoty na jedzenie. Obrazy ujrzone w najniższej piwnicy nie schodziły mu z myśli. Siedział tylko, krusząc w palcach kawałek białego chleba.

Te wszystkie nieszczęsne istoty. Gdyby w czas nie odnaleźli Tiril...

- Nie, Nero, pod tamtym kamieniem - szepnął Dolg.
- Dolg, nie rzucaj psu jedzenia pod stół - odruchowo upomniał go Móri.
- Samo spadło, taki duży smaczny kawałek, po prostu spadł. A Nero nie może go znaleźć.

- Pokaż mu go więc. Nie możemy tak śmiecić dookoła.

Dolg zsunął się z kamiennej ławy pod stół.

- Tutaj, Nero, tutaj!

Uszczęśliwiony pies znalazł wreszcie kąsek.

Dolg, wstając, huknął głową w kamienną płytę.

- Au! - jęknął, podnosząc wzrok na tę niemądrą płytę, która tak go uderzyła. - Ale tu ciasno...

Po dość długiej chwili Móri się zaniepokoił:

- Dolg? Co się z tobą stało? Masz zamiar spać pod tym stołem?

- Ojczy - głos chłopca zabrzmiał dziwnie głucho.

- Co się stało?

- Ojczy, Willy, Siegbercie...

- Co takiego?

- Ja czytam.

- Co? Co robisz?

- Czytam. Ale nic z tego nie rozumiem.

- Oszalałeś, chłopczy? - Móri zajrzał pod stół, ale zobaczył jedynie stopy syna.

- Nie. Tylko strasznie tu tego dużo i takie drobne pismo. I dziwne, Willy, chodź tutaj, ty znasz hiszpański.

Willy niczego nie rozumiejąc popatrzył na pozostałych mężczyzn. Móri i Siegbert odpowiedzieli mu równie niepewnym spojrzeniem.

W końcu zsunął się na dół.

- O co ci chodzi, Dolgu?

Willy wpelzł pod stół i podniósł wzrok na kamienną płytę. Na chwilę odebrało mu mowę, ale zaraz zaczął głośno czytać:

Yo, Ordogno el Grande, el Rey de Leon...

- Co takiego? - wykrzyknął oszołomiony Móri.

Willy wystawił głowę.

- Móri, Siegbercie. Zajadaliśmy sobie szynkę na kamieniu Ordogno.

Rozdział 18

Wszyscy czterej leżeli pod stołem, a przejęty Nero lizał ich po odwróconych do góry twarzach.

Było rzeczywiście ciasno. Wokół spodniej strony płyty biegła krawędź, mająca najwidoczniej chronić napis przed oczami niepowołanych i przed zatarciem. W dodatku z upływem lat fundament płyty zapadł się w ziemię, niewiele więc pozostawało pod nią miejsca.

Móri kichnął i otarł twarz.

- Ależ, Nero! Odejdź!

Napis sporządzono swoistym pismem runicznym, przypominającym nieco skandynawskie runy, lecz bardziej podobnym do współczesnych liter, tylko trochę stylizowanych. Niektóre znaki sprawiały spory kłopot, dopiero z pomocą Willy'ego odgadli, co mogą oznaczać. Napis był delikatniejszy niż runy skandynawskie, nie tak głęboko wryty.

- Piszmy prędko, zanim ktoś przyjdzie - upomniał Móri.

- No tak, bo całego stołu nie możemy ze sobą zabrać - roześmiał się Siegbert, jak inni uradowany znaleziskiem. Ponieważ umiejętność pisania nie była mu szczególnie bliska, przydzielono mu najłatwiejszą część. Z zapalem przerysowywał "figurki", jak określał litery.

- Rzeczywiście, zabrać go nie możemy - przyznał Móri. - Dolgu, jesteś po prostu aniołem!

- Nero także. Bez niego...

- Wiem, wiem. I bez Willy "ego, który zna hiszpański. I beze mnie, i Siegberta...

Bez nas, którzy do niczego się nie przyczyniliśmy.

- O, my mnóstwo robimy, panie Móri - rzekł z przekonaniem Siegbert, bardzo zajęty kopiowaniem swojej części kamiennej płyty. - Ta krawędź dookoła dobrze chroniła napis przed odkryciem, ale teraz przeszkadza. Nie, panie Móri, wszyscy bardzo wiele zrobiliśmy!

- To prawda! - roześmiał się podniecony i uradowany Móri. - Mamy już całość?

- Moja część jest już gotowa - oznajmił Willy.

- I moja - oświadczył Siegbert. - Ale współczuję temu, któremu przyjdzie odcyfrować te bazgroły.

- Jeszcze chwileczkę - poprosił Dolg. - No, skończyłem.

- Ja też - mruknął Móri. - Kamienna podpora zasłania fragment, ale chyba niewielki. Wystająca krawędź wiele uratowała.

- U mnie brak tylko jednego słowa - dodał Willy. - Ale domyślam się, jakiego.

- A u mnie pod podporą jest chyba tylko znak Słońca - stwierdził Siegbert.

- U mnie nie brakuje niczego - stwierdził Dolg.

- W mojej części zasłonięty jest tylko podpis - powiedział Móri. - A on, zdaje się, brzmi "Ordogno el Grandę". Phi, on wcale nie był "Wielki". Sam się tak nazwał. Potomność nazwała go "Złym".

Wszyscy wstali z ziemi.

- Na razie nic nie powiemy oberżyscie. Wiem, że to pomnik historii, ale przemilczymy znalezisko, dopóki nie pokonamy Zakonu, dobrze?

Pokiwali głowami.

Kiedy już mieli opuszczać oberżę, Móri z pozoru obojętnie zwrócił się do gospodarza:

- Wspaniały stół ma pan w ogrodzie. Skąd się tu wziął?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Od zawsze tu był. Chociaż nie, mówię nieprawdę. Dziad opowiadał mi kiedyś, że jacyś nasi przodkowie znaleźli tę płytę. Ułożyli ją na czterech kamiennych podporach. Chyba uważali, że płyta kiedyś stała, lecz w końcu upadła płasko na ziemię.

- Cóż, tak przemija sława świata.

Móri, w pełni świadom, że gospoda leży na terenie, jaki musiała kiedyś obejmować twierdza, Deobrigula, podjął:

- Płyta jest jakby stworzona na stół. Idealnie płaska.

- To prawda. Podobno kiedyś jakaś służąca bredziła coś o znakach na nim, ale chyba miała omamy. - Gospodarz śmiał się serdecznie. - Płyta jest przecież płaska jak podłoga do tańca!

- Oczywiście! - zawtórował mu Móri.

Opuścili Burgos. Piękne miasto, lecz rozstali się z nim bez żalu.

Zatrzymali się dopiero, gdy dotarli do wietrznego wzgórza na równinach Kastylii, z dala od ludzi. Dzień chylił się ku zachodowi, ale słońce jeszcze grzało.

- Piękny kraj - stwierdził Móri, zapatrzonej w szeroką dolinę, którą płynęła rzeka, może Ebro. Nie byli do końca pewni, gdzie się znajdują. - Piękny, dziki i bezlitosny ze swą nagością, potwornym żarem i lodowatym zimnem.

- To prawda - przyznał Willy. - Nie za dobrze się dla mnie stało, że tu przyjechałem. Poczulem się jak w domu. Ta przyroda, ludzie. Jestem częścią tego kraju.

Móri popatrzył na niego i uśmiechnął się ze smutkiem.

- Dobrze cię rozumiem. Pejzaż islandzki przypomina trochę ten tutaj, tylko ziemia nie jest wypalona słońcem. Co prawda Islandię stworzył ogień, lecz ostudziły ją lodowate wichry, nie pozwalające rosnać roślinom. Ale tam jest mój dom.

- Tak, tak - pokiwał głową Willy.

Nie spieszyli się, jakby chcieli jak najdalej odsunąć ów niezwykle interesujący moment. Ale kiedy już się posilili, zasiedli, aby przyjrzeć się zapiskom sporządzonym na czterech kawałkach papieru.

Spora część z tego, co przepisali, nakładała się na siebie, mieli więc niezłą łamigłówkę już przy układaniu własnych notatek. Wreszcie jednak Willy zapanował nad całością.

Zaczył czytać:

- "Ja, Ordogno Wielki, król Leon, dziedzic Kastylii, syn Alfonsa Czwartego, który był synem Ordogno Drugiego, syna Alfonsa Wielkiego, syna..."
- Na miłość boską! - nie wytrzymał Móri. - Nie zużył chyba całego miejsca na przedstawienie swego drzewa genealogicznego!
- Niestety, muszę przyznać, że tak właśnie jest. Spróbuję jakoś ominąć te koligacje. Wymienia królów z rodu Wizygotów: Rekkared, Alamaryk, Alaryk, Teodoryk... Piękne nazwiska. Ale mam już dość jego przodków! No, nareszcie coś innego.
- Najwyższy czas - mruknął Siegbert.
- Słuchajcie, słuchajcie! - zapalił się Willy. - "Ja, władca nad czasem i przestrzenią, znający wielką tajemnicę, założyciel Zakonu Słońca..."
- Hurrra! - zawołał Dolg.
- "...jego najpotężniejszy obrońca i wielki mistrz..."
- Och, pora już skończyć z tymi przechwałkami - zniecierpliwiał się Móri.
- On już niedługo kończy - usprawiedliwiał się Willy. - "Yo, Ordogno", przepraszam, zapomniałem się. "Ja, Ordogno, nie mający sobie równych..."
- Co dalej? - zawołali podnieceni, pochylając się bardziej w przód.
- "...zapisalem i ukryłem przed oczami niepowołanych. Dziedziczyć je mają tylko wielcy mistrzowie Zakonu Świętego Słońca i moi świeccy potomkowie. Oby moja tajemnica nigdy nie wpadła w ręce tysiącom niewtajemniczonych bez znaczenia. Są pokonane prastarymi czarami wykonanymi moimi rękoma. Niech więc się strzeże niewtajemniczony, który zbliży się do wielkiej tajemniczej księgi. Ordogno Wielki, równy bogom".
- Usiedli już normalnie, na suchej gliniastej ziemi, na której rosnać mogły tylko osty. Żar w ich oczach przygasł.
- A więc stoimy w tym samym miejscu - pokiwał głową Siegbert.
- Trwali w milczeniu. Wreszcie Móri rzekł cicho, jakby przekonanie płynęło z głębi jego ducha:
- Nie. Wcale nie. Posunęliśmy się dalej.

Patrzyli na niego nic nie rozumiejąc.

- Istnieją dwie! Muszą istnieć dwie!

- No tak, ale przecież zniszczył oryginał.

- Nie, nie! Nie słyszeliście? On mówi: "dziedziczyć je mają..." A później tajemnicze: "Są pokonane prastarymi czarami..." z początku sądziłem, że ma na myśli te tysiące ludzi bez znaczenia.

- Ja też tak myślałem - powiedział Siegbert.

- Łatwo tak przypuszczać. Ale on wcale nie ich ma na myśli. Mówi następnie: "niech się strzeże niewtajemniczony..." i tak dalej. Przez cały czas mówi o dwóch księgach. Przepisał oryginał i ukrył go, bo rozróżnia swych duchowych braci - członków Zakonu, od swoich świeckich potomków. Księga Zakonu przepadła w Tiersteingram, wiemy o tym lepiej niż inni. A ta druga? Ta przeznaczona dla świeckich? Willy, w następnym mieście musisz dotrzeć do drzewa genealogicznego dynastii królewskiej z Leon. Stwierdzimy, kto był następcą Ordogno Złego i dalej. Szkoda, że nie jesteśmy w Leon, ale żeby tam dotrzeć, musielibyśmy jechać jeszcze dalej na zachód, a teraz już nie będziemy się cofać. Wracamy do domu!

- Amen! - wyrwało się Siegbertowi z głębi serca.

Podnieśli się i dosiedli koni.

- Nic dziwnego, że nasi wrogowie szukali kamienia Ordogno - powiedział Móri, gdy już ruszyli. - Ordogno znał całą tę starą historię od samego początku.

Wiedział, skąd się to wszystko wzięło, gdzie jest samo Święte Słońce. Musieli jednak przypuszczać podobnie jak my, że całą historię zapisano na kamieniu. A Ordogno na kamieniu jedynie wspomina, że zapis historii rzeczywiście istnieje, lecz nie mówi, gdzie.

- Musieli ją znać wielcy mistrzowie - stwierdził Willy. - Aż do czasu, gdy księga przepadła w Tiersteingram.

- Tak - przyznał Móri. - Ale hrabiowie Tirestein żyli ledwie sto lat po Ordogno. Ich księga zniknęła. Ale gdzie, gdzie podziła się ta druga?

- Prawdopodobnie już dawno temu uległa zniszczeniu - zauważył Dolg.
 - Czy musisz całkiem odbierać nam nadzieję? - spytał Móri z uśmiechem. - Ale pewnie masz rację.
- Zamyśleni jechali dalej.
- Nazwał się "dziedzicem Kastylia" - powiedział nagle Willy. - O co mu w tym chodziło?
 - Jego żona, donn Urraca, pochodziła stamtąd. Była córką władcy Kastylia, jeszcze zanim Kastylia została królestwem. Ordogno przypuszczał pewnie, że zagarnie także i ten kraj.
 - Prawdopodobnie - przyznał Willy. - Może przez zamordowanie prawowitego następcy tronu?
 - Rzeczywiście łatwo to sobie wyobrazić - cierpko zauważył Móri. - Ale to mu się nie powiodło. Cóż, na horyzoncie widać miasto. Jedziemy.
- Po przybyciu do miasta zaraz zaczęli się rozglądać za biblioteką. Okazało się to jednak dość trudne, bo jedyna istniejąca tu biblioteka była własnością prywatną, ponadto okazała się niezbyt obszerna. Ale jej właściciel, grand, szlachcic, życzliwie zaprosił ich do środka. A gdy usłyszał, czego szukają, uśmiechnął się i stwierdził, że do tego nie potrzeba biblioteki. Sam grand wywodził się także z królewskiego rodu i potrafił wyliczyć wszystkich królów.
- Ordogno Zły? - powtórzył, gdy zasiedli w jego eleganckim salonie. - Nie miał potomków. Pewnie nie zdążył. Był królem zaledwie przez kilka lat i nie zdołał osiągnąć nic poza zdobyciem przydomka "Zły". Nie wiem nic na pewno, ale potrafię sobie wyobrazić, że któryś z jego poddanych miał dosyć czynionego przezeń zła i wsypał mu trucizny do zupy. Bardzo nieprzyjemna osobistość!
 - Miał świetnych przodków - stwierdził Móri. - Królów wizygockich.
 - O, tak, rzeczywiście. Bardzo dobrze znam gockie koligacje królewskie.
 - Tak, tak - pokiwał głową Willy. - Zapisał całe swoje drzewo genealogiczne na pomniku, który po sobie zostawił. Nie mieliśmy sił, by to wszystko przeczytać.

- Interesujące - mruknął grand. - Ale wcale mnie nie dziwi, że tak zrobił. Znany był z ogromnej pychy. Tak, tak, wywodził się z tej plątaniny Ostrogotów i Wizygotów, Heruli i Wandali. Całego tego tałatajstwa z okolic Morza Bałtyckiego.

Przepraszam za to określenie, być może trochę niesprawiedliwe, ale doprawdy, bardzo śmiało sobie poczynali w Europie. Przybyli wszak aż tutaj. Pochodzili z Rugii i Turyngii, Jutlandii, Skanii, Norwegii, Finlandii, Gotlandii i Trewiru, zewsząd, jak się tam nazywały krainy na północy. Może i nie byli źli, ale czego tu szukali? Na retoryczne pytanie nikt nie próbował nawet odpowiedzieć.

Mórego bardziej zainteresowało, jaki władca nastąpił w Leon po Ordogno Złym.

- Sancho Otyły - odparł grand. - Był królem zarówno przed, jak i po Ordogno, który wtrącił swego kuzyna do lochu, aby przejąć tron. Ordogno jednak został prawdopodobnie zamordowany i tłustego Sancho wyciągnięto z piwnicy. Można przypuszczać, że dzięki pobytowi w więzieniu król przynajmniej trochę schudł. Ale o tym historia milczy. Po nim było jeszcze kilku królów, aż wreszcie pewna księżniczka poślubiła pierwszego króla Kastylii, Ferdynanda Pierwszego i w ten sposób oba królestwa, Leon i Kastylija, się połączyły.

Móri zamyślił się. Należało w jakiś sposób się dowiedzieć, co stało się z drugą księżką, tą należącą do rodziny, prześledzić jej losy, sprawdzić, czy wciąż istnieje.

- Jaśnie panie - zdecydowanie zwrócił się do granda. - Czy mogę prosić o wielką przysługę?

Szlachcic czekał w milczeniu.

- Czy podejmie się pan spisania dla nas wszystkich królów Kastylii? Tych, którzy panowali po Ferdynandzie Pierwszym?

Grand rozjaśnił się.

- Z radością! Ale potrzeba mi na to kilku godzin!

- Oczywiście. Znajdziemy gospodę i...

- Och, przenocujecie u mnie, na nic innego się nie zgadzam.

Przyjęli zaproszenie z podziękowaniem.

Dolg, któremu z myśli nie schodzili wielcy mistrzowie Zakonu Słońca, spytał nieśmiało:

- Przepraszam, a czy wśród królów Kastylii był także Pedro Okrutny?

- Tak - westchnął grand. - I my mieliśmy swoje czarne owce.

Dolg kiwnął tylko głową i uśmiechnął się łagodnie. Grandowi na ten widok łzy zakręciły się w oczach. Cóż za dziwny chłopiec! I taki miły, taki dobry!

Następnego dnia rano pożegnali się z gościnnym Hiszpanem. Szlachcic wręczył im zwój, nad którym pracował przez pół nocy. O tym jednak nie wspominał, cieszył się tylko, że mógł komuś służyć radą, podzielić się niepotrzebnymi, jak by się wydawało, informacjami.

Móri umieścił zwój w torbie przytroczonej do siodła. Po powrocie do Theresenhof dokładnie się temu przyjrzą. Teraz nie chcieli już się zajmować niczym innym, tylko jechać prosto do domu!

Rozdział 19

Grupa, w której podróżowała Tiril, wolno posuwała się naprzód. Całym sercem pragnęli już być w domu! Tiril jednak czuła się tak źle, że wiele razy po drodze musieli się zatrzymać na dłużej, niż planowali.

Wciąż jednak tliło się w niej życie i to było najważniejsze.

Nie dało się uniknąć przejazdu przez obszary niebezpieczne. Podróż wzdłuż wybrzeża Francji i dalej przebiegła bez przeszkód. Potem jednak musieli przebyć Szwajcarię, a następnie Austrię.

Tam roilo się przecież od sprzymierzeńców Zakonu Świętego Słońca, ludzi przez Zakon oplacanych lub zastraszonej perspektywą śmierci i wiecznego potępienia. Nigdy jeszcze nie uczestniczyli w bardziej szarpiącej nerwy podróży, przemykali się małymi bocznymi drogami, w każdej chwili spodziewając się, że zostaną odkryci.

Ale do domu dotarli.

Gdy w oddali “zobaczyli dachy Theresenhof, wszyscy odetchnęli z ulgą. Tiril była nieprzytomna, ale okropna podróż nareszcie dobiegła końca i teraz będą mogli lepiej się nią zająć.

Erling i Theresa jechali razem, oboje bardzo zdenerwowani.

- Myślisz, że nas poznają? - cicho spytała Theresa.

- Mam nadzieję - odparł Erling. - Mam nadzieję, że odzyskali spokój i dobrze im w Theresenhof.

- O to się nie martwię - zapewniała go Theresa. - Panna pokojowa Edith obiecała się nimi zająć, polubiła je już w Virneburg i można jej zaufać, przynajmniej dopóki Bernda nie ma w pobliżu. Ale oczywiście także jestem pełna obaw. Niełatwo jest tak nagle zostać matką dwojga dość dużych już dzieci.

- No tak, a ja nigdy jeszcze nie byłem ojcem, bardzo się więc denerwuję. - Erling uśmiechnął się zażenowany. - Ale przecież Taran i Villemann przebywali z nimi przez cały czas, na pewno więc jakoś sobie poradzili.

- Wszystko ułoży się dobrze, zobaczysz - powiedziała Theresa bez przekonania. Wkrótce już znaleźli się na dziedzińcu i zapanował kompletny chaos. Villemann i Taran ze swymi uściskami i okrzykami radości byli po prostu wszędzie. Tiril natychmiast przeniesiono do jej pokoju, a dzieci dopytywały się o Nera, Dolga, ojca, Willy’ego i Siegberta; w takiej właśnie kolejności. Taran natychmiast pokochała osiołka.

Erling i Theresa, usiłując wyjaśniać i odpowiadać na wszystkie pytania, rozglądali się za nowymi dziećmi.

Rafael i Danielle stanęli z boku na progu domu, niepewni i drżący. Theresa zdołała się wreszcie wyrwać z objęć wnucząt i podeszła do nich. Erling ruszył za nią.

Dzieci uśmiechnęły się, ale w tym uśmiechu dało się wyczytać pytanie:

“Pamiętacie nas? Żałujecie, że nas zabraliście?”

To zdecydowało o wszystkim. Erling i Theresa pochwycili po jednym dziecku w objęcia i szepnęli im do ucha:

- Bardzo wiele o was myśleliśmy. Tęskniliśmy za wami. Jak wam się tu powodziło? Dzieci się rozpromieniły. A potem jedno przez drugie zaczęły opowiadać o tym, co przeżyły razem z Taran i Villemannem. Theresa nawet przez moment nie wątpiła w historię o duchach, od których słuchającym włos jeżył się na głowie, o szaleńczych wyprawach i malutkich zwierzątkach, o narodzinach cieląt i rozmaitych psikusach.

Popatrzyła na Erlinga.

- Dobrze im tutaj - stwierdziła.

A Erling po prostu się uśmiechnął.

Tiril zaopiekowano się najlepiej, jak umiano, ale to nie wystarczyło. Leżała, z trudem chwytając powietrze, jak gdyby oddychała zaledwie niedużą częścią płuc, i co chwila zanosila się chrapliwym kaszlem.

Podróż do domu jednak przeciągnęła się na tyle, że na drugi dzień po ich powrocie zjawił się Móri ze swymi towarzyszami. Przyjechali zmęczeni długą jazdą, ale uszczęśliwieni, że wreszcie dotarli do Theresenhof.

- Niebieski kamień, Dolgu! - zdecydował Móri patrząc na nieprzytomną Tiril. - Czarnoksiężskie zaklęcia nic tutaj nie pomogą.

Zostawiono Dolga samego z matką.

Tiril znajdowała się w niezwykłym miejscu, którego nie potrafiła rozpoznać. Być może był to widok ze snu, a być może coś więcej.

Dreszcze ustały. Leżała teraz spokojnie, jakby unosiła się w przyjemnym ciepłe troskliwości. Bólów w piersi już nie odczuwała, przestała odbierać wrażenia przez zwyczajne ziemskie zmysły. Teraz działało to, co określa się szóstym zmysłem, powiązanie z innymi wymiarami.

Wokół panował półmrok. W świecie snów nie istnieją ostre barwy, wszystko utkane jest z półtonów. Tak też widziała to Tiril, choć przekroczyła już stadium snu i zeszła głębiej.

Dostrzegala jakies istoty. Żalące się, pokorne kobiety? Tak, właśnie tak. Tiril zbliżyła się do jednej z nich, niezwyklej, jakby pozbawionej substancji niewiasty o

długich ciemnych włosach i niebieskawej sukni, nasuwającej skojarzenie z całunem. Gdy Tiril do niej podeszła, kobieta odwróciła ku niej zasmuconą, nieszczęśliwą twarz, na której malowało się pytanie, i zaraz się odsunęła.

- Spójrz na mnie - łagodnie poprosiła Tiril.

Postać zniknęła.

Tiril szła dalej. Zorientowała się, że nie wszystkie te kobiety są nieszczęśliwe. Owszem, sporo było zastraszonych, przerażająco chudych i posiniaczonych. Ale od innych biła swoista duma, a z ich twarzy nie znikał uśmiech, choć wydawało się, że w taki czy inny sposób cierpią.

Tiril nie mogła tego pojąć.

- Kim jesteście? - pytała.

Gdy tylko jednak wypowiadała te słowa, ta, do której były skierowane, zniknęła. Posuwistym ruchem wtapiała się w ciemność, jak gdyby chciała stać się jak najmniejsza, niewidzialna.

Wreszcie Tiril zrozumiała. To były te, które same siebie niszczyły, zawsze i za wszystko brały całą winę na siebie. Takie, które podobają się brutalnym mężczyznom, być może ze względu na swoje oddanie, na gotowość ponoszenia wszelkich ofiar. Takie, które mężczyźni szczególnie źle traktują. Im bardziej starają się pozostać w cieniu, tym mocniej mężczyźni je biją.

Ich własne dzieci często je wykorzystują. Krzyczą na nie, czyniąc z nich niewolnice, usługujące im nawet kiedy już dorosną.

Widok kolejnej postaci przyprawił Tiril o prawdziwy wstrząs. Jedną z kobiet była bardzo młoda, jasnowłosa piękność.

- Och, nie! - jęknęła Tiril.

Jej własna siostra, Carla. Wykorzystana, nieszczęsna Carla, która w końcu odebrała sobie życie.

Tiril uklękła przed siostrą, z płaczem próbowała do niej mówić, ale Carla od razu się odsunęła, niszczone przekonaniem, że wszystko było tylko jej winą.

- Ale to nieprawda! - z rozpaczą zawołała za nią Tiril.

Została sama. Wszystkie kobiety zniknęły.

Widziała także mężczyzn, małych chłopców, wszystkich, którzy pragną uczynić coś dla innych, a spotykają się jedynie z drwinami i wyzwiskami.

Coś zaczęło się dziać wokół Tiril.

Starła się wyrwać z koszmaru, uciec od tego, co widziała. Płuca ciężko pracowały, na tyle, na ile jeszcze mogły.

Nie znajdowała się już w innym wymiarze, pierwszy raz od dawna przeżywała rzeczywistość.

O, tak, zabierzcie ode mnie wszystkie te dręczące wizje, prosiła w duchu, nagle bowiem uświadomiła sobie, że ten ostatni koszmar nie był odosobniony, gdy jeden się kończył, zaczynał się drugi.

Poczuła, że płacze nad zmarłą siostrą, która opuściła ziemię już tak dawno temu.

Dlaczego człowiek nie może naprawić swoich czynów? zastanawiała się.

Dlaczego ludzie muszą umierać w samotności, nie wiedząc, jak bardzo inni ich kochają?

Płacz spotęgował jej cierpienie. Słaby organizm nie mógł znieść takiego wysiłku, ból szarpał pierś.

A może...?

Ból ustępuje! Czy ja umieram?

Nie. Miała wrażenie, że przenika ją jasne, delikatne światło, łagodzące wszelkie dolegliwości. Mózg zaczął pracować normalnie, zarejestrował...

Jakiś głos?

Dziecinny, monotonicznie cały czas powtarzający jedną formułę gdzieś w pobliżu.

Siła i ciepło wnikały w nią, pod skórę, budziły zmysły.

Dolg?

Otworzyła oczy. Starczyło jej na to siły. Widziała też wyraźnie.

Uśmiechnęła się do swego niezwykłego syna. Jego buzia promieniała radością, kiedy zobaczył matkę przytomną.

Tiril ujrzała olbrzymi szafir w dłoniach chłopca. Wiedziała, że to on ją uzdrowił.

- Dziękuję - szepnęła.

- Zawołam ojca - powiedział wzruszony Dolg.

Kiedy wyszedł, Tiril popatrzyła na sufit. Znajdowała się w domu, w Theresenhof.

Móri także tu był. Westchnęła i zamknęła oczy.

Jak to dobrze!

Podobnie poczuli i inni, słysząc, że Tiril jest ocalona.

Wszyscy bezpiecznie wrócili do domu.

Trwający wiele tygodni koszmar nareszcie się skończył.

Rozdział 20

Następnego dnia Tiril nabrała już sił na tyle, że mogła, oparta o poduszki i starannie opatulona, siedzieć na sofie w salonie.

Zebrali się tam wszyscy, którzy brali udział w wyprawie. Dolg szeptem poprosił, aby i młodszym dzieciom pozwolono przysłuchiwać się rozmowie. Cała piątka usiadła na drugiej kanapie i nie było wątpliwości, które z dzieci uznawane jest przez pozostałe za bohatera. Czworo dopominało się, by siedzieć jak najbliżej Dolga. Dziewczynki wygrały. Ukradkiem trzymały go za ręce, zerkały zazdrośnie jedna na drugą. Dolg czuł się trochę nieswojo, bo nie przywykł, by poświęcano mu tyle uwagi. Delikatnie oswobodził dłonie.

Kanapy i krzesła ustawiono kołem, aby nikt nie poczuł się dotknięty, a na środku umieszczono niski stolik. Byli tam oczywiście czterej gwardziści, Siegbert i Bernd, a także panna Edith i służący, chociaż oni uczestniczyli w wyprawie tylko na samym początku. Na miejscu znaleźli się także wszyscy członkowie rodziny, Nero ułożył się pod stołem, zadowolony, że nikogo z najbliższych nie brakuje.

Zapadł wieczór, zjedzono już kolację. Zebranie mogło się rozpocząć.

- Mamy dwa najważniejsze pytania - zabrał głos Móri. - Pierwsze: skąd wzięła się oryginalna księga? W jaki sposób dostała się w ręce Ordogno? A drugie pytanie brzmi oczywiście: co się stało z tą, którą mieli odziedziczyć potomkowie Ordogno?

- Jest jeszcze trzecie - uzupełnił Erling. - Która z dwóch ksiąg była oryginałem?

- Rzeczywiście, to bardzo istotna kwestia - kiwnął głową Móri.

Siedzieli w milczeniu.

- Chyba potrafię to zgadnąć - oznajmiła Tiril.

Wszyscy odwrócili się w jej stronę. Była bardzo chuda i blada, włosy nie miały blasku, a jednak wyglądała na o wiele zdrowszą.

- Pamiętacie księgę, którą widzieliśmy w Tiersteingram? Kiedy duchy zabrały nas w czasy hrabiów Tierstein?

- Jak mógłbym kiedykolwiek o tym zapomnieć? - obruszył się Móri z goryczą. -

Wszystko wtedy przecież zepsułem, bo chciałem otworzyć księgę. Sądziłem, że ta księga mówi o kamieniu. Ale tak wcale nie było. Przypomnijcie sobie, co było na oprawie! Promieniste słońce i napis: "STAIN ORDOGNO" i "DEOBRIGULA".

- No, tak - powiedział Erling.

- I co wam to mówi?

Twarz Móriego się rozjaśniła.

- Że słowa napisał jeden z wielkich mistrzów, którzy przyszli po Ordogno.

Tiril kiwnęła głową.

- Ale czy ktoś napisałby to na oryginale?

Teraz wszyscy już się uśmiechnęli.

- Nie, oczywiście, że nie!

- A więc własnością Zakonu była kopia - oświadczyła Theresa. - A to znaczy, że ukryty oryginał odziedziczył jego potomek, ktoś z rodziny.

- Tak - zamyślił się Erling. - Sądzę jednak, że nie został schowany. Ordogno sam wyrył na kamieniu, że księga ma pozostać w rodzie. Musimy najpierw odnaleźć kolejnych władców zasiadających na tronie Leon. Mamy ich tutaj, spisanych na pergaminie przez hiszpańskiego granda.

Erling już sięgnął po zwój, ale Móri go powstrzymał.

- Czy nie powinniśmy zająć się rozważeniem pierwszego pytania? Skąd wziął się oryginał, w jaki sposób trafił do Ordogno Złego?

- Oczywiście, masz rację - przyznał Erling.

- Księga pochodziła chyba ze starożytnego Rzymu? - spytała Tiril. - Zawsze tak przypuszczaliśmy. A teraz jeszcze Dolg odnalazł znak Słońca, wywodzący się stamtąd...

- Nie wydaje mi się, aby znak Słońca miał zbyt wiele wspólnego z księgą - stwierdził Móri. - Owszem, w pewnym sensie, na początku tak pewnie było. Ale później te rzeczy wędrowały oddzielnymi drogami, tak zresztą jak i niebieski kamień, który trafił na bagna gdzieś w Austrii.

- Jakie jest więc twoje zdanie? - dopytywał się Erling. - Skąd się wzięła oryginalna księga?

Móri wziął głęboki oddech.

- Czy nic was w tym wszystkim nie uderza?

- A co by to miało być?

- Czy nie zauważyliście, jak często pojawia się tu Morze Bałtyckie? I północne krainy? Stąd pochodzili Goci, Teutonowie także. Hrabowie Tierstein, którzy przeczytali księgę Ordogno, pojechali do Tiveden, bezludnych leśnych obszarów w Szwecji. Saga opowiada o podróży samotnego króla na północ.

- Chcesz powiedzieć, że... że morze, które nie istnieje, to po prostu Bałtyk?

- Nie, aż tak daleko bym się nie posunął. Poza tym to się nie zgadza, bo ludzie znali Bałtyk także w dawnych czasach. Ale prawdą jest, że wszystkie ślady prowadzą na północ.

- Masz rację.

Móri i Tiril porozumieli się spojrzeniem. Odczuli tę samą tęsknotę i tę samą nadzieję. Czyżby mieli wrócić na ukochaną Północ, choćby na krótką wyprawę? Dolg zauważył ich spojrzenia i jego oczy także się rozjaśniły nieskrywaną radością. A więc jeszcze ktoś tęsknił za Północą!

Erling zaproponował:

- Wobec tego zerknijmy na odpis z kamienia Ordogno, na przodków tego chwalipięty. Willy, masz go przy sobie?

- Oczywiście, przepisałem nasze bazgroły na czysto. Mam czytać?

- Tak, zacznij od Ordogno i cofaj się w czasie, tak daleko, jak tylko ci się to uda. Willy wymieniał rozmaitych wielmożów o imionach Alfonso, Ordogno i Bermudo, aż wreszcie dotarł do jakiegoś Siło, którego żona nosiła imię Adosinda. To ona pochodziła z Wizygotów, była prawnuczką ich króla Rekkareda. Później następowało wiele świetnych imion, od Teodoryka do Alaryka Wielkiego. Ród złączył się wtedy tak, że znaleźli się w nim zarówno Ostrogoci, jak i Wizygoci. Lud Ostrogotów wywodził się od Beriga z Västergötland sto pięćdziesiąt lat przed Chrystusem.

- Västergötland? - czujnie powtórzyła Tiril. - Tiveden?

Pokiwali głowami.

Willy podjął:

- Nieprawdopodobne, ile imion zdołano pomieścić na kamieniu, ale większość informacji pochodzi rzecz jasna od granda. Ów szlachcic wspomina także Longobardów, a oni wywodzą się od Gambary, zwanego także Gungo ze Skanii. Również sto pięćdziesiąt lat przed Chrystusem.

Móri nie mógł przestać myśleć o Västergötland.

- Czy nie wydaje wam się, że hrabiowie Tierstein, którzy mieli dostęp zarówno do księgi, jak i informacji z kamienia Ordogno, pojechali do Tiveden właśnie z powodu swego przodka Beriga?

- To możliwe - przyznał Erling.

Znów głos zabrał Willy.

- Teraz przodkowie zaczynają się rozprzestrzeniać. Jedna gałąź pochodzi od Longobardów, inna od praprzodka Ostrogotów Beryka, mamy też wielką gałąź, która pochodzi od Heruli i Wandali znad Morza Bałtyckiego. Mamy tu Genzeryka, króla Heruli i Wandali. Był synem słynnego Guntaryka, męża Elisy z Granady. A więc rozbójnicy znad Bałtyku daleko się zapuszczali! Nieco wcześniej widzę Amalasuremę, księżniczkę saksońską. Babka jej męża ze strony ojca była księżniczką turyńską. Jeszcze wcześniej jest Diana z Trewiru, Anarnia z Gotlandii... Jak słyszycie, Herulowie mierzyli wysoko przy wyborze żon! Pomijam

teraz imiona mężczyzn, one są nieistotne, bo to kobiety przynoszą świeżą krew. Tyburnia z Norwegii, Judit z Finlandii, Maria z Jutlandii, Ida z Rugii. A teraz słuchajcie uważnie! Symbulla, księżniczka Gotów, poślubiła Antyra Pierwszego, pierwszego króla Herulów znad Bałtyku. Tak oto dotarliśmy do roku trzysta dwudziestego przed Chrystusem!

- Mój ty świecie! - pokręciła głową Theresa. - To drzewo genealogiczne jest nawet znamienitsze od mojego!

- Bałtyk, Bałtyk - mruknął Erling. - Chyba mamy rację. Sądzę, że rozwiązanie zagadki znajduje się nad Bałtykiem.

Nie tylko on uznał, że to bardzo przyjemny wniosek. Ach, móc znów zobaczyć kraje na północy!

W tym momencie w głowach już im szumiało od imion i dat. Theresa zaproponowała więc coś na orzeźwienie i już wkrótce mogli się zabrać do następnego drzewa genealogicznego. Zajęli się następcami Ordogno na tronie Kastylii i Leon.

Posuwali się do przodu w czasie.

- Doszliśmy do Ferdynanda Pierwszego, króla Kastylii i Leon - powiedział Willy. - Po nim następował cały szereg Alfonsów i Ferdynandów. W tym czasie księga będąca w posiadaniu Zakonu zaginęła w Tiersteingram, pozostała więc tylko ta należąca do rodu. Oryginalna. Przyjrzyjmy się teraz, co pisze grand...

Pomagali sobie przytrzymywać zwój pergaminu, w końcu ułożyli go na stole i obciążyli w rogach, żeby się nie zwijał.

Wyliczanie imion wszystkich królów trochę trwało. Na moment zatrzymali się przy Pedro Okrutnym z XVI wieku, wielkim mistrzu Zakonu Świętego Słońca.

Jednocześnie był on dziedzicem oryginalnej księgi. Ale wtedy już Zakon wszczął poszukiwania kamienia Ordogno. A to znaczyło, że Pedro Okrutny nie wiedział, że księga znajduje się w jego posiadaniu!

W jaki sposób się to wszystko ze sobą łączyło?

- Księga musiała towarzyszyć innej linii - zauważyła Tiril.

- Albo też zniknęła - podsunął Villemann, pilnie przysłuchujący się dorosłym.
Uwielbiał rozwiązywać zagadki.

- A może Ordogno rzeczywiście ją ukrył i jego potomkowie nigdy jej nie otrzymali - powiedział Erling.

- Nie, nie, chwileczkę - wtrącił się Siegbert. - Czy grand późnym wieczorem nie mówił nam czegoś na temat królów Kastylji?

- Ja poszedłem już spać - przypomniał Móri. - Razem z Dolgiem.

- Siegbert ma rację - doszedł do wniosku Willy, a parobek uśmiechnął się od ucha do ucha. - Wiem, o czym myślisz, Siegbercie. Jak mogłem o tym zapomnieć? Grand mówił o regaliach. Słyszał o nich. Jak wiecie, Kastylja nie jest już królestwem, ale grand opowiadał o wspaniałościach, jakie tam kiedyś były. Wyliczał wszystkie skarby należące do króla. Wieczór był już późny i zapamiętałem tylko fragmenty jego opowieści o mieczach i koronach... I tak, masz rację, Siegbercie! Wspomniał między innymi o wielkiej skrzyni, której nikomu nie wolno otwierać. Zawierała zaczątek Kastylji.

- No właśnie! - oświadczył Siegbert z dumą. - Ten, kto ją otworzy, umrze!

- Skrzynia? - z niedowierzaniem powtórzył Erling. - A jakiej wielkości?

Willy rękami pokazał wymiary, a Siegbert kiwał głową.

- Nie taka wysoka - poprawił raz Willy'ego. - O, mniej więcej taka.

Inni dorośli popatrzyli po sobie.

- Tej samej wielkości, co księga w Tiersteingram - rzekł Móri bezbarwnym z przejęcia głosem.

Wszyscy pamiętali ostrzeżenie wyryte na kamieniu. "Są pokonane prastarymi czarami wykonanymi przez moje dłonie. Niech się strzeże ten, kto zbliży się do tajemniczej księgi!" I słowa Siegberta "Ten, kto otworzy skrzynię, umrze.

- Czy grand wspomniał, co się stało ze skrzynią, kiedy królestwo Kastylji zniknęło z mapy świata? - spytał Erling.

- Zaczekaj - poprosił Willy. - Możemy śledzić królewskie koligacje jeszcze przez jakiś czas.

Potem wskazującym palcem przesuwał po pergaminie, a w tym czasie Siegbert powiedział zamyślony:

- Aż trudno uwierzyć, że Pedro Okrutny nie wiedział, że księga znajduje się w jego posiadaniu! Dobrze mu tak, okrutnikowi!

Bernd cały wieczór się nie odzywał. Uwagę miał podzieloną, ponieważ Edith, pannie pokojowej, trafiło się miejsce między dwoma żołnierzami, a nie przy nim.

Co gorsza, wydawało się, że sprawa jej to przyjemność!

- I jak, Willy? - nie wytrzymał wreszcie kapitan. - Co tam masz?

Willy podniósł głowę. Jego twarz przybrała lekko barani wyraz.

- Aż boję się to powiedzieć.

- Skrzynka przepadła? - domyślał się przygnębiony Erling.

- Tego nie wiem, ale nie o to chodzi.

- Powiesz nam wreszcie?

- Pedro Okrutny nie miał dziedziców, regalia więc musiały przejść na jego brata Enrique Drugiego. Potem następuje po sobie kilku Juanów i Enrique na przemian, aż do... aż do czasu, kiedy królewska córka, księżniczka Juana la Loca, poślubiła... poślubiła... Filipa Pięknego z Habsburgów!

Zapadła kompletna cisza.

- Co takiego? - wykrzyknęła Theresa. - Joanna Szalona?

- Właśnie!

- Ależ ona... ona... ja się od niej wywodzę!

- Nie tylko! W tym miejscu grand uczynił maleńki dopisek, dopiero teraz go zauważyłem. Wynika z niego, że regalia królestwa Kastylii zostały podzielone między synów Filipa Pięknego, obaj byli potężnymi władcami. Carlos Pierwszy, król Hiszpanii - zjednoczono już kraj - otrzymał większość wspaniałych regaliów. A drugi syn, Ferdynand Pierwszy, został cesarzem Austrii i Węgier. Jemu także przypadło sporo, między innymi jakaś skrzynka, której nie wolno było otwierać.

- Ojej - jęknęła tylko Theresa.

- Potem następowali cesarze austriaccy, jeden za drugim, aż do obecnego, Karola Szóstego, brata jej wysokości księżnej Theresy...

I znów na długą chwilę zapadła cisza.

- Kapitanie - rzekła wreszcie Theresa. - Wiem, że nie mogę się pokazywać w Hofburgu. Ale ty zawieziesz jutro Jego Cesarskiej Mości wiadomość ode mnie. Dowiesz się o regalia królestwa Kastylii. Szczególnie o skrzynkę. Zrozumiałeś? Kapitan wyprężył się przed nią.

- Wasza wysokość. Pojadę. Ale nie muszę pytać. Wiem, gdzie jest ta skrzynka. Zdumienie nie miało granic.

- Jego Wysokość opowiedział mi kiedyś niezwykłą historię. Ojciec Jego Wysokości, cesarz Leopold, rozkazał otworzyć kastylijską skrzynkę. Uczynił to jeden z urzędników. W środku leżała tylko jakaś książka, co prawda stara, napisana niezrozumiałym językiem, lecz nie przedstawiająca większej wartości. Jego Wysokość kazał odłożyć ją na właściwe jej miejsce. Urzędnik usłuchał.

- I co dalej? - spytała podniecona Theresa.

- Jakiś czas później ojciec jaśnie pani zapragnął bliżej przyjrzeć się tej księdze, posłał więc po urzędnika. Okazało się, że ten człowiek już nie żyje, zmarł nagłą, nieoczekiwaną śmiercią, a uważano go za w pełni zdrowego. Jego Wysokość cesarz Leopold usiłował osobiście odnaleźć księgę, wiedział mniej więcej, gdzie powinna się znajdować. Ale księga zniknęła. Bez śladu.

- Ale gdzie by miała być? - z niecierpliwością dopytywał się Móri, gdy kapitan umilkł.

Theresa wyręczyła go w odpowiedzi:

- Oczywiście wśród inkunabułów w Hofburgu.

- Właśnie - uzupełnił kapitan. - W bibliotece Hofburga. Wśród inkunabułów, chociaż nie, to nie jest właściwe określenie.

- Co to są inkunabuły? - chciała wiedzieć Taran.

- Księgi wydrukowane przed rokiem tysiąc pięćset pierwszym. Ale w tym przypadku nie chodzi o inkunabuły. Powinna się znajdować wśród dwudziestu ośmiu tysięcy ręcznie spisanych ksiąg. Ale on jej nie znalazł.

Po kolejnej chwili osłupienia Theresa zawołała:

- A więc ona była przez cały czas tutaj! Przez cały czas niemal na naszych oczach! Jakiż więc będzie nasz następny ruch?

Nikt jej nie odpowiedział. Wszyscy, nawet dzieci, wiedzieli już, gdzie mają szukać.

Rozdział 21

Następnego dnia spora grupa wyruszyła do Wiednia.

Wszyscy czterej żołnierze wracali do cesarskiego garnizonu, a towarzyszył im także Erling.

Wiózł list Theresy, w którym księżna gorąco prosiła swego potężnego brata, aby zgodził się na jej małżeństwo z Erlingiem. Erling przywdział swój najwytworniejszy strój, miał wszak prosić cesarza o rękę jego siostry.

On, najzwyczajniejszy kupiec z Bergen!

Szczerze mówiąc czuł się bardzo zdenerwowany.

Żołnierze dyskretnie poprawiali mundury po szaleńczych uściskach czworga dzieci, bo oczywiście Rafael i Danielle musieli koniecznie naśladować Taran i Villemanna! Dolg żegnał się w całkiem inny sposób; z łagodnym, ciepłym uśmiechem i mądrością całego świata bijącą z oczu.

Żołnierze jechali wciąż wzruszeni, dokuczało im niezwykle wrażenie nagłej pustki. Wielka przygoda dobiegła końca i, jak przypuszczali, już nigdy nic nie będzie się z nią mogło równać. Tym trudniej było im się rozstać z ludźmi, których tak serdecznie polubili, z księżną, Tiril, Mórím, niezwykle Dolgiem, dwoma parobkami, pokojówką Edith, czwórką pozostałych dzieci, z miłymi służącymi w Theresenhof. No i z Nerem. Wciąż mieli w pamięci jego czujnie patrzące, trochę zdziwione, mądre oczy.

Towarzystwem Erlinga mogli się cieszyć jeszcze przez kilka dni.

Oczywiście przyrzekli uroczyście dochować tajemnicy. Nikt niepowołany nie mógł się dowiedzieć, w jakich to wydarzeniach brali udział. Cesarz jednak miał poznać całą prawdę, z wyjątkiem kilku szczegółów, dotyczących zwłaszcza złego Zakonu. Uzgodnili, że do odwiedzenia olbrzymiej dworskiej biblioteki najlepiej nadaje się Willy, najbardziej z nich czytany, zresztą wielokrotnie już tam bywał. Nie warto było, by Erling jeszcze tym się zajmował, wystarczyła mu już sprawa oświadczyń.

- Kim ty właściwie jesteś, Willy? - spytał Erling, kiedy jechali przez piękne doliny Kärnten. W powietrzu czuło się już jesień, a las przywdział swe najpiękniejsze barwne szaty. - Nie jesteś zwyczajnym żołnierzem.

Młody człowiek odparł z uśmiechem:

- Wszyscy gwardziści Jego Cesarskiej Mości muszą pochodzić z dobrych rodzin, najchętniej szlacheckich. Jako dziecko otrzymałem bardzo staranne wykształcenie, a mój ojciec posiada wielki dwór pod Wiedniem. Matka moja, dona Elena, jak wiesz, pochodzi z Hiszpanii i już z tytułu widać, że wywodzi się z wysokiego rodu szlacheckiego.

- No i dodałbym jeszcze, że masz niezwykle tęgą głowę.

- Oczywiście - odparł Willy z taką pewnością siebie, że obaj wybuchnęli śmiechem.

W Hofburgu, wspaniałym zamku Habsburgów, przyjęto ich życzliwie. Cesarz Karol VI poświęcił im parę godzin, bo chciał usłyszeć historię podróży swej siostry i walki ze strasznym kardynałem.

Łaskawie przyjął list Theresy i oświadczyńy Erlinga, szczegółowo wypytywał o pochodzenie Norwega i obiecał przemyśleć sprawę. Erling miał otrzymać odpowiedź przed opuszczeniem Wiednia. Co prawda Karol VI poznał wybrańca swej siostry już wcześniej i uznał go za przyzwoitego człowieka, ale kwestia była nadzwyczaj delikatna i cesarz potrzebował czasu na zastanowienie.

Po długiej rozmowie z pięcioma przybyłymi Karol VI, dowiedziawszy się o klęskach kardynała, wpadł w taki świetny humor, że awansował czterech żołnierzy w nagrodę za dobre wywiązanie się z obowiązków. Erlingowi szepnął w tajemnicy,

że z pewnością da się załatwić dla niego jakiś tytuł szlachecki, o ile małżeństwo okaże się aktualne. Obietnica ta wstrząsnęła Erlingiem, ale po zastanowieniu doszedł do wniosku, że czemu nie? Pomysł nie był wcale taki głupi.

Nowo mianowany porucznik Willy otrzymał pozwolenie odwiedzenia biblioteki. Cesarz nie bardzo wiedział, gdzie może się znajdować słynna, już dawniej poszukiwana skrzynka z księgą Ordogno. Słyszał oczywiście o próbach jej odnalezienia nie uwiecznionych powodzeniem. Potrafił też udzielić Willy'emu pewnych wskazówek.

O całej sprawie rozmawiano w hallu. Niestety, żaden z uczestników rozmowy nie wiedział, jak wygląda brat Johannes ani też tego, że należy on do cesarskich dworzan.

Przebywał w Hofburgu po prostu jako szpieg kardynała, a cesarz nie miał pojęcia, że jest członkiem Zakonu Świętego Słońca.

Nikt nie zauważył, że brat Johannes ukrył się na szczycie schodów i stamtąd słyszał każde wypowiedziane słowo. O Ordogno i oryginalnej księdze, schowanej w skrzyni...

Miało to przynieść tragiczne skutki.

Serce Johannesesa mocno tłukło się w szerokiej piersi. Lepiej skrył się za kolumną. Dopiero będzie co przekazać kardynałowi! Być może on, brat Johannes, zostanie wyznaczony na kolejnego wielkiego mistrza w miejsce brata Lorenzo? To by było sprawiedliwe!

Udało im się odnaleźć kamień Ordogno! Dlaczego ta banda zawsze wyprzedzała rycerzy?

O czym oni teraz mówili? Johannes nie wszystko rozumiał, bo o niektórych sprawach dyskutowali widać już wcześniej, ale dotarło do niego, że wielka tajemnica znajduje się tu, w Hofburgu! Tkwiła tu przez cały czas, podczas gdy bracia zakonnicy przez stulecia poszukiwali kamienia Ordogno! Z rozmowy wynikało, że sam kamień nie jest właściwie taki istotny, lecz przywiódł ich tutaj! I dlatego był jednak cenny.

Wysłali na poszukiwanie tylko jednego człowieka. Doskonale!

Kiedy opuścili hall, brat Johannes przemknął się do biblioteki w ślad za Willym.

Niech szuka! Niech znajdzie! A potem...

Potem przyjdzie kolej na brata Johannesesa!

Willy maszerował przez wielkie sale. Wyczuwał zapach kurzu, zapach ksiąg.

Zawsze go lubił. Wielu ludzi brzydzi zapach starych tomów, lecz nie jego.

Kiedy dotarł do pomieszczeń, gdzie przechowywano osiem tysięcy inkunabułów, wrażenie starości jeszcze się spotęgowało. Willy wiedział, że skrzynki powinien szukać nie tutaj, lecz w dziale ręcznie pisanych dzieł, jeszcze starszych niż inkunabuły.

Cesarz wyjaśnił mu, gdzie, jego zdaniem, powinien się rozejrzeć. Willy kierując się jego wskazówkami trafił do niewielkiego pomieszczenia w głębi za salami z ręcznie pisаныmi księgami, gdzie półki aż po sufit wypełniały zakurzone, nierówne, trudne do odczytania manuskrypty. Pod ścianą leżał stos zwojów, ale część z nich można już chyba było nazwać księgami, bo składały się z ułożonych jeden na drugim arkuszy. Wydawało się, że nie ruszono ich od stuleci. Willy nie wiedział, czy powinien ich dotykać, bo mogły rozsypać się w pył.

Rozglądał się uważnie. Duszne zatęchłe powietrze przyprawiało go o ból głowy. Gdzieś chyba musi się znajdować jakiś spis, pomyślał. Że też takie proste rozwiązanie nie przyszło mi wcześniej do głowy?

Już miał zawrócić i wyjść na poszukiwanie spisu, kiedy jego spojrzenie padło na półkę w rogu. Stało na niej kilka ksiąg, a przecież pozostałe w tym pomieszczeniu leżały. Już wcześniej patrzył na tę półkę, lecz dopiero teraz zauważył, że nie są to zwyczajne książki, lecz skrzynki. Pięć, różnej wysokości.

Odczytał napisy na grzbietach. Trzy natychmiast mógł odrzucić, czwartą także.

Piąta napisu nie miała.

Wyciągnął skrzynkę.

Jej wymiary się nie zgadzały, ale i tak spróbował ją otworzyć.

Podniósł głowę. Miał wrażenie, że nie jest sam.

Ale chyba mu się przywidziało.

Księga leżąca w środku wzbudziła jego rozczarowanie. Przepiękny manuskrypt słynnego na świecie czternastowiecznego pisarza, lecz absolutnie nie ten, którego szukał Willy.

Ale pod półką? Czy nie stał pod nią ledwie widoczny stolik? Sięgał prawie do półki. Willy przekrzywił głowę, by lepiej się przyjrzeć, i ujrzał na stoliku księgę... nie, skrzynkę!

Wyciągnął cały stolik. Nie zauważyłby go, gdyby nie szukał czegoś określonego. Stolik tworzył niemal całość z podpórkami półki.

Wątpił, aby tę skrzynkę wymieniono w jakichkolwiek spisach. Również ci, którzy je sporządzali, musieli ją przeoczyć.

Willy'emu trzęsły się ręce. Chociaż jeszcze się nie upewnił, wiedział już, że znalazł to, czego szukał.

Spróbował zdmuchnąć kurz, co przyplącił gwałtownym atakiem kaszlu. Gdy już doszedł do siebie i mógł patrzeć na oczy, ostrożnie startł kurz ręką. Miał przy tym wrażenie, jakby odgarniał warstwę waty.

Na pokrywie widniały ślady zdobień, Willy ocenił je jako hiszpańskie. Tak, trafił we właściwe miejsce.

Palce gorączkowo szukały mechanizmu otwierającego skrzynkę, gdy nagle powoli czyjaś wielka ręka opadła na jego dłoń. Willy poderwał się i podniósł głowę.

Nad nim górowała olbrzymia postać, którą widział już kiedyś wcześniej. Wtedy jednak była utkana z cienia. Teraz, w ciemnej opończy, ze znakiem Słońca na piersi, wydawała się niemal ludzka.

Willy, zaskoczony, nie potrafił wydusić z siebie nawet słów powitania.

Cień odezwał się do niego głuchym głosem:

- Nie ruszaj tego, młody wojaku, to nie dla ciebie.

- Ale miałem przecież zabrać ją...

Cień potrząsnął głową.

- Czas na to jeszcze nie nadszedł. Otwieranie skrzynki oznaczałoby drogę na skróty, co mogłoby spowodować nieszczęście na nas wszystkich. A szczególnie na ciebie. Ja tego nie chcę.

Willy nie mógł oprzeć się wrażeniu, że przez "nas wszystkich" Cień rozumie siebie i swoich krewniaków. Ale również rodzinę z Theresenhof i jej przyjaciół.

Ponieważ nic nie mówił, Cień podjął twardym głosem, któremu usiłował nadać łagodne brzmienie, by i w nim odzwierciedliła się jego troskliwość, lecz bez większego rezultatu:

- Jak myślisz, dlaczego Ordogno żył tak krótko? Dlaczego jego następcy kazali wyrzeźbić tę skrzynkę i umierali, chociaż rozkazał, aby nikt jej nigdy nie otwierał? Dlaczego Joanna Szalona straciła rozum? To ona przywiozła skrzynkę z Kastylji i ukryła ją tu, w tym pokoju. Potem odkryto jej istnienie tylko raz i urzędnik, który ją odnalazł, umarł. A teraz ty. Zastanów się!

- Rozumiem. Mam tylko jedno pytanie, póki tu, panie, jesteś. Wszyscy się zastanawialiśmy, skąd Ordogno miał tę księgę, świętą księgę, która teraz jest tutaj. Czy możesz mi na to odpowiedzieć?

- Owszem, mogę. Znalazł ją w ruinach murów dawnego rzymskiego miasta Leon.

- A więc jednak księga to dzieło Rzymian?

- O, nie! Ukrył ją tam pewien król Wizygotów, który zrozumiał, jak bardzo jest niebezpieczna. Nie można jej przeglądać bezkarnie, jeśli nie zna się właściwego kodu. Księgę ukryto na wiele stuleci przed czasami Ordogno.

- Czy księga nie pochodziła z tego samego pałacu rzymskiego, co oba znaki Słońca?

- O, nie! Znaki Słońca zgubiliśmy w czasie burzy podczas błakania się przez morze ku północy, przy wybrzeżu, na które później sięgnęło imperium rzymskie. Zniknęły na długie lata, zanim wreszcie odnaleźli je Rzymianie, uznali za święte i powiesili po obu stronach ołtarza w bogatym domu. Stamtąd skradli je Kwintus Ursus i jego przyjaciel centurion.

- Ach, tak! - pokiwał głową Willy.

- Centurion zabrał swój znak do miasta Leon, gdzie stacjonował legion, w którym był dowódcą. Wiesz, Legion - Leon.

- Tak, pamiętam, skąd się wzięła nazwa miasta. Czy ten centurion utworzył Zakon, jak zamierzał?

- Rzeczywiście tak się stało. Ale zakon istniał krótko i nic nie zdziałał, oni bowiem znali tylko znaki Słońca, ale nie wiedzieli o nich nic ponad to, że dają idealną ochronę podczas walki. Później znak Słońca wpadł w ręce Wizygotów, tym razem także przez kobietę. Z chciwości ukryła go tylko dla siebie i przetrwał w królewskiej twierdzy w Leon, przez nikogo nie zauważony aż do czasu, kiedy król Alfonso Wielki nie odnalazł go pod koniec dziewiątego wieku. Zrozumiał, jak cenne jest to znalezisko, i od tej pory znak dziedziczyli kolejni królowie, aż do Ordogno Złego w roku dziewięćset czterdziestym dziewiątym. W tymże roku Ordogno założył nowy Zakon Świętego Słońca. Panowanie w Leon objął dopiero w następnym roku, ale wcześniej wykradł znak Sancho Otyłemu. Cztery lata później odnalazł naszą świętą księgę w dawnych murach miejskich Leon. Doprowadził do tego nieszczęśliwy zbieg okoliczności, kilka głazów osypało się z muru tuż przed tym, jak on tamtędy przechodził.

- Ale skąd wzięła się księga? Wiem, że ukrył ją tam król Wizygotów, ale przedtem?

- Księgę skradły nam barbarzyńskie plemiona z północy, później, podczas naszej wędrówki. Ich losy potoczyły się niepomysłnie i bardzo długo nie było wiadomo, co się stało z księgą. Jej nie da się zniszczyć. Potem dowiedzieliśmy się, że znaleziono ją w łodzi w grobie jakiegoś wodza. Odkryli ją podczas plądrowania grobu Herulowie lub Wandalowie, a ich potomkowie Wizygoci przenieśli ją do Leon. Wszyscy bali się księgi i chcieli się jej pozbyć, kiedy zrozumieli, że ich klęski i przedwczesne śmierci nastąpiły za jej przyczyną. Nie lepiej się stało, kiedy Ordogno Zły nasączył ją swymi mrocznymi czarami. Był czarnoksiężnikiem.

- Ale zanim księgę ukryto w skrzyni, wielu musiało ją studiować?

Cień uśmiechnął się półgębkiem.

- Owszem. Ale to było śmiertelnie niebezpieczne. I nikt nie rozumiał, co w niej napisano. W tamtych czasach umiejętność czytania nie była tak rozpowszechniona, w dodatku księgę napisano w naszym języku. Ordogno natomiast zdołał wszystko poskładać, udało mu się także mocą jego czarnej magii zapanować nad magią księgi aż do chwili, gdy wszystko przeczytał i skopiował. Zdażył jeszcze tylko wyryć napis na swoim kamieniu, a potem krótki czas jego panowania dobiegł końca. Księga zwyciężyła.

Cień niemal niezauważalnie poruszył głowę, jak gdyby nasłuchiwał. Willy także usłyszał jakiś dźwięk. Ktoś był w pobliżu.

- Dziękuję - szepnął. - Usłucham twej rady, panie.

Gdy tylko Willy odsunął rękę od skrzynki, Cień zniknął.

Nowo mianowany porucznik przez chwilę stał oszołomiony, dlatego nie zdażył na czas wsunąć stolika pod półkę.

W drzwiach stanął potężny, władczo wyglądający mężczyzna. Cała postać świadczyła o szlachetnym urodzeniu i nie całkiem szlachetnym charakterze.

- Co widzę? - spytał zjadliwie. - Masz zamiar okraść cesarza?

- Nie, ja...

Rosły mężczyzna odepchnął Willy'ego na bok z taką siłą, że żołnierz się zatoczył i mocno uderzył o półki. Upadł na ziemię, nie mogąc się podnieść. Obolałe ciało nie chciało go słuchać, w głowie wirowała karuzela.

Patrzył, jak napastnik śmiejąc się triumfalnie sięga po skrzynkę. Błysnął znak Słońca zawieszony na jego szyi i Willy pojął, że oto znów ma do czynienia z którymś z członków Zakonu. Ale z którym? Austria, Wiedeń? Musi to być brat Johannes. Willy parokrotnie spotkał tego człowieka na dworze, lecz jego imienia nigdy nie poznał.

Szlachcica Johannesesa ogarnęła niemal ekstatyczna radość. To on, właśnie on rozwiąże zagadkę Świętego Słońca. Cóż za chwała, jakie zwycięstwo!

Powinien się wstrzymać, lecz przeszkodziła mu chciwość. Musiał to zobaczyć! Przebierając palcami w poszukiwaniu zamka zerknął na żołnierza, całkiem chyba oszołomionego. Tylko zajrzy do skrzynki...

Potem prędko ucieknie. Jeszcze wymierzy żołnierzowi celnego kopniaka, który uciszy go na zawsze. Tak, tak właśnie zrobi!

Jest! Znalazł zamek. Skomplikowany, ale dla brata Johanna to żadna przeszkoda. Palce plątały mu się wyłącznie z pośpiechu. To niemal jak spełnienie, pomyślał. Równie podniecające i zaspokajające.

Pokrywa podniosła się bezgłośnie. Brat Johannes zaglądał do wnętrza skrzynki.

Księga! Widział księgę. Okucia ze szlachetnego kruszcza, błysnął symbol Świętego Słońca.

Ale... wzrok mu się mącił. Wokół zgęstniała mgła, jak gdyby z księgi podnosiły się kłęby dymu.

Nagle w spiralach mgły skoncentrowała się jakaś siła - brat Johannes nie potrafił tego inaczej określić, welony mgły gęstniały wokół niego z potężnym sykiem, który zmienił się w huk. Cofnął się, lecz one zaraz go otoczyły, krzyczał, widział przerażone oczy żołnierza, ale mgła atakowała tylko jego, Johanna, tamtego łotra zostawiła w spokoju.

Przeciągły krzyk zmienił się w nieartykułowany jęk, miał wrażenie, że mgła wysysie zeń wszelkie życiowe siły, przez co stawał się jakby coraz rzadszy. Ledwie widział swoje dłonie, sprawiały wrażenie przezroczystych. Kości w ciele rozpuściły się z nieznośnym bólem, a potem nie było już nic.

Johannes nie był już w stanie myśleć ani czuć.

Oniemiały ze strachu Willy patrzył, jak na jego oczach potężny mężczyzna blednie, znika, znika tak, że nie pozostaje po nim absolutnie nic. Rozwiązał się nawet znak Słońca na jego piersi, ale bo też i był on tylko kopią, dziełem ludzkich rąk.

Ludzkich rąk? Co mu przyszło do głowy? A jak, jego zdaniem, powstały oryginalne znaki, z których jeden nosił Dolg? Kto je zrobił?

Willy siedział przy ścianie, wciąż wstrząśnięty tym, co się przed nim rozegrało, a także własnymi myślami. Ledwie zauważył, że powietrze w pomieszczeniu jest już przejrzyste, mgła się rozwiła.

Na jego oczach skrzynka się zamknęła. Pokrywa wolno opadła, szczęknięt zamek.

Willy'emu kręciło się w głowie, lecz nie od uderzenia w skroń. Dopiero teraz poczuł, że po policzku spływa mu krew, ale to nie miało znaczenia.

Co innego wywołało zawrót głowy...

Powoli, niezmiernie powoli stolik, na którym leżała skrzynka, przesunął się na swoje miejsce pod półkę. Wkrótce równie trudno go było zauważyć jak przedtem, ponieważ nóżki stapały się w jedno z podporami półki.

Księga Świętego Słońca ukryła się, by czekać, aż nadejdzie właściwy czas.